



DOREEN IRVINE



BYŁAM CZAROWNICĄ

MOJA PRAWDZIWA HISTORIA

Fundacja „Głos Ewangelii”





SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I	4
WCZESNY PORANEK ŻYCIA	4
ROZDZIAŁ II	11
WYCIECZKA NA RYBY	11
ROZDZIAŁ III	17
MOJA MAMA	17
ROZDZIAŁ IV	21
CZARNA WIEDŹMA	21
ROZDZIAŁ V	28
TRANSFORMACJA	28
ROZDZIAŁ VI	34
OBCA	34
ROZDZIAŁ VII	39
ODEJŚCIE	39
ROZDZIAŁ VIII	45
ULICE PADDINGTON	45
ROZDZIAŁ IX	52
DROGA DO WIĘZIENIA	52
ROZDZIAŁ X	59
WIĘZIENIE I „ZIMNY INDOR”	59
ROZDZIAŁ XI	64
KRÓLESTWO SZATANA	64
ROZDZIAŁ XII	71
KRÓLOWA CZAROWNIC	71
ROZDZIAŁ XIII	77
BEZ ODWROTU	77
ROZDZIAŁ XIV	82
PIERWSZY KROK DO WOLNOŚCI	82
ROZDZIAŁ XV	87
W POSZUKIWANIU WOLNOŚCI	87
ROZDZIAŁ XVI	94
PALEC BOGA	94
ROZDZIAŁ XVII	99
JEZUS JEST ZWYCIĘZCĄ	99
ROZDZIAŁ XVIII	107
POKÓJ W BETANII	107
ROZDZIAŁ XIX	115
SZORSTKI DIAMENT	115
ROZDZIAŁ XX	123
PEŁNIEJSZA I GŁĘBSZA SŁUŻBA	123
ROZDZIAŁ XXI	131
DUCHOWA WOJNA	131



Celowo ominęłam pewne detale mojego minionego życia ludzi, z którymi byłam związana i niektóre osobiste szczegóły. Muszę także podkreślić, iż wydarzenia opisane w tej książce obejmują bardzo szeroki okres mojego życia. Z tego też powodu nie należy ich traktować, jako ciągłość. Historia została spisana w ten sposób, by nie urazić żadnej z żyjących, czy też nieżyjących osób.

WSTĘP

Historia **Doreen Irvine** jest naprawdę niezwykła. Nasze ścieżki przecięły się w Bristolu 1964. Doreen znajdowała się wówczas w bardzo słabej kondycji, co wynikało z wcześniejszych doświadczeń, naznaczonych takim złem, o jakim nigdy dotąd nie miałem pojęcia.

Przez 7 miesięcy zmagalem się ze strasznymi mocami zła, jakie owładnęły jej życiem. Przy każdym spotkaniu, kiedy modliliśmy się o jej uwolnienie, kilka osób (mężczyźni i kobiety) musiało przytrzymywać jej ciało i całą swą duchową siłą zjednoczyć się w modlitwie.

Opisane w Nowym Testamencie wydarzenia, związane z opętaniem przez demony, stały się także naszym udziałem. Demony różnych postaci trzymały Doreen i jej życie w swojej mocy. Często zachowywały się i mówiły przez nią w bardzo przebiegły, inteligentny sposób, przewyższający ludzkie możliwości.

Pamiętam noc w lutym 1965 roku, kiedy (...) ostatni z szesnastu demonów został wygoniony z jej znękanego ciała. Zakończył się, trwający długie siedem miesięcy, niebezpieczny czas piekła w jej życiu.

Uwolnienie Doreen od demonów jest zwycięstwem, sukcesem, jest trofeum Bożej łaski. Moc Boga objawiła się w niesamowity sposób w jej ponadnaturalnym uwolnieniu dzięki autorytetowi Jezusa Chrystusa. Wszelka chwała należy się Jemu, który był tego sprawcą. Ja natomiast obdarowany zostałem przywilejem - byłem narzędziem w Jego rękach. Duch Święty użył mojej osoby według swojej woli, by zwyciężyć w życiu Doreen i dokonać tej niesamowitej transformacji.

Wydarzenia, jakie następują od 1965 roku potwierdzają rzeczywistość i moc Bożego oddziaływania na Doreen Irvine. Pan Bóg posługuje się nią w różnych krajach i przez nią rozpowszechnia Ewangelię. Ta spisana historia jest żywym i mocnym ostrzeżeniem dla tych, którzy zagłębiają się w satanizm. Otwiera także oczy chrześcijanom, którzy nie zdają sobie sprawy, jak realny jest duchowy, demoniczny świat. Nie ma wątpliwości, iż demoniczne moce, jawnie wpływają na różne dziedziny życia.

Wzrost zainteresowania praktykami magicznymi, zwykle powiązany z okultyzmem, wróżbiarstwem, satanizmem, jest groźną zapowiedzią jeszcze gorszych rzeczy. Złe i wrogie moce, które funkcjonują w ponadnaturalnej rzeczywistości, także dzisiaj są duchową prawdą, jak i realnym przeżyciem dla wielu ludzi. Jezus Chrystus mówił o rzeczywistości demonicznego świata, bo sam doświadczył jego działania. Wielokrotnie stawał wobec różnych ludzi, owładniętych złymi mocami. Naturalny konflikt między dobrem a złem, Bogiem i diabłem jest częstym tematem w Słowie Bożym.

Dla każdego, prawdziwie wierzącego w Pana Jezusa Chrystusa, zbawienie oznacza uwolnienie z więzów szatana i dominacji zła. Przynosi zwycięstwo nad diabolicznymi mocami poprzez autorytet doskonałego Imienia Bożego.

Moją modlitwą jest, by Duch Święty użył tej książki dla chwały Pana Jezusa Chrystusa.

Arthur Niel Brixham

ROZDZIAŁ I

WCZESNY PORANEK ŻYCIA

Ów niedzielny, wrześniowy poranek roku 1939, rozpoczął się na wschodnich krańcach Londynu. Tutaj przyszłam na świat, znałam to miejsce doskonale, jego dźwięki i oznaki budzącego się życia. Odgłosy dzieci bawiących się na ulicach wymieszane z głośnym szczekaniem psów.

Ubrana tylko w krótkie spodenki, byłam poddawana cotygodniowym kąpielom na okropnie szorstkim, drewnianym, starym stole w kuchni naszego czynszowego domu. Błoto brudnych ulic nie chciało się zmyć z moich kolan, ale mama wytrwale skrobała je kawałkiem szorstkiej flaneli. Radio w kącie pustego pokoju akompaniowało tej operacji. Nagle mama znieruchomiała. Z odbiornika w naszym domu rozległy się uroczyste uderzenia z wieży Big Ben. Miałam wówczas siedem lat, byłam bardziej zainteresowana odgłosami ulicznych zabaw niż trzeszczącym dźwiękiem dochodzącym z radia.

- O mój Boże! - krzyknęła mama, upuszczając mydło na podłogę.

- Co się stało mamuś? - spytałam.

- Wojna, wojna...

Gdy tylko wypowiedziała to słowo, którego nie rozumiałam, całe miasto rozbrzmiało tęnym, przerażającym zawodzeniem syren przeciwlotniczych. Dźwięk

ten towarzyszył nam często w następnych długich miesiącach. Wczesnym latem roku 1940 syreny przeciwlotnicze rozlegały się już tak często, że zostaliśmy ewakuowani do Uxbrigde. Nie była to daleka przeprowadzka, ponieważ Uxbridge leży tylko 16¹ mil od Londynu. Tutaj, prawdziwe dziecko Cockney², bezczelne i zuchwałe, którego wczesne lata minęły wśród dźwięków Bow Bells, miało spędzić resztę dzieciństwa z wszystkimi jego przyszłymi problemami.

Uxbridge leży na końcu stołecznej linii metra i jest dziś domem dla wielu dojeżdżających do Londynu do pracy. Nie jest zbyt dużym miasteczkiem, ale gwarnym, z dość uciążliwym ruchem ulicznym, szczególnie przy ulicy Londyńskiej. Piękna okolica, w sąsiedztwie Windsoru, jest znana wśród londyńczyków szukających sobotnio - niedzielnego odpoczynku.

Przez Uxbridge przepływają dwie rzeki, które przyczyniły się do rozwoju przemysłu wykorzystującego naturalne zasoby wodne. Jest tu także kilka potoczków i kanałów.

Na krańcach miasteczka znajduje się rozległe wrzosowisko i to właśnie w jego pobliżu stał nasz nowy dom; nowy komunalny dom. W sąsiedztwie zadomowiły się już inne ewakuowane rodziny.

Lokatorzy, przyjezdni ze wschodnio-londyńskich slumsów, nie traktowali z szacunkiem tego domu, w którym i nam przydzielono mieszkanie. Drewniana brama wejściowa była wyrwana i najprawdopodobniej wykorzystana, jako opał. Ogródek przed domem, przekształcony wkrótce w dzikie zarośla, stawał się coraz większym śmietniskiem.

Ośrodkiem naszego domowego życia była brudna i skąpo umeblowana kuchnia. Główne miejsce zajmował duży, szorstki, drewniany stół - ten, na którym byłem sadzana w czasie cotygodniowej „kąpieli”. Rolę obrusa spełniały stare gazety, pokryte wiadomościami z linii frontu. Na środku stołu stał wielki, brązowy dzbanek, bardzo rzadko pusty, ponieważ zawsze ktoś parzył w nim herbatę. Obok dzbanka stała butelka mleka, zanurzona w naczyniu z zimnąwodą, by mleko zachowywało świeżość.

W kuchni były tylko trzy krzesła. Nic nie zakrywało podłogi, nie mieliśmy żadnego dywanika ani nawet linoleum. Zasłon w oknach też nie było, tylko stare worki służące do zaciemnienia. Nieczęsto zdarzało się, by ktoś jadł przy stole. Moje cztery młodsze siostry i ja musiałyśmy siedzieć na podłodze albo na schodkach,

¹ 1 mila = 1,6 km [przyp. tłum.]

² Dzielnica Uxbridge [przyp. tłum.]

przy tylnych drzwiach podczas jedzenia tego, co akurat nam dano. Nie dostawałyśmy wiele - zazwyczaj chleb ze smalcem. Herbatę piłyśmy ze stoików po dżemie. Musiałyśmy trzymać stoik przez ubranie, żeby się nie poparzyć.

- Dlaczego nie możemy mieć pieczonych ziemniaków i ciasta, mamó? - spytałam pewnego dnia

- Moi znajomi zza rogu mają.

- Nie stać nas na takie rzeczy, przestań marudzić i jedz, co masz.

- Czy potrzeba dużo pieniędzy, żeby kupić mięso, ziemniaki i ciasto? - pytałam uparcie.

- Tak. Bądź, więc dobrą dziewczynką i ciesz się z tego, co dostałaś.

Odpowiedź mamy nie zadawała mi, tak jak i moja „dieta”.

Byłam ciekawa „znajomych zza rogu” i pewnego dnia po szkole, postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej.

To był ciepły wiosenny dzień, wszystkie trawniki pięknie się zieleniły. Kwitnące drzewa wyglądały tak ślicznie, że aż chciałam wspinać się na te obsypane różem gałęzie. Za drzewami, tam gdzie mieszkali ludzie z „wyższych sfer”, kryły się ładne, ekskluzywne domy.

Tej małej dziewczynce, z na wpół otwartą buzią z zaciekawienia, udało się jakimś chytrym sposobem, spenetrować wzrokiem wnętrza jednego, czy dwóch domów. To było jak spoglądanie w inny świat: meble lśniły tak, że pewnie mogłabym ujrzeć w nich własne odbicie; wielkie, miękkie fotele; kolorowe dywany; śliczne koronkowe obrusy.

„Ciekawe, jak to jest - mieszkać w takim domu?” - pytałam sama siebie. „Ciekawe jak jest na górze. Ach, i te fantastyczne drzewa w ogrodzie!”

Pamiętam, że moja znajoma, która gdzieś tu mieszkała, miała prawdziwe łóżko - nie takie jak moje, które w zasadzie nie było łóżkiem, tylko stosem brudnych pledów ułożonym na podłodze. W domu tylko mama i tato mieli łóżko, ale i tak bez pościeli.

Zaśmiałam się cicho, przypomniawszy sobie, jak wielka mosiężna gałka z ich łóżka często spadała na podłogę, wydając przy tym głośny brzęk. Czasem zdarzało się to późno w nocy, kiedy tato ledwo mógł się utrzymać na nogach wracając z baru.

„No tak.” Rzuciłam jeszcze jedno zazdrosne spojrzenie na te budynki i cudne drzewa, i ruszyłam do domu. Nikt nie pytał, dlaczego przyszedłam ze szkoły tak

późno, mimo że spóźniłam się na obiad. Trzymając wyprawę w sekrecie, postanowiłam wybrać się tam ponownie.

Dla mnie - zanedbanego i wrażliwego dziecka, to doświadczenie było pierwszym zetknięciem się z pięknem, jakie czasem można w życiu spotkać. Rozbudziło ono moją ciekawość życia i świata. Byłam najstarsza z pięciorga rodzeństwa i jako „duża siostra” często musiałam opiekować się resztą rodziny. Ojciec pracował przy wywożeniu miejskich śmieci - kiedy był trzeźwy rzecz jasna. Drobną, szczupłą mamą często była zmartwiona, gdyż musiała wychodzić późną nocą na zaciemnione ulice w poszukiwaniu ojca. Dziwne, ale zawsze znajdowała wymówki dla jego nałogu i całą winę zrzucała na wojnę.

Poczucie humoru i wyobraźnia pomagały mi znosić domowe obowiązki, choć naprawdę nie był to łatwy kawałek chleba. Młodsze siostry kochały mnie, mimo że zwykle nie namyślałam się zbyt długo, gdy - jeśli sytuacja tego wymagała - trzeba było któreś z nich wymierzyć cielesną reprimendę. Nikt na to nie zważał. Zresztą - opiekowanie się nimi należało do moich zadań. Nasi sąsiedzi również zostawiali swoje dzieci pod moją opieką. Maluchy spoglądały na mnie z szacunkiem, gdyż byłam większa, miałam poczucie humoru i, cechy przywódcy. Już taka się urodziłam.

Dokądkolwiek szłam, podążała za mną czereda brudnych, ale uśmiechniętych dzieciaków. I pies. Zwierzęta odgrywały niemałą rolę w moim życiu. W ogródku za domem było ich pełno. Tato trzymał kury - niestety nigdy nie mieliśmy jajek do jedzenia. Prawdopodobnie wszystkie sprzedawał, żeby mieć pieniądze na picie. „On i jego piwo” - zwykłam mawiać.

W ogródku były także dwa króliki, dwie fretki, pełno kotów i koza. Moim ulubieńcem był czarny labrador Bessie, znany wszystkim, jako pies Doreen. Bessie towarzyszyła nam wszędzie. Potrzebowaliśmy dużo otwartej przestrzeni. Na szczęście w pobliżu było mnóstwo miejsc, w których czaiły się przygody. Dwa place zabaw, brzegi rzeki i łąki, gdzie trawa zawsze była wiosennie zielona. Miałam bardzo oryginalny zwyczaj demokratycznego podejmowania decyzji:

- No, dzieciaki - zwracałam się do brudnego zgromadzenia wokół mnie - dokąd pójdziemy dziś po południu, na huśtawki czy na łąki?

- Na huśtawki Dor, na huśtawki! - wołały dzieciaki.

Zastanowiwszy się przez moment odpowiadałam: - No cóż, w takim razie pójdziemy nad rzekę.

One posłusznie szły za mną. Wszyscy przepadali za placem zabaw z huśtawkami i mnóstwem innych atrakcji. Ale zabawa tam była dozwolona tylko wówczas, gdy Doreen miała na to ochotę. To miejsce niemal zawsze inspirowało do różnych psot, a i mój bystry umysł wymyślał wiele figli, ku uciechu moich podopiecznych, choć niekoniecznie ich rodziców...

Jeden z moich lepszych trików polegał na zatrzymaniu autobusu. Wszystkie dzieciaki i ja zbieraliśmy się na przystanku. Kiedy pojawiał się autobus, uroczyście i z przekonaniem podnosiłam rękę do góry. Obowiązkowy kierowca zwalniał, a gdy się zatrzymał, wszyscy uciekaliśmy zaśmiewając się do łez. Ale ta zabawa nie trwała bez końca. Kierowca nie pozwolił robić z siebie głupca. Widząc nas na przystanku, zamiast zwalniać, przyspieszał i przejeżdżając obok, szeroko szczyrzył zęby w pełnym satysfakcji uśmiechu.

Innego wieczoru, gdy ja i dzieci przechodziliśmy obok knajpy, jak zwykle zobaczyliśmy konia i bryczkę Starego Joe. Stary Joe był równie znany z handlu starociami, jak i z pijaństwa. Zaświtała mi nagle pewna myśl: Dlaczego nie wyprząc by koni i nie przywiązać ich tyłem, by zobaczyć, co się będzie działo? Pojętny stary koń był bardzo uprzejmy i poddał się tej podstępnej operacji. Jakąś godzinę później nadszedł Stary Joe, tak pijany, że faktycznie nie zauważył niczego niewłaściwego, gdy chwiejąc się wskakiwał na bryczkę.

- Wio! Wio tam! - krzyknął.

Wyobraźcie sobie okrzyki naszego zadowolenia, kiedy stary koń usłuchał wołania i bryczka brawurowo ruszyła... do tyłu, zamiast do przodu. Stary Joe nie potrafił zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Krzyczał i przeklinał biednego konia, a my śmiałyśmy się jeszcze bardziej!

Nie wszystkie nasze „numery” były tak mało szkodliwe. Weźmy choćby drobne kradzieże w miejscowych sklepikach. Ale te „wyczyny” wypływały z mojej troski o dzieci, które zawsze były głodne i nigdy nie dostawały słodyczy ani łakoci, jakimi cieszyć się mogły inne dzieci. Kradzież była jedynym sposobem, by je mieć. Posługiwałam się banalnie prostą strategią. Gdy jakimś sposobem udawało mi się uzyskać pensa albo dwa, zwykle z żebrania od przechodniów na ulicy, wchodziłam razem z dziećmi do sklepu. Starłam się zająć uwagę sprzedawcy swoimi pensami, a w tym czasie dzieci - pomagając sobie wzajemnie – pakowały, co tylko im się udało.

Ciastkarnia to kolejny łatwy cel, gdzie nietrudno było chwycić słodką bułkę z wystawy, jeśli było się wystarczająco szybkim. Ja byłam szybka. Ale raz o mały włos

zostałabym złapana. Moja siostra capnęła słodką bułkę z małego stosiku, gdy nagle poleciało za nią pięć następnych. Kiedy upadały na ziemię, ona zamiast uciekać zatrzymała się by je podnieść. Ostatecznie jakoś nam się udało.

Gdyby mama wiedziała o naszych kradzieżach - byłaby bardzo zła. Życie i tak było pełne zmartwień, by dodatkowo kłopotać się moralizowaniem lub Bogiem. Bóg! Samo słowo brzmiało niemal jak kolejne przekleństwo, których nie brakowało w naszym domu. Pijackie zwyczaje mojego ojca stawały się coraz gorsze, często okazywał agresję. Widziałam rozcięte usta mamy i sińce na jej twarzy. Biegłam wtedy do ogródka za dom. „O Boże – mówiłam głośno - nie pozwól, żeby stało się coś okropnego, - Boże!". I tak w kółko. Jakże łatwo te słowa pojawiały się na moich ustach! Co stałoby się z nami, gdyby sprawy dalej szły tym torem? Na twarzy mojej mamy można było dostrzec wielki smutek i rozpacz. To był widok najgorszy ze wszystkich. Staralam się pozbyć własnych obaw, myśląc: „Być może wszystko będzie w porządku za jakiś czas. Być może już jutro będzie inaczej.”

Pewnego poranka poczułam dłoń mamy, która potrząsała mną delikatnie.

- Obudź się Dolly, obudź się. - Mama zawsze nazywała mnie Dolly, bo jak na swój wiek byłam niewysoka.

Usiadłam gwałtownie na stercie brudnych pledów.

- Mamuś, co się stało?

- Nic złego, Dolly. Chciałabym tylko, żebyś wzięła tę kartkę i poszła do sklepiu przy wrzosowiskach.

I chociaż był dopiero wczesny poranek zobaczyłam na twarzy mojej mamy wyraz głębokiej troski.

- Nie masz żadnych, Mamuś, tak?

- Tak, kochanie, nie mam. Bądź, więc dobrą dziewczynką idź i szybko wracaj do domu.

Tylko dzięki kredytowi mama mogła nakarmić rodzinę. Duma podpowiadała jej, żeby wysłać córkę bardzo wcześnie, kiedy jeszcze nikogo nie będzie w pobliżu.

Ubrałam się pośpiesznie i wyszłam. Długą drogę miały przed sobą moje młode nogi, a ten poranek był wietrzny i zimny. Szłam szybko główną drogą spoglądając na wysokie drzewa i widziałam, jak gałęzie uginały się na silnym wietrze. Czułam się nieswojo wśród tych ciemnych drzew. Zatrzymałam się przed bramką

niewielkiego cmentarza, przez który prowadziła ścieżka na skróty. W świetle dnia znajomy, teraz wyglądał nieco dziwnie i tajemniczo.

Mimo obaw, pamiętając wyraz twarzy mojej mamy, zdecydowałam się iść tym skrótem, uważnie patrząc pod nogi, raz po raz oglądając się za siebie. Trochę się bałam, że w każdej chwili jakiś grób może się otworzyć i wciągnąć mnie do środka.

W końcu dotarłam na drugą stronę. Teraz trzeba było przejść drewnianym mostkiem przez strumyk. Łowiłam tutaj ryby z maluchami i znałam ten mostek bardzo dobrze. Jednak tego poranka, mostek skrzypiąc na wietrze, wyglądał jakoś inaczej. Właściwie wszystko wyglądało inaczej - było jakby większe, groźniejsze i bardziej obce. Jasne światła małego sklepiku podniosły mnie na duchu.

Sklepiarz przeczytał kartkę od mamy i uśmiechnął się do mnie.

- Wcześniej dzisiaj na nogach - powiedział podając mi kilka produktów. Wzięłam je i wróciłam do domu.

- Wszystko w porządku, Dolly? - zapytała mama.

- Tak, mamuś. Zmarzłam tylko.

Siedziałyśmy z mamą przy kominku rozmawiając i popijając kakao. W tym czasie, gdy Uxbridge dopiero budziło się do następnego dnia. Nigdy nie zapomnę tego wczesnego poranka. Tak wiele pytań wirowało w mojej głowce - pytań, których nigdy dotąd nie zadawałam: „Skąd wieje wiatr? Kto uczynił drzewa tak wysokimi i jak długo one żyją? Dlaczego przyszłam na świat? Jak to jest umrzeć?” Zdawało mi się, że nie ma osoby, którą mogłabym o to wszystko zapytać. Mama miała wystarczająco dużo na głowie. A zresztą, wcale nie byłam pewna, czy mama wiedziała coś o tych sprawach.

Zaczęłam obawiać się życia. Cóż to wszystko mogło znaczyć? Te wspomnienia z wczesnego dzieciństwa na stałe wryły się w moją pamięć. Tak wiele się wydarzyło - tyle smutnych chwil, komicznych, intrygujących, szczęśliwych zaś bardzo niewiele. No, ale życie jest po to, by nim żyć, a nie zamartwiać się. Przestałam, więc rozmyślać i martwić się tym.

Letnie wakacje zazwyczaj pełne były słońca. Dni były długie, ciepłe i większość z nich spędzaliśmy na dworze, często bawiąc się do późnej nocy. I zawsze z tą małą bandą podążających za mną dzieciaków. Musieliśmy przedstawiać żałosny widok. Moim ubraniem zawsze, i w lecie, i w zimie, była cienka bawełniana sukienka i powyciągany, skołtuniony sweter, który przetrwał wiele lat. Skarpetki były nieznanym nam luksusem, nie posiadaliśmy także butów.

Ale na tym etapie życia wygląd zewnętrzny nie był dla mnie istotny, chociaż czasem zwracałam na to uwagę. Przede wszystkim byłam jeszcze bardzo mała. To wciąż był wczesny poranek mojego życia.

ROZDZIAŁ II

WYCIECZKA NA RYBY

Kochałam całym sercem mojego ojca, chociaż zwykle był pijany i często agresywny. Gdyby tylko nie pił tak dużo i nie zasmucał mamy - myślałam. Każdy zarobiony grosz - przepijał. Sprzedawał nawet kupony na racje żywnościowe i ubrania. To jednak wciąż był mój tata, który miał swoje chwile trzeźwości, choć było ich niewiele...

To były niezwykle cenne dla mnie momenty. Jeden z nich pamiętam bardzo dokładnie.

Był piękny, letni poranek, sobotą, kiedy nie szło się do szkoły. Ku zaskoczeniu wszystkich, tata wstał bardzo wcześnie i golił się w naszej obskurnej kuchni. Był wesóły, nawet sobie podśpiewywał. Nagle zawołał: - Doreen, wstałaś już?

- Tak, tato - odpowiedziałam.

- Idziesz dziś ze mną na ryby?

- Tak, tato!!

Nie wierzyłam własnym uszom, nie mogłam ubrać się tak szybko, jak bym chciała! Tato wyciągnął zardzewiałą, starą wędkę. Ojciec z córką, ręka w rękę, wesóło szli ulicą. Doszliśmy do rzeki. Z dumą przyglądałam się, jak tata zarzucał wędkę. Był dobrym wędkarzem! Opowiadał o rybach i o tym, jak powinno się je łowić. Słuchałam, ale nie dlatego, że rozumiałam co mówił. To nie miało znaczenia. Najważniejsze dla mnie było to, że tata wybrał się ze mną na wycieczkę, i że nie było z nami niechlujnej czeredy, jaka zawsze mnie otaczała.

Cieszyłam się każdą chwilą tej wyprawy. Siedzieliśmy obok siebie rozmawiając, śmiejąc się i obserwując czerwony spławik, unoszący się na powierzchni wody. To był doskonały dzień. Bezchmurne, słoneczne przedpołudnie, jakie każdy pamięta ze swego dzieciństwa. Czyste, słodkie powietrze przesyciła świeżość. Niczym letnia bryza wiatr owiewał moje długie brązowe włosy i odgarniał je z twarzy. Warto było żyć dla takiej chwili. Czułam to. Zieleń wysokich drzew wyglądała przepięknie. Omszałe brzegi rzeki były miękkie, a sitowie majestatyczne i pełne spokoju. Całe poczucie nieszczęścia minionych tygodni zdawało się topnieć w złotych promieniach słońca. Prócz śpiewu ptaków i łagodnego pluskania rzeki,

niczego nie słyszeliśmy. Nikt by nie uwierzył, że gdzieś toczyła się wojna. Wszystko było pełne spokoju i ciszy.

Wydawało się nam, że byliśmy jedynymi żyjącymi ludźmi na całym świecie. Miałam cichą nadzieję, że tata wiedział, o czym myślałam: „Może tato już nie będzie chciał więcej pić. Może będzie mnie zabierał na ryby zamiast chodzić do baru. To byłoby takie wspaniałe!” Te szczęśliwe myśli i ta jasna nadzieja wypełniały moje dziecięce serce.

- Pora iść do domu, Doreen - powiedział tato.

Czas minął tak szybko. Po powrocie tato wpuścił złowione ryby do wanny, tam bowiem zawsze trzymał swój połów. Łazienka nigdy nie była używana zgodnie ze swoim przeznaczeniem.

Kiedyś tato złowił ogromnego węgorza. Moje siostry i ja z respektem przyglądałyśmy się, jak napełnił wannę wodą i wpuścił do niej tę wielką rybę. Pamiętam jak stałam na jakiejś starej, drewnianej pace i przez małe okienko, bo tato zawsze zamykał drzwi łazienki na klucz, szturchałam zabawną rybę długim kijem.

Tak szybko, jak moje nadzieje wzrosły tej niezapomnianej soboty, tak szybko zostały pogrzebane. Zaraz po wpuszczeniu ryb do wanny, tato poszedł prosto do baru i został tam aż do zamknięcia.

Były momenty, kiedy czułam, że mogłabym go znienawidzić za to nieszczęście, którego był przyczyną. Innym razem przepętniało mnie poczucie ogromnego współczucia dla niego. W takich chwilach chciałam jakoś go pocieszyć, czyściłam jego buty z nadzieją, że w zamian weźmie mnie na kolana i powie, jak bardzo mnie kocha. Ale nigdy nie słyszałam tych słów, za którymi tak bardzo tęskniłam. Miłość, nienawiść i żal wobec taty czyniły coraz więcej zamieszania we mnie i pozbawiały mnie poczucia pewności. „Gdyby tylko ktoś mnie naprawdę pokochał” - myślałam ze smutkiem.

Życie stawało się coraz cięższe. Ojciec pił więcej, a mama zawsze wyglądała na zmartwioną. Wojna trwała. Coraz częściej rozlegały się alarmy przeciwlotnicze. Te, i inne niepokoje składały się na moje życie. Działa przeciwlotnicze stały na szczycie pobliskiego wzgórza, niedaleko od mojego domu.

Jeszcze za dnia można było jakoś znieść rakiety lotnicze, dźwięk wybuchów i strzałów, noce natomiast były przerażające. Niejednokrotnie byłam zostawiana w domu sama z małymi siostrami, kiedy mama, jak zwykle, szła szukać ojca.

Zaczynałam już myśleć, że właściwie to mama miała rację - zapewne wojna była przyczyną nałogu taty.

Moje cztery siostry bały się ogromnie, płakały i wtulały się we mnie. Kiedy tak siedziałyśmy razem na brudnym materacu, który służył im za łóżko, mawiałam: - Wszystko będzie dobrze, zobaczycie. Nie pozwolę, żeby coś się wam stało. Będę się wami opiekować - próbowałam ukryć przed nimi, jak bardzo sama się bałam. Kiedy w końcu morzył je sen, łzy płynęły po moich policzkach. Łzy, które z trudem powstrzymywałam ze względu na moje siostry. Czułam się strasznie nędznie i byłam zupełnie, zupełnie samotna.

Dziwne, niesamowite wręcz światło przeczesujących nocne niebo reflektorów, gościło na krótkie sekundy w naszym ciemnym, gołym pokoju. Stawałam przy brudnym oknie, spoglądałam na rozgwieżdżone niebo i na ulicę poniżej mając nadzieję, że zobaczę mamę i tatę wracających do domu. Czasem stałam tak godzinami. W takich chwilach właśnie próbowałam się modlić: „O Boże, pomóż mi, a jeśli myślisz, że nie jestem tego warta, to proszę zrób coś dla moich sióstr, a mną się nie przejmuj. Wiem, że nie zawsze jestem bardzo dobra, ale naprawdę się staram. Proszę, Boże, spraw, żeby wszystko było dobrze dla mamy i taty, i dla nas.”

Jednak nic się nie zmieniało na lepsze. Czułam, że moje modlitwy pozostawały bez odpowiedzi, więc zdecydowałam ostatecznie, że nie ma żadnego Boga i już więcej się nie modliłam.

Moje cztery siostry i ja chodziłyśmy do szkółki niedzielnej, co tydzień, ale to była tylko okazja do wyjścia z domu na jakiś czas, żeby tato miał „ciszę i spokój”, nic więcej. Każdego niedzielnego popołudnia tato przychodził do domu pijany jak bela, tak więc byłyśmy zadowolone, spędzając ten czas poza domem.

Zajęcia szkółki niedzielnej odbywały się w pobliżu ulicy Waterloo. Prawie w ogóle nie słuchałam, o czym była mowa i byłam najbardziej nieposłusznym dzieckiem. Niejednokrotnie wypraszano mnie z sali za przeszkadzanie, dokładanie własnych słów do piosenek, generalnie za utrudnianie życia i pracy biednym nauczycielom.

Nie wahałam się nawet rzucać kamieniami w okna po tym, jak byłam wyproszona za złe zachowanie. Wtedy zwykle ktoś wychodził, żeby mnie złapać, ale nikomu nigdy się nie udało. My, nieułożone dzieciaki z Cockney, nie siedzieliśmy razem z lepiej ubranymi uczniami będącymi najczęściej pociechami naszych nauczycieli lub ich przyjaciół. Nazywałam je dziećmi z wyższych sfer i zgrywałam się z ich niedzielnych, lepszych ubrań, słomkowych kapeluszy i białych skarpetek. Kiedy Doreen i jej banda wmaszerowywała do sali szkółki niedzielnej, zaczynała się

bitwa. Byłam przywódcą a dzieciaki z Cockney wesoło się temu poddawały. W mojej opinii szkoła niedzielna stanowiła po prostu kolejne miejsce, w którym można się było zabawić.

Nauczyciele jednak orientowali się, że miałam w domu bardzo trudną sytuację i dlatego odreagowywałam tutaj swoje emocje, dając im się szczególnie we znaki. Mimo tego byli bardzo cierpliwi i okazywali swoje zainteresowanie mnie i moim siostrami. Nieważne jak wiele razy musiałam być wyproszona z zajęć, nieważne ile razy byłam nieposłuszna – każdej niedzieli drzwi były dla nas otwarte.

Niech te wydarzenia będą zachętą dla czytelników, którzy są nauczycielami szkół niedzielnych albo pracują z młodzieżą. Jak się dowiesz później, ziarno zasiane wiele lat przed moim nawróceniem - wydało owoc. Nauczycielom mogło się wydawać, że zmagają się ze mną na próżno, aleja nigdy nie zapomniałam tych dni w szkółce niedzielnej. Zdarzało się, że mimo wszystko zwracałam uwagę na to, co próbowano mi powiedzieć o grzechu, o miłości i przebaczeniu Zbawiciela. Słowa pewnej piosenki ze śpiewnika Złote Dzwony tak głęboko mnie dotykały, że nigdy nie mogłam ich śpiewać:

*Jest miasto jasności bez skazy,
Dla grzechu zamknięte bramy jego.
Nic, co plugawe; nic, co plugawe,
Nigdy nie wejdzie do niego.*

Te słowa wywoływały w mojej wyobraźni obraz złotej bramy z aniołami po obu jej stronach, trzymającymi płonące miecze i zagradzającymi drogę do złotych ulic. A miejsce to nazywali niebem. Wiedziałam, że był w moim sercu grzech. Myślałam, że nie mam szans znaleźć się w niebie. Nauczyciel szkółki niedzielnej mówił, że grzech nie ma prawa wstępu do tego cudownie nieskazitelnego miejsca, jakim jest niebo.

- Nikt, kto kradnie nie wejdzie do nieba.

„Nikt, kto kradnie...” To ja – myślałam - ja nigdy nie znajdę się w niebie, bo kradnę, kiedy jestem głodna. Tak więc odrzuciłam pomysł dostania się do nieba, aczkolwiek cały czas, niedziela po niedzieli, chodziłam na zajęcia szkoły niedzielnej, choćby po to, by dostać lemoniadę i ciastko, czasem jabłko, czyli dary, jakie nauczyciele zawsze po zajęciach dawali dzieciom z Cockney. Oprócz tego były jeszcze wycieczki ze szkółką i zabawy. Nie miałam zamiaru ich stracić.

W naszym życiu, moim i moich małych sióstr, nie było prawie niczego, na co czekałybyśmy z taką niecierpliwością. Święta Bożego Narodzenia nadchodziły i

mijały, rok po roku. Ani ja, ani moje siostry nigdy nie dostałyśmy nawet najmniejszej zabawki. Tak samo było na urodziny - żadnej kartki z życzeniami ani prezentu. Nigdy. Tak, więc te krótkie wycieczki i zabawy ze szkółką niedzielną były dla nas wszystkich bardzo ważne. Zawsze byłyśmy pierwsze, często czekałyśmy ładnych kilka godzin na otwarcie drzwi.

Gdy rozległ się alarm przeciwlotniczy i bardzo się bałam, myślałam o tym, co słyszałam w szkółce. Chciałam też się pomodlić, ale ostatecznie rezygnowałam z tego, myśląc, że chrześcijaństwo to właściwie tylko głupia bajka. Jednak kiedy miałam dziesięć lat, zdecydowałam się przyłączyć do starszych dzieci i młodzieży z grupy skautów. Tu nauczyłam się wielu ciekawych rzeczy: wiązania węzłów, alfabetu Morse'a, zasad pierwszej pomocy. Druhna poświęcała mi bardzo dużo uwagi i z czasem zyskała moją sympatię. Podarowała mi mundurek, wiedząc, że nigdy nie zdobędę na niego pieniędzy od rodziców.

W czasie niedzielnych szkółek bywałam strasznie niesforna i zachowywałam się okropnie, natomiast w poniedziałki wieczorem, kiedy spotykali się skauci, byłam nie do poznania. Druhna nie mogła uwierzyć w relacje z przebiegu szkółki niedzielnej i w opowieści o moim zachowaniu.

Pewnego dnia zapytała mnie, czy chciałabym w czasie letnich wakacji wybrać się na kamping z całą grupą skautów. Ona miała za wszystko zapłacić. Czy chciałabym?! Nigdy nie słyszałam – o niczym wspanialszym! Pobiegłam do domu zapytać mamę o pozwolenie. Mama się zgodziła.

Nie mogłam się doczekać, kiedy nadejdzie dzień wyjazdu. Tydzień przed obozem, po spotkaniu, druhna wzięła mnie na bok - wręczyła wszystko, czego mogłabym potrzebować w czasie wyprawy: pachnące mydełko, bawełnianą bieliznę, ręcznik, nową szczotkę i grzebień, pastę i szczoteczkę do zębów, nawet dwie pary nowych skarpet i piżamę. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu, stałam i patrzyłam na te śliczne nowe rzeczy, jakich nigdy wcześniej, w całym swoim dziesięcioletnim życiu, nie miałam. Druhna powiedziała: - Nie mów nikomu, że ja ci to dałam. Zabierz wszystko teraz do domu, spakuj i weź ze sobą na obóz.

Nie chciała, żebym różniła się od innych. Przepęłniała mnie wdzięczność i radość. Spełniły się moje najskrytsze marzenia. W każdej niemal chwili rozwijałam mały pakunek i sprawdzałam, czy są w nim wszystkie rzeczy. Chciałam, rzecz jasna, jeszcze raz się imprzyjrzyć.

Nadszedł wreszcie ten wspaniały dzień. Zerwałam się o świcie. To była sobota, inna niż wszystkie poprzednie soboty w moim życiu. Przyszłam pierwsza na

miejsce zbiórki już na kilka godzin przed czasem. W końcu przyjechał wielki bus. Wskoczyłam do środka z innymi skautami. Cały gang i moje siostry machali mi na do widzenia. Byłam dumna i szczęśliwa.

Położone w przepięknej okolicy obozowisko znajdowało się w pobliżu Woking. I chociaż nie było to zbyt daleko od Uxbridge, ja, która nigdy w życiu nawet autobusem nie jechałam, miałam wrażenie, że jesteśmy oddaleni setki mil. Nigdy nie zapomnę tego cudownego tygodnia spędzonego poza domem. Mile spędzaliśmy czas, bawiąc się w lesie, zrywając kwiaty, biegając tu i tam pomiędzy drzewami. A wieczorne siedzenie wokół ogniska i śpiew wzruszały mnie niejednokrotnie do łez. Zapach sosnowego igliwia i dym z ognia, zmieszany z wonią piekących się ziemniaków w mundurkach, nasycił wieczorne, ciepłe powietrze. Tak, wszystko było zbyt piękne, by oddać to słowami: trzaskające w ognisku gałązki, śpiewające ptaki w otaczającym nas lesie i wielkie, czerwone słońce, żarzące się za strzelistymi drzewami. Wydawało się, że wszystkie stworzenia, od ptaków do koników polnych, wiedziały o przepełniającej mnie radości. A moje serce śpiewało i nawet przydzielone obowiązki sprawiały mi przyjemność.

Spanie w prawdziwej piżamie i pod czystym kocem było inne od tego, do którego przywykłam. Zupełną nowością stanowiło dla mnie czyszczenie zębów. Zmiana była korzystna, także jeśli chodzi o jedzenie, dużo jedzenia, do tego świeże powietrze i wolny czas, spędzany tak, jak się miało ochotę. Nawet mycie było niczym przygoda - miłe, pachnące mydło, miękka bawełniana bielizna i puszysty ręcznik... Te siedem dni poza domem było najszczęśliwszymi dniami mojego młodego życia.

W niedzielę zabrano nas do małego kościółka, kaplicy właściwie, i to także sprawiło mi radość. Zauważyłam, że gdy kaznodzieja mówił o umierającym na krzyżu Chrystusie, prawdziwe i szczerze łzy spływały po jego policzkach. Zrobiło to na mnie bardzo duże wrażenie i poczułam się winna za swoje złe zachowanie w czasie zajęć w szkółce w Uxbridge.

Nie chciałam, by ten tydzień się skończył, chciałam, by trwał i trwał, zawsze i na zawsze - jak powiedziałam druhnii. Niestety dzień powrotu nadszedł i wszyscy skauci byli zajęci pakowaniem sprzętu do busa gotowego ruszyć w drogę.

Byłam bardzo smutna. Aby się jakoś pocieszyć, myślałam: „No cóż, wciąż jeszcze mamy podróż do Uxbridge przed sobą i jazdę samochodem.” To jednak trwało krótko. Wydawało się, że jazda na obóz trwała godziny, a powrót - ledwie kilka chwil.

Znów byłam w Uxbridge, na brudnym osiedlu, a banda zaniedbanych dzieciaków, „gang”, czekała, by mnie powitać, kiedy wyskakiwałam z samochodu. Szarość domowego życia, w porównaniu z obozem, zdawała się być niezwykle przygnębiająca. Nie miałam pojęcia, że w pewien dziwny sposób, obóz skautów przygotowywał mnie do bycia skautem w codziennym życiu. Nie wiedziałam, że ja, która tak często łowiłam ryby w rzece, usłyszę pewnego dnia Boże powołanie, aby łowić ludzi.

ROZDZIAŁ III

MOJA MAMA

Obóz harcerski minął, życie dalej toczyło się swoim normalnym trybem. Awantury i kłótnie w domu stawały się nie do zniesienia. Zastanawiałam się, kiedy i do czego to wszystko doprowadzi. Co się z nami stanie - z ojcem, mamą i siostrami?

Mój umysł wciąż niepokoiły takie pytania, jakże więc mogłam być dobrą uczennicą? Chodziłam do szkoły podstawowej im. św. Jana w Uxbridge. Niestety, tak naprawdę nie byłam w stanie wiele się nauczyć. Nauczyciele, którzy nie rozumieli moich problemów, zawsze byli negatywnie do mnie nastawieni i chętni do krytyki. Szkoła stała się wielkim koszmarem. Czasem ktoś wykazywał w stosunku do mnie dobrą wolę, jednak bez skutku. „Im to pasuje - myślałam - łatwo im siedzieć i wciąż mnie krytykować. Hmm... może to z powodu moich ubrań?”

Zaczynałam dostrzegać swoją inność. Zawsze miałam włosy w strasznym stanie. Pielęgniarka regularnie wysyłała mnie do domu z tego samego powodu: wszy. „Gnida Nora” - mówiłam o niej ze złością. Nienawidziłam jej. „To nie fair. Zawsze się nas, mnie i moich małych sióstr, czepia. Dlaczego nauczyciele wtykają nos w nie swoje sprawy? Dlaczego nie zostawią nas w spokoju?”

Byłam przedmiotem kpin innych chłopców i dziewcząt, lepiej ubranych i otoczonych troską rodziców. To bolało. Mimo zewnętrznej pozy, byłam naprawdę wrażliwym dzieckiem. Krzyki typu „Zawszony łeb” albo „Żółty ząb” podążały za mną wszędzie. Nauczyciele częstokroć nie byli lepsi od dzieci, rzucając uszczypliwe uwagi na temat mojego wyglądu.

„Co ja na to mogę, no co? Nienawidzę was i waszej zepsutej budy” - mówiłam.

Wielokrotnie uciekałam na wagary. Szłam sobie do parku na cały dzień. Leżałam na trawie, wpatrując się w korony wysokich topoli i w chmury. Śniłam na jawie o takich dalekich miejscach jak Afryka czy Indie (coś tam jednak docierało do mnie na lekcjach...) i wyobrażałam sobie podróż do tych odległych miejsc za oceanem.

Opuszczałam szkołę także z innych przyczyn. Mama często zatrzymywała mnie w domu, żebym opiekowała się najmłodszą siostrą, Sylwią która była jeszcze niemowlęciem. Czasem nie szłam zwyczajnie dlatego, że nie miałam butów.

Był jeden przedmiot, za którym przepadałam: wychowanie fizyczne. Potrafiłam szybko biegać, skakać jak żaba i pływać jak ryba. To dzięki tym umiejętnościom zyskiwałam odrobinę respektu innych dzieci. Niestety, nawet i w przypadku wychowania fizycznego pojawiały się problemy. Ponieważ już dawno gumka w moich krótkich spodniach przestała istnieć, miałam je ściągnięte w pasie i zapięte dużą agrafką. Łatwo sobie wyobrazić ten głośny śmiech dziewcząt za każdym razem, kiedy przebierałyśmy się na wychowania fizycznego.

Któregoś dnia poszłam pobawić się na placu kościelnym w pobliżu sklepiku koło wrzosowiska. Kiedy kręciłam się po tamtej okolicy, przypadkiem potknęłam się o zbiorowy grób dzieci. „Viola May” brzmiało jedno z imion na nagrobku. Jej imię zdawało się tak intensywnie do mnie przemawiać, że ... odpowiedziałam. Rozmawiałam z umarłym dzieckiem, w pełni wierząc, że mnie słyszy i rozumie. Byłam tak samotna, że w wyobraźni budowałam nieistniejącą rzeczywistość. To dało mi poczucie więzi z kimś drugim. Tak jakby Viola May reprezentowała łagodnego tatę, którego nigdy nie znałam, miłego nauczyciela, którego nigdy nie spotkałam, przyjaciółkę, jakiej nigdy nie miałam.

W drodze do szkoły i z powrotem przyklekałam obok jej pomnika, zawsze przynosząc kwiaty (zabrane z innych grobów). Opowiadałam mojej nowej przyjaciółce o wszystkich problemach, dzieliłam z nią łzy i obawy. Nikt nie wiedział o tej niezwykłej przyjaźni. Spotkania z Violą May były moją tajemnicą a umarła dziewczynka - kimś szczególnie bliskim.

Czasem robiłam sobie wycieczkę na szczyt wzgórza, znajdującego się na krańcach miasta, gdzie usytuowany był obóz amerykańskich żołnierzy. Zwykle zbierałam po drodze polne kwiaty i kasztany. Na górze wczołgiwałam się pod żywoptot przy drucie kolczastym, by obserwować żołnierzy. Kiedy przechodzili w pobliżu, błagałam o gumę do żucia i czekoladę. Amerykanie byli mili i zawsze mi coś dawali. Wtedy biegłam z powrotem do domu i dzieliłam zdobycze z siostrami.

Obawy, jakie we mnie powstawały przez lata, związane z rozpadem naszej rodziny, miały się wkrótce urzeczywistnić. Miłość między mamą i tatą już dawno wygasła. Burdy, awantury, krzyki i przeklinanie pojawiały się każdego wieczoru a nawet i w ciągu dnia. Ale przyczyna była teraz inna. Awantury nie wybuchały z powodu pieniędzy i picia, ale z powodu obcej kobiety. Kim była ta kobieta? Intrygowało mnie to. Nie musiałam długo czekać, by się dowiedzieć...

Tato poznał kobietę, która niedawno straciła męża (umarł w szpitalu dla umysłowo chorych). Ich znajomość stawiała się coraz bardziej przyjacielska - zbyt przyjacielska, według opinii mamy. Mama miała złamane serce i rozpadała się na moich oczach. Nie miałam pojęcia, co robić. Wciąż płakała. Już nawet bałam się zostawić ją samą.

- Nie płacz, mamuś. Wszystko jeszcze będzie dobrze, zobaczysz- siliłam się na słowa pocieszenia.

- On znalazł sobie kogoś innego - mówiła mama - mnie już nie chce.

- Zabiję ją, jeśli wpadnie w moje ręce - odpowiadałam - tak zrobię.

Życie jawiło się w coraz czarniejszych barwach. Było gorzej niż kiedykolwiek dotąd. Ciemne, sztormowe chmury zbierały się nad głowami, grożąc wybuchem w każdej chwili. Moja wierna Bessie, czarny labrador, czuła, że coś było bardzo źle i brązowymi ślepiami spoglądała smutno na swoją małą panią.

- Dobra, stara Bessie - skrobałam ją po czarnym łbie. - Ty rozumiesz, prawda? Kochana psinka.

Pewnego wieczoru, wróciwszy do domu, zorientowałam się, że nie ma mamy. Westchnęłam widząc wygasły piec i brak opału. Dom był okrutnie wyziębiony. Zajęłam się siostrami, dałam im trochę chleba z margaryną i kazałam iść spać. Usnęły szybko i zostałam sama. Na dworze było już ciemno. Pogaszono wszystkie światła. Bałam się, że oboje, mama i tato, opuścili nas na zawsze. Ukryłam twarz w dłoniach i zaczęłam płakać.

Nagle usłyszałam głos ojca i odgłos dużego tłumu przy drzwiach wejściowych. Zakradłam się na półpiętro. Usłyszałam coś o kanale. Niewiele myśląc zbiegłam na dół. Mama, tam była mama! Siedziała na krześle w mokrych ubraniach, okryta szarym kocem. Kilkoro sąsiadów i zirytowany ojciec patrzyli na nią ojciec i ta obca kobieta obok niego. Poczulałam obrzydliwy, zgniły zapach kanału.

- Ty wstrętna świni! Nie mogłeś się doczekać, żeby się jej pozbyć, co? - krzyknęłam do ojca myśląc, że to on wepchnął mamę do kanału.

- Zamknij się! Głupia idiotka sama chciała skończyć ze sobą- odpowiedział też krzyżąc.

Dopiero wówczas spostrzegłam jego mokre ubranie.

- No to co?! To i tak wszystko twoja wina!! Twoja i twojej baby - darłam się. - Ooo, a to pewnie ty! - kontynuowałam zwracając się do kobiety stojącej obok ojca. - Wynocha z tego domu! Wszyscy! Wynoście się!

Sąsiedzi wychodzili jeden po drugim, ojciec i jego babsko, jak ją nazywałam, też sobie poszli. Później usłyszałam całą historię. Przypadkowo mama zobaczyła ojca z tą jego przyjaciółką i poszła za nimi. Dogoniła ich na moście nad kanałem. Wybuchła straszna awantura, po której mama rzuciła się z mostu. Tato wiedząc, że mama nie umie pływać, skoczył na ratunek. A ona chciała po prostu umrzeć. Biedna mama. Przepęłniał mnie strach, że będzie próbowała zrobić coś jeszcze, żeby zakończyć swoje życie. Bałam się zostawić ją samą.

Następnego dnia, w niedzielę, mama powiedziała, że ma zamiar opuścić dom. Tym razem to ja poczułam, że się rozpadam.

- Nie, mamuś, proszę, nie zostawiaj nas! Och, mamuś, proszę, nie odchodź! - błagałam. - Kocham cię. Umrę, jeśli nas opuścisz!

Płakałam tak bardzo, że mama obiecała nie odchodzić, nie byłam jednak w pełni przekonana, czy mówi prawdę. Nauczyciel szkoły niedzielnej w jakiś sposób dowiedział się o tych smutnych wydarzeniach i tego popołudnia był bardzo miły dla mnie i moich sióstr.

W poniedziałek rano poszłam do szkoły, ale nie mogłam się skoncentrować. Cieszyłam się, kiedy przyszła pora obiadowa. Pobiegłam do domu, a za mną Bessie. Dom był zupełnie pusty. Nawet maleńka Sylwia gdzieś zniknęła. Dostrzegłam nagle małą karteczkę opartą o butelkę z mlekiem „Kochana Dolly, mamusia odeszła i nigdy nie wróci do domu. Bądź dobrą dziewczynką i zaopiekuj rodzeństwem. Nie płacz. Kocham cię, mama.”

Czułam, jak całe życie uchodziło z mojego drobnego, chudego ciała. To był szok. Przeczytałam karteczkę raz jeszcze. I jeszcze, i jeszcze.... Nie wierzyłam, nie przyjmowałam do wiadomości jej treści. „Nie, to nie może być prawdą. To jest tylko jakimś okropnym snem.” Minuty trwały niczym wieczność. Wołałam mamę, ale dom był naprawdę pusty. Nie wiem ile czasu minęło, gdy, ogarnięta rozpaczą, zaczęłam szlochać. Byłam przecież dzieckiem... Złamano mi serce, a całe wnętrze przeszywał straszny, nieznaną ból. W końcu jakoś opanowałam łkanie. Czułam, że wielką pustkę w moim sercu, zaczyna wypełniać intensywna złość i gorycz. „Pokażę światu, co czuję. Ja im wszystkim jeszcze pokażę!”

Potem wyszłam z pustego domu z nadzieją, że może odzyskam ukochaną mamę. Znalazłam niemowlę, ale nie mamę. Nikt nie wiedział, nikogo zresztą nie obchodziło, gdzie ona poszła i kiedy. Mając maleńką Sylwię ze sobą spędziłam godziny chodząc i pytając o mamę. Wszystko na próżno, więc wróciłam znowu do

zimnego i pustego domu. Nie było jedzenia, nawet kromki starego chleba. Siedziałyśmy w milczeniu, zmarznięte, przerażone i głodne, popłakując cichutko.

Kiedy ojciec wrócił łaskawie o szóstej wieczorem i zorientował się, że został opuszczony przez żonę - nie przejął się sytuacją

- Jak możesz tak stać i nic nie mówić? - wybuchnęłam. - To ty wypędziłeś mamę, ty i to twoje babsko!

Zignorował mój wybuch.

- Jutro będziecie miały nową mamę, która się wami zajmie.

- Nie chcę żadnej nowej mamy. Chcę moją własną!- płakałam.

Mój protest trafił w próżnię. Ojciec już podjął decyzję. Wysłał mnie do sklepu po ziemniaki, a sam poszedł do baru, by tam spotkać się ze swoją kochanką. Następnego dnia, zgodnie z tym, co powiedział, w domu pojawiła się „nowa mama”. Razem z nią przybyło dwoje jej dzieci. To zdenerwowało mnie jeszcze bardziej. A do tego, moje bystre oko dostrzegło, iż ta kobieta... spodziewała się kolejnego dziecka.

- Ooo, teraz rozumiem. Ty i cała twoja hałastrą tutaj - powiedziałam z całą cocneyowską pasją. - To dlatego chciałaś go usidlić. Nie myśl sobie, że będziemy cię nazywać mamą. Nie jesteś nią i nigdy nie będziesz!

Tato myślał, że jego rozzłoszczona córka nauczy się z czasem akceptować nową sytuację. Mylił się jednak. To zaledwie jedenastoletnie dziecko miało bardzo silną wolę. Nawet kiedy nowa kobieta przyrządziła deser z pieczonych jabłek w sosie toffi, by zdobyć naszą przychylność, odrzuciłam jej łąpówkę, mówiąc dokładnie, co zrobię z tymi jej Jabłuszkami".

Wzajemna nienawiść między nami zawsze była tuż, tuż pod powierzchnią - gotowa do wybuchu. Śniłam o ucieczce, tak jak zrobiła to moja mama. Ale jeśli i ja bym odeszła, kto troszczyłby się o moje siostry? Tak więc zostałam i co dzień uczyłam się nienawidzić „tę nową”.

ROZDZIAŁ IV

CZARNA WIEDZMA

- Ona jest teraz waszą mamą - uparcie twierdził nasz ojciec. „Nowa mama” nie była jednak zbyt przekonująca w okazywaniu uczuć... Ponadto tych dwoje małych dzieci, które przyprowadziła ze sobą, to nie były dzieci, ale rozpuszczone bachory, którym zawsze pozwalano na wszystko, na co tylko miały ochotę.

Kobieta, która teraz kierowała całym domostwem, była młodsza od mojej mamy. Znalazłam imię dla niej - Czarna Wiedźma. Jej kruczoczarne włosy przywodziły mi na myśl czarownicę. Takie imię pasowało do niej doskonale. Miałam z tego powodu trochę dodatkowych kłopotów, ale uparcie odmawiałam nazywania jej inaczej. Ojciec próbował wymusić na swojej ognistej córce zaakceptowanie nowej kobiety, ale cały jego wysiłek szedł na marne.

Kazał mi się zajmować teraz wszystkimi dziećmi, gdyż Czarna Wiedźma zawsze towarzyszyła mu w jego nieustannym łażeniu do baru. Z pogardą nazywałam ich „parą ochlapusów”. To też dolewało oliwy do ognia...

Wspomnienia z tego czasu, kiedy troszczyła się o nas nasza mama zdawały się być szczególnie cenne w porównaniu z życiem, jakiego teraz doświadczałyśmy. Nie zaprzestałam szukania mojej mamy, przemierzając czasem wiele kilometrów. Niełatwe to było zadanie, biorąc pod uwagę tłum otaczających mnie dzieciaków i psa. Zaczynałam w sklepikach i domach mając nadzieję, że gdzieś dostrzegę tę ukochaną twarz. Niestety, nigdy więcej jej nie zobaczyłam.

W czasie tych wojennych, pełnych niepokoju lat ukrycie własnej tożsamości nie stanowiło żadnego problemu. Moja mama mogła udać się gdziekolwiek, z kimkolwiek i pozostać niezauważoną. Sąsiedzi także nie wykazywali cienia zainteresowania. Traktowali mnie jak jakieś utrapienie pochodzące z domu pełnego takich właśnie problemów, kłopotów.

Tak, dom faktycznie był przepełniony i głośny. Początkowo między mną i dwojgiem dzieci Czarnej Wiedźmy panowała otwarta niechęć, która osiągnęła swój punkt kulminacyjny, gdy przyszli do tej dwójki ich dziadkowie. Przynieśli ze sobą słodycze i upominki – oczywiście nie dla mnie i moich sióstr. Obserwowałam, jak moje siostry spoglądały na słodycze z zazdrością w oczach.

- Może byście się podzielili z innymi, mali utracjusze - zażądałam, chwytając paczkę cukierków.

Były zbyt zaskoczone, by stawiać opór. Po jakimś czasie tych dwoje nowych zaakceptowało mnie, jako szefa, kogoś, kto zastępował im bardzo często ojca i matkę jednocześnie. Prawdę mówiąc, to... te dzieci także były ofiarami okoliczności.

Tak więc zaczynałyśmy się godzić, a ja zyskałam dwoje dodatkowych malców do „gangu”, który wiernie podążał za mną dokądkolwiek szłam, nawet gdy szukałam swojej mamy. Kiedy zdarzało się, że byłam sama, odwiedzałam cmentarz i

opowiadałam Violi May o moich problemach i smutkach. Może niezwykła przyjaciółka była gdzieś w niebie i widziała moją mamę.

Pewnego dnia wróciwszy ze szkoły do domu, zastałam Czarną Wiedźmę bijącą jedną z moich sióstr. Opanowała mnie furia. Chwyciłam nóż do chleba i zaczęłam gonić Czarną Wiedźmę po pokoju.

- Zabiję cię, słyszysz, stara wiedźmo, jeśli jeszcze kiedyś dotkniesz moją siostrę, słyszysz?! - krzyczałam.

Widząc, że mówię jak najbardziej poważnie, Czarna Wiedźma cofnęła się i w odpowiedzi wykrzyczała, że o wszystkim powie ojcu, jak tylko ten wróci do domu.

- A powiedz mu, co ci się podoba, guzik mnie to obchodzi, co mi robi. Ja wiem, co zrobię tobie, jeśli tkniesz którąkolwiek z moich sióstr!

Takie sceny nie były czymś niezwykłym w naszym domu. Ojciec faktycznie mnie karał, jeśli udało mu się pochwycić krnąbrną córkę... Ale jego umysł był często tak zamroczony alkoholem, że nie miałam żadnego problemu z ucieczką. Moje zachowanie zdumiewało go.

Jak wielu innych rodziców taktował dzieci jak przedmioty, które można przestawiać z miejsca na miejsce, a nie jak indywidualne istoty przepełnione emocjami i zdolne do obrony.

Wojna skończyła się niedługo po tym, jak mama opuściła dom. W całym Uxbrigde panowała atmosfera entuzjazmu i radości. Ludzie śpiewali i śmiali się. W oknach wywieszane były flagi i chorągiewki. Miałam nadzieję, że pokój wpłynie na poprawę życia w naszej rodzinie. Moja mama uparcie twierdziła, że to właśnie z powodu wojny ojciec pił tak dużo. Może teraz tato przestanie pić i mama wróci? - myślałam. Ale ojciec to pił więcej niż kiedykolwiek dotąd. Pijaństwo stało się jego sposobem na życie.

W tym świętowaniu zakończenia wojny był pewien jaśniejszy promyczek - ucztę na otwartym powietrzu. Nigdy w życiu nie widziałam takiej ilości jedzenia i dołożyłam wszelkich starań, by niczego nie brakło moim siostram.

To był niezapomniany rok także z innych przyczyn. Dorastałam. Powiedziano mi, że nadszedł czas nauki w gimnazjum. Ta zmiana - często powód dumy innych - oznaczała dla mnie więcej niepokoju i zmartwień. Mój beznadziejny wygląd wywoływał kpiny i szyderstwa w szkole podstawowej. A jak będzie w gimnazjum? Oczywiście, Czarna Wiedźma i ojciec nie wykazywali najmniejszego

zainteresowania moimi problemami. I znów musiałam zmierzyć się z sytuacją zupełnie sama, bez słowa zachęty czy zrozumienia.

- Ooo, patrzcie, stara łachmaniara idzie! Patrzcie na tę brudną cyganicę!

Pierwszy tydzień w nowej szkole obfitował w tego typu obelgi. Próbowałam ignorować „uwagi” innych dzieci i przede wszystkim zdobyć przychylność nauczycieli. Czasem nawet zrywałam dla nich kwiaty z pobliskiego ogródka. Chociaż nie byłam mało zdolna, czy nieinteligentna, traktowano mnie jak głupka, ponieważ prawie nigdy nie zgłaszałam się, kiedy nauczyciel zadawał pytanie. Czułam się bezsilna. Jeśli pokazałam, że znam odpowiedź na pytanie, zaraz dzieci zaraz wołały, że jestem tylko brudną oszustką.

Najbezpieczniej było robić wszystko tak, by nie zwracać na siebie uwagi. Nienawidziłam tej szkoły od momentu, kiedy przekroczyłam jej próg, aż do dnia, kiedy ją opuściłam. Nikt nie dostrzegł, że w porwanych łachmanach może chodzić wrażliwa i uzdolniona osoba. Nikt...

W czasie dwóch kolejnych lat ja walczyłam o przetrwanie w gimnazjum, a Czarna Wiedźma urodziła dwoje dzieci. Rok po roku. Dom po prostu pękał w szwach. Na moje barki spadło jeszcze więcej obowiązków. Miałam trzynaście lat, ale w rzeczywistości byłam o wiele starsza.

Mniej więcej wtedy zaczęłam dbać o wygląd zewnętrzny - mój i moich sióstr. Szkolna przychodnia medyczna wyposażyła nas w pastę i szczoteczki do zębów oraz środki przeciw wszawicy. Ogarnęła mnie pasja utrzymywania czystości. Poświęcając czas i dostępne mi środki, szorowałam każdą z moich sióstr tak długo, aż byłam zadowolona z jej wyglądu.

Potem zabierałam się za pozostałe dzieci w domu. Nie zostawało mi wiele czasu dla siebie, ale byłam zdeterminowana i dokładałam wszelkich starań, by poprawić swój wygląd. Posiadałam dwie cenne rzeczy: sznur szklanych paciorków podarowanych mi przez koleżankę oraz starą szkatułkę, którą mój ojciec znalazł w koszu, kiedy pracował, jako śmieciarz. Pamiętam, jak ukradłam z supermarketu środek do czyszczenia srebra i zapamiętałam czyściłam moją szkatułkę, aż zaczęła pięknie lśnić. Wówczas ukryłam w niej koraliki i zdecydowałam, że będę je nosić tylko w niedzielę. Czasami wyjmowałam korale ze szkatułki, wyciągałam przez siebie w kierunku słońca i patrzyłam jak pięknie migoczą w jego promieniach. To były jedyne skarby, jakie posiadałam. Niewielkie, ale moje własne.

Nie zniechęcona pogarszającymi się warunkami bytowymi naszej rodziny, ze wszystkich sił starałam się poprawić swój wygląd. W tym czasie zaświtała mi

fascynującą myśl: dlaczego by nie wyjechać z domu? Zaczęłam odwiedzać stację metra przy głównej ulicy Uxbridge.

Siadywałam tam na drewnianej ławce, obok mnie wierna Bessie. Patrzyłam na odjeżdżające i przyjeżdżające pociągi. Widok i odgłosy stacji pobudzały moją wyobraźnię.

Jakież szczęście kryje się na końcu tej srebrnej drogi? Marzyłam o wyjeździe do Londynu, znalezieniu pracy, która pozwoli mi wrócić do Uxbridge w wielkim stylu. Wtedy mogłybyśmy razem z siostrami żyć, gdzieś w małym, uroczym domku - żyć długo i szczęśliwie... Ale myśl o opuszczeniu moich bliskich przesłaniała te marzenia. Co by się z nimi stało? Wyprawy do metra, by pomarzyć, mogłyby trwać dalej, ale stała się rzecz dla mnie tragiczna.

Moja kochana, wierna Bessie zdechła. Była już faktycznie stara. Jej strata była okrutnym ciosem. Najpierw straciłam mamę, a teraz psa. To było zbyt wiele. I nie miałam nikogo, kto by dzielił ze mną mój ból. Siostry były zbyt małe, by zrozumieć wielką pustkę, jaka nastąpiła w moim sercu. Zdecydowałam się opuścić dom.

Ojciec i Czarna Wiedźma wychodzili każdego wieczoru, tak więc i ja mogłam wyjść dom nie obawiając się, że zostanę dostrzeżona. Jedynym problemem zejście do metra bez biletu. Zapakowałam w gazetę cały swój majątek: koraliki i szkatułkę. Obiecawszy dzieciom wrócić jak najszybciej, wyszłam. Wbrew wcześniejszym obawom, na peron dostałam się bez problemu. Pierwszy raz jechałam metrem. Nie miałam pojęcia jak długo jedzie się do Londynu. Nie wiedziałam też, jak uniknąć kontroli biletów. Serce waliło mi jak młot. Byłam niezmiernie podekscytowana. W okolicy Hammersmith zdecydowałam, że podróżowałam już wystarczająco długo. Stacja nie była przepiękna, zegar wskazywał 22¹⁰ - godzinę, w której zapewne wiele osób w Hammersmith spędzało mile wieczór. W cienkiej, bawełnianej sukience i rozciągniętym, starym swetrze musiałam wyglądać na przybłędę. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, kiedy prześlizgiwałam się pod barierką kasownika.

Gwarne uliczki Hammersmith skąpane były w światłach i neonach. Dech mi zapierało, kiedy szłam i przyglądałam się witrynom kolorowych sklepów, nie zauważając nawet, że wieczór staje się coraz chłodniejszy.

- A co ty tutaj robisz o tej porze, młoda damo?

Spojrzałam szybko na twarz mężczyzny w średnim wieku. Wyrażała ona zaciekawienie, humor i życzliwość.

- Uciekłam z domu i rano mam zamiar znaleźć pracę.

Mężczyzna przytaknął z powagą.

- Czy masz gdzie spędzić dzisiejszą noc?

- Raczej nie...- Ziewnąwszy głośno, uświadomiłam sobie, jak bardzo byłam zmęczona i głodna.

- Cóż, moja mama na pewno ucieszy się, widząc ciebie - uśmiechnął się obcy. - Już dawno nie mieliśmy gości takich jak ty.

Szliśmy ulicą w milczeniu, aż dotarliśmy do domu. Było ciemno, a ja byłam zbyt znużona, by zwrócić uwagę na front domu, ale w środku było bardzo przyjemnie.

Miły незнаjomy wyjaśnił sytuację swojej mamie.

- Kolacja jest właśnie gotowa - powiedziała. - Teraz coś zjemy, a resztą zajmiemy się jutro rano.

Niedługo potem trafiam do ciepłego łóżka. Po raz pierwszy w życiu poczułam, że spanie w świeżej pościeli może być radością. Szybko pogrążyłam się w głębokim śnie. Rano nie mogłam dobrać się do siebie. Zaraz jednak przypomniałam sobie przygody z poprzedniego wieczoru. „Udało się! Uciekłam!”.

Po obfitej jajecznicy na boczku zaproponowałam miłej gospodyni pomoc w domu.

- Dobrze, zastanowimy się nad tym później. Teraz chciałabym, żebyś mi opowiedziała, jak to się stało, że tak późno wieczorem znalazłaś się w Hammersmith?

Opowiedziałam jej swoją historię, ale nie litowałam się nad sobą. Potrzebowałam jednak pocieszenia w sytuacji, z którą przyszło mi się zmierzyć. Kiedy skończyłam opowiadać, miła pani ocierała łzy.

- Teraz pani rozumie, muszę znaleźć pracę, zarobić pieniądze, żeby moje siostry mogły przyjechać i mieszkać ze mną.

- Ale obiecaj mi, że wrócisz na obiad - powiedziała. - Zapamiętaj drogę.

Zapisałam sobie dokładnie adres i wyszłam. Na głównej ulicy zauważyłam niewielką kawiarenkę. Spodobała mi się. Weszłam do środka. Pani za barem pucowała szkło czystą ściereczką.

- Przepraszam, czy mogłaby pani dać mi pracę?

Spojrzała na mnie z ogromnym zaskoczeniem.

- Ile masz lat?

Pomyślałam szybko.

- Czternaście. Wiem, że jestem mała jak na swój wiek, ale będę ciężko pracowała.
- Cóż, rzeczywiście potrzebuję pewnej pomocy.
- Tak, proszę dać mi szansę.
- W porządku. Przyjdź jutro rano i spróbujemy.

Przepełniający mnie entuzjazm udzielił się także tej uprzejmej pani. Wyrażałam swoją wdzięczność cały czas, idąc do drzwi wejściowych. Prawie biegłam do domu pełna dobrych wieści. Ale radość prysnęła momentalnie, kiedy zobaczyłam policjanta, policjantkę i mojego ojca.

- A to pech, cholera!

Mogłam się domyślić, że to wszystko nie będzie tak gładko szło. Miła pani z tego domu podeszła do mnie.

- Przykro mi Doreen, ale masz zaledwie trzynaście lat. Musisz jechać ze swoim tatą do domu.

- Nie chcę jechać z nim do domu. Chcę zostać tutaj. - zaczęłam płakać.

- Nie płacz, Doreen. Czy mogłabyś powtórzyć pani policjantce to wszystko, co mi opowiedziałaś dziś rano?

Opowiedziałam więc, dlaczego musiałam przyjechać tutaj, że chciałam znaleźć pracę i zapewnić moim siostrze lepsze życie.

- I znalazłam pracę! Mogę zacząć jutro rano, jeśli mi pozwolicie.

Policjantka zaprowadziła mnie do innego pokoju i pytała dokładnie o moje pochodzenie i dom. Słuchała uważnie. Kiedy wywiad się skończył, wielki policyjny samochód zawiózł mnie z powrotem do Uxbridge. Sąsiedzi i dzieciaki wylegli na ulicę gapić się na łowczynię przygód. Byłam bohaterką dnia. Natomiast ojciec spuścił mi największe lanie, jakie kiedykolwiek w życiu dostałam.

- Nie waż się pisać słowa komukolwiek - groził mi - bo sprawię ci jeszcze jedno takie manto.

Władze nie do końca wierzyły ojcu, który zaprzeczał moim słowom. Następnego dnia zjawił się w naszym domu inspektor opieki społecznej. Czarna Wiedźma, ubrana w najlepszą sukienkę, tłumaczyła wszystko brakiem pieniędzy i wymyślała inne problemy, by ukryć swoje zaniedbania wobec dzieci. Opieka społeczna dostarczyła nowe koce i ubrania. Na jakiś czas - bardzo krótki - warunki troszkę się poprawiły.

Byłam gotowa uciec, ale zdecydowałam, że mądrzej będzie poczekać aż skończę czternaście lat. Przyrzekłam sobie, że ucieknę tak daleko, że nikt mnie nie znajdzie. Nie wiem dokładnie, czy druhna słyszała o mojej próbie ucieczki, ale na pewno wiedziała, o problemach, jakie miałam w domu. Nieustannie zachęcała, żebym przychodziła do szkoły niedzielnej. Ku zaskoczeniu wszystkich, także mojemu, wygrałam specjalną nagrodę za obecność w szkółce (za obecność, nie za dobre zachowanie!) Druhna bardzo często mówiła mi o Jezusie Chrystusie.

- On ma cel dla twojego życia, Doreen - zwykła mawiać.

Nie chciałam ranić jej uczuć więc nie odrzucałam Jezusa Chrystusa. Z drugiej jednak strony - nigdy go faktycznie nie zaakceptowałam.

- Zawsze będę się o ciebie modliła. Nigdy nie zrezygnuję.

To właśnie ona odkryła mnie taką, jaką byłam naprawdę. To ona postarała się dla mnie o stanowisko pokojówki w sąsiedniej wiosce, Cowley. Mogłam zacząć zaraz po skończeniu gimnazjum. Druhna zapewniała mnie, że ta praca da mi naprawdę wiele korzyści, mimo że nie będę zarabiała zbyt dużo.

To miał być początek nowego życia. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie wyjadę z domu.

ROZDZIAŁ V

TRANSFORMACJA

To było w niedzielne popołudnie pod koniec lata. „Dziś ostatni raz idę do szkoły niedzielnej” - pomyślałam. Tego dnia miałam opuścić mój dom i zacząć pracować, jako pomoc domowa w Cowley. Miałam nadzieję, że spotkam moją kochaną druhnę, niestety tej niedzieli jej nie było. Nikt inny nie wiedział o moim wyjeździe. Tak, druhna przestrzegła biblijnych zasad i czyniła dobro w sekrecie.

Po szkole wróciłam do domu. Ojca i Czarnej Wiedźmy nie było. Obserwowana przez siostry pakowałam swoje rzeczy do zniszczonej siatki. Uporałam się z tym bardzo szybko. Ubrań właściwie nie miałam, tylko to, co na sobie. Miałam natomiast moją szkatułkę i szklane koraliki oraz nagrodę ze szkoły niedzielnej: egzemplarz śpiewnika „Złote Dzwony”.

Banda wiernych dzieciaków czekała na placu zabaw, by mnie pożegnać. Moje siostry wyglądały na przygnębione.

- Nie martwcie się, dzieciaki - powiedziałam tak pogodnie, jak tylko potrafiłam. – Będę was odwiedzać. Cowley jest tylko dwie mile stąd, to nie jest przecież wyprawa do Australii, prawda?

Machały na pożegnanie swojej małej przywódczyni i patrzyły na nią aż zniknęła za mostkiem. Było mi smutno. Ale takie jest życie. Na szczęście było to piękne popołudnie. Musiałam iść pieszo do Cowley. Dostałam jasne instrukcje, nie mogłam się, więc zgubić, choć przyznam, że w miarę zbliżania się na miejsce, ogarniało mnie coraz większe zdenerwowanie. Jak tam będzie? Czy moje doświadczenia stąd będą podobne do tych z Hammersmith? Nie miałam pojęcia, czego oczekiwać.

Po raz kolejny sama podejmowałam ważny krok w moim życiu o, bez słowa zachęty i pocieszenia od kogokolwiek. W czasie mojej samotnej wędrówki miałam przejść obok budynku gimnazjum. „Cóż, już nigdy więcej nie muszę tam iść” - pomyślałam i to wystarczyło, żebym podniosła się na duchu.

Moje serce biło coraz szybciej i coraz większe stawiałam kroki. Wkrótce na horyzoncie pojawiło się Cowley. Ładne miejsce, nieco wytworne, myślałam, ale miłe. Przyglądając się uważnie bramom mijanych domów, dostrzegłam w końcu numer, który miałam zapisany na kartce.

Brama wjazdowa była ogromna - coś jak bramy niebios, tylko zrobione z żelaza zamiast ze złota. Szłam powoli szerokim podjazdem. Serce biło mi coraz szybciej. Przede mną wyłonił się ogromny dom.

Zawahałam się przez moment przy drzwiach wejściowych, oczekując podświadomie, że po naciśnięciu dzwonka, ukarze się w nich kamerdyner w czarnym garniturze. Po chwili pojawiła się elegancka kobieta. Wyglądała na nieco zaskoczoną moim widokiem.

- Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Hmm, przysłałam, bo mam być nową pokojówką.

Elegancka pani przyjrzała mi się, a potem powiedziała szybko i uprzejmie:

- O tak, czekałam na ciebie. Proszę, wejdź.

Zaprosiła mnie do wielkiego holu, z którego ogromne schody prowadziły do pokoju na górze. Szłam z oczami szeroko otwartymi i nie byłam w stanie wydusić choćby jednego słowa. Kiedy trochę doszłam do siebie, powiedziałam to, co od razu przyszło mi do głowy.

- Jak tu wytwornie!

Pani odwróciła się zaskoczona.

- Myślę, że chciałabyś zobaczyć swój pokój, prawda? Chodź ze mną, proszę.

Szłam za nią na górę w milczeniu.

- Twój pokój znajduje się na lewo. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Czy mi się podobał? Pokochałam go od pierwszej chwili! Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego. Myślałam, że tak zapewne będzie w niebie, o którym śpiewałam (z niewielkim przekonaniem) tego popołudnia w szkole niedzielnej. W pokoju był śliczny, miękki dywan i gustowne meble: łóżko z różową narzutą, toaletka z prawdziwym lustrem, komódki z szufladami, szafa i nawet nocny stolik przy łóżku. W kącie znajdowała się umywalka. Próbowałam ogarnąć wzrokiem te wszystkie rzeczy. Nie miałam pojęcia, że w ogóle istnieją takie luksusy. Wtedy pani powtórzyła:

- A teraz Doreen, tak masz na imię, prawda? Będę twoim pracodawcą. To jest twój pokój.

Gdy będziesz chciała wziąć kąpiel, twoja łazienka jest obok pokoju.

Moja łazienka! Ledwo wierzyłam w to, co słyszałam i widziałam.

- Twoje mundurki są w szufladach komody. Możesz umieścić swoje rzeczy na toalecie i w szafie.

Te słowa przypomniały mi, że przyszłam właściwie z pustymi rękami. Pani spytała, kiedy nadejdzie mój bagaż.

- Nie mam bagażu.

- Chcesz powiedzieć, że nie posiadasz niczego więcej?

- Tak, proszę pani. To wszystko, co mam.

Próbowała ukryć ogromne zaskoczenie faktem, że jej nowa pokojówka była zupełnie pozbawiona środków do życia.

- W takim razie będziemy musiały jakoś temu zaradzić, kochanie. Teraz umyj ręce i zejź na dół.

Zniknęła za delikatnie różowymi drzwiami. Słyszałam odgłos jej cichnących kroków. Usiadłam ostrożnie na łóżku. Dręczyło mnie pytanie, czy zostanę odesłana do domu. Po chwili, doszedłszy do siebie, rozpakowałam tych moich kilka drobiazków i poukładałam je na toalecie. Centralne miejsce na nocnym stoliku należało się oczywiście przedmiotowi mojej dumy - śpiewnikowi „Złote Dzwony”.

Zawsze dociekliwa, próbowałam zapalić nocną lampkę i raczej zaskoczyło mnie odkrycie, że działa bez zarzutu! Ostrożnie przymierzałam mundurki, które miałam nosić. Wymowałam każdy po kolei, przystawiałam do siebie i przeglądałam się w lustrze.

Nagle przypomniałam sobie polecenie, by umyć ręce i zejść na dół. Umyłam więc je szybciotko, czerpiąc przyjemność z zapachu perfumowanego mydła. Zeszłam na dół. Gdy znalazłam kuchnię (kolejny niesamowity widok), miałam wrażenie, że śnię. Poczułam lęk i żal, że ... niedługo nadejdzie ranek i sen się skończy...

Wszędzie, gdzie tylko spojrzałam, znajdowały się śliczne, lśniące czystością przedmioty. Stałam oniemiała.

- Proszę, tu jest twoja kolacja Doreen. Tu zawsze będziesz jadła posiłki.

Dobra pani szybko zorientowała się, że poza nielicznymi drobiazgami „przyniosłam” ze sobą mój apetyt. Znowu zostawiła mnie samą, żebym czuła się swobodnie. Jadłam obfity posiłek z przyjemnością. Było to niesamowite uczucie: ja sama w takiej dużej kuchni. Na szczęście moja pracodawczyni wróciła nim skończyłam. Pomijając ten dziwny początek, czułam, że wszystko będzie dobrze.

Pani wiedziała (prawdopodobnie od mojej dobrej druhny), że jej nowa pokojówka pochodzi z ubogiej okolicy. Chyba jednak nie spodziewała się biednej, małej dziewczynki z tak ogromnymi potrzebami. Ona sama pochodziła z zamożnej rodziny i bogato wyszła za mąż. Jej mąż był dobrze prosperującym przedsiębiorcą, więc nigdy nie zaznała niedostatku.

Teraz stała wobec biednego, odrzuconego, czternastoletniego dziecka. Trudno się dziwić, że nie była pewną, jak wprowadzić mnie w przyszłe obowiązki.

- Myślę, że chciałabyś dowiedzieć się czegoś o swojej pracy. Powinnaś zawsze zwracać się do mnie Madam a do mego męża Sir.

Zdaje się, że dostrzegła cień zdziwienia na mojej twarzy, bo szybko przeszła do tego, iż moja pensja będzie wynosiła dwanaście szylingów i sześć pensów³ tygodniowo. Wypłatę otrzymywałam przed południem w czwartki. Musiałam wyglądać na zadowoloną i zainteresowaną szczegółami. Tak właśnie się czułam. Madam w skrócie powiedziała mi, na czym będą polegać moje obowiązki i dodała zachęcająco: - Wkrótce nauczysz się wszystkiego, Doreen. Bądź cierpliwa. Czy masz koszulę nocną?

³ Szyling - waluta używana w Wielkiej Brytanii do 1971 roku, 1 szyling = 12 starych pensów = 5 nowych pensów [przyp. tłum.]

- Nie mam, Madam.

- Hmm, myślę, że jakoś temu dzisiaj zaradzimy. A jutro pomyślimy o nowych ubraniach i butach dla ciebie.

- Och, dziękuję, tak bardzo Pani dziękuję!

Spędziłam moją pierwszą noc w tym baśniowym domu, w moim własnym pokoju, śpiąc w moim prawdziwym łóżku. To naprawdę było niczym bajka, która stała się prawdą.

Następnego poranka ktoś zapukał do różowych drzwi mojego pokoju. Obróciłam się na drugi bok, by spać dalej, ale nagle przypomniałam sobie, że od wczoraj jestem tu pokojówką i wyskoczyłam z łóżka. Miałam ochotę sprawdzić od razu, jak nosi się jeden z tych mundurków. Moje własne rzeczy wydawały się dzisiaj jeszcze bardziej wyświechtane i obdarte. Ostatecznie założyłam jednak własne ubrania i zeszłam na dół, gdzie czekało na mnie wspaniałe śniadanie. Jadłam je z ogromną przyjemnością, kiedy pojawiła się Madam.

- Pojedziemy do Londynu, jak tylko skończysz śniadanie, Doreen.

Taka perspektywa znacznie przyspieszyła jedzenie. Usłyszałam fragmenty rozmowy Madam i kobiety, która zatrudnionej do sprzątanía, która właśnie przyszła.

- Ta dziewczynka pochodzi z jakiegoś przerażającego miejsca. Kompletnie nie ma się, w co ubrać. Zabieram ją do Londynu.

Kobieta o szorstkim, ale wesołym usposobieniu, weszła do kuchni, by mnie poznać. Spoglądała na mnie przez chwilę i powiedziała:

- Witaj, Doreen. Nazywam się pani Hill i przychodzę tu codziennie. Zwykle pomagam w sprzątaníu. Mam nadzieję, że staniemy się dobrymi przyjaciółkami.

Właściwie nie wiedziałam co powiedzieć, więc starałam się robić dobre wrażenie. Jak się później dowiedziałam, pani Hill pomagała tu już od dłuższego czasu. Do jej zadań należało przede wszystkim sprzątaníe sypialni. Moja praca polegała na utrzymywaniu porządku na dole i pomaganiu przy stole. W domu zatrudniano także kucharkę, która miała teraz wolny weekend. Zastanawiałam się, czy będę pasowała do wszystkich i w ogóle - jak to będzie.

Pojechałyśmy do Londynu dużym, czarnym samochodem Madam. W czasie jazdy wypytywała mnie o mój dom i o mnie samą. Zdawała się być zadowolona z moich odpowiedzi a także trochę oszołomiona. I chociaż sama żyła, pod swego rodzaju „kloszem”, wiedziała, że to raczej szczeróść, a nie wykształcenie jest największą

zaletą małej pokojówki. A ja naprawdę byłam zupełnie szczerą w moich odpowiedziach.

Wkrótce dotarliśmy do Londynu. Samochód zatrzymał się przed sklepem Harrodsa. Zakłopotana Madam zaprowadziła mnie od razu do działu konfekcji. Była tu dobrze znana i wszyscy dokładali wszelkich starań, by sprostać jej oczekiwaniom. Madam szybko wytłumaczyła sprawę kierownikowi działu, który profesjonalnie wyprowadził ją z zakłopotania i wydał personelowi odpowiednie dyspozycje. Mogłam zostać w tym jednym dziale i nie narażać Madam na dalsze zakłopotania.

Byłam kompletnie zdezorientowana tym nagłym poruszeniem wokół mojej osoby. Ludzie biegali tam i z powrotem z paczkami i pudełkami wszelkich kształtów i rozmiarów. Podkoszulki, halki, sukienki i inne części garderoby były przynoszone do prywatnej przymierzalni. Nie miało dla mnie znaczenia, jakiego koloru były ubrania i w jakim stylu. Nigdy wcześniej nie miałam nowych ubrań!

Madam była w bardzo dobrym nastroju. Miałam wrażenie, jakby cały sklep przepełnił nagle bożonarodzeniowy nastrój. Doświadczeni pracownicy uśmiechali się do mnie, z chęcią dokonując mojej metamorfozy. Moje stare i obdarte ubrania zostały dyskretnie wyniesione. Miałam na sobie nowe rzeczy i nowe, błyszczące buty, a reszta zakupów została zaniesiona do samochodu. Ale ... to jeszcze nie był koniec wielkiej przygody!

Madam zabrała mnie do salonu fryzjerskiego, gdzie moje włosy zostały profesjonalnie umyte, przystrzyżone i ułożone. Gdy już wszystko było skończone, zaproszono mnie, bym spojrzała na siebie w lustrze. Odjęto mi mowę, nie mogłam uwierzyć, że ta pogodna i atrakcyjna osoba w lustrze to ja sama.

- Co za zmiana! - powiedziała Madam

Była bardzo zadowolona. Wydawało mi się, że śnię i że w każdej chwili mogę się obudzić w Uxbridge, leżąc na kupie brudnych szmat. Przez chwilę wszyscy, którzy brali udział w tym wydarzeniu, stali obok mnie i cieszyli się ze wspólnego dzieła. Wkrótce, Madam i jej nowa pokojówka, żegnane przez pracowników, opuściły magazyn.

W drodze do domu gorąco dziękowałam Madam. Ona zdawała się być zaskoczona tą żarliwą wdzięcznością. Upewniając się, że faktycznie posiadam tyle pięknych, własnych rzeczy, oglądałam się nieustannie na paczki na tylnych siedzeniach. Głaskałam mój nowy żakiecik i patrzyłam niemal z uwielbieniem na nowe buciki. Tak, były wystarczająco realne. To nie był sen. Życie miało jednak swoje jaśniejsze

strony. Po powrocie do Cowley poznałam kucharkę. Polubiłam ją od pierwszego wejrzenia. Ona i Madam pomogły mi założyć mundurek pokojówki - kolejne miłe doświadczenie.

Moje życie, jako pokojówki miało swoje wzloty i upadki. Były momenty bardzo trudne, ale Madam i kucharka z właściwą im determinacją, trzymały sprawy w swoich rękach, by z tej czternastoletniej dziewczynki wyrosło coś dobrego. Na wszelki wypadek, żeby nie zabrzmiało to zbyt poważnie dodam, że kucharka (powiedziała mi to później) nigdy wcześniej nie śmiała się tak wiele, odkąd ja zjawiłam się w Cowley.

ROZDZIAŁ VI

OBCA

Do moich pierwszych zadań należało krojenie chleba na wieczorny posiłek. Nareszcie zlecono mi coś, co było niezmiernie łatwe. Dlaczego? Przecież wcześniej musiałam kroić setki kromek dla moich głodnych sióstr!

Położyłam pokrojoną górę chleba na talerzu. Madam aż uniosła brwi w zdumieniu i z pewnym niesmakiem przyglądała się niesionej przeze mnie kopie chleba.

- A cóż to ma znaczyć? Co to jest?

- Chleb oczywiście. Tak jak pani kazała - nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie podobały się jej te zdrowo wyglądające kromki chleba.

- O nie, Doreen, pozwól proszę, pokażę ci jak kroić chleb właściwie..

- Ma pani zamiar wyrzucić chleb?! Moje siostry chętnie by go zjadły!

Madam spojrzała na mnie zaskoczona. Nic jednak nie powiedziała. Kucharka, chociaż stała z tyłu, bezskutecznie próbowała ukryć szeroki uśmiech, gdy ja, nieco nadąsana, pobierałam lekcję krojenia chleba.

Skoro okazałam się taką niezdara już przy pierwszym zadaniu, obawiałam się co będzie dalej. Naprawdę bardzo chciałam się uczyć, ale z trudem przyjmowałam kolejne lekcje. Nieprzyjemne sytuacje pojawiały się jedna za drugą. Na przykład podłoga w holu. Zlecono mi jej wypastowanie. Starłam się wypaść jak najlepiej. Używałam tyle pasty i polerowałam podłogę tak mocno, ile tylko byłam w stanie. W rezultacie hol stał się czymś na podobieństwo lodowiska, czego biedna Madam już wkrótce doświadczyła... ślizgając się po nim na małym dywaniku.

- Doreen, to tak nie może zostać! Można sobie nogi połamać. Przykro mi, ale musisz to zeszkrobać i zrobić jak należy.

- Zeskrobać to?! Po tej całej ciężkiej pracy? Pani żartuje! Miałam pastować - to jest wypastowane. Jeśli pani sobie myśli, że będę marnować moją pracę i zeskrobię podłogę, to musi sobie pani znaleźć innego partacza!

Długi dialog wywiązał się między mną a Madam. Nie umiałam języka i wyrażałam swoje uczucia nie przebierając w słowach. Kucharka przyszła z kuchni zobaczyć, skąd to całe zamieszanie. Spojrzawszy na mnie - wróciła, czym prędzej do kuchni, nie mogąc opanować śmiechu.

- Musisz zrobić to, co mówię Doreen. - powiedziała Madam.

Zrozumiałam, że nie mam innego wyjścia. Trzeba było doprowadzić podłogę do stanu użyteczności. Proszek do czyszczenia był mi kompletnie nieznany. Używałam go w ogromnej ilości, wykonując, co mi nakazano. Potem, chcąc być zupełnie pewną, że dwie ściereczki, jakich używałam do sprzątnia, są czyste i białe - wykorzystałam dobre pół pudełka proszku do prania i jeszcze pół butelki wybielacza...

Nietrudno sobie wyobrazić rezultat: wszystko tonęło w mydlinach, a na owe dwa ręczniczki, aż przykro było patrzeć... Madam i kucharka okazały się być wzorami cierpliwości, choć zapewne nie przychodziło im to łatwo. Czasem jednak zdarzało się, że to mnie brakowało tej cechy i uciekałam do ogrodu albo na górę do swojego pokoju zalana łzami upokorzenia. Ale nie każde moje zajęcie kończyło się fiaskiem. Madam zapytała mnie kiedyś, czy mogłabym rozpalić ogień w kominku. Ucieszyłam się myśląc, że choć raz będę mogła zrobić coś dobrze.

- Pani da mi drewno, węgiel i zapałki, a ja pani pokażę, jak potrafię rozpalić w kominku.

- Proszę, żebyś zwracała się do mnie, jak ci powiedziałam, Doreen. - nadmieniła Madam szybko.

- Oj dobrze, dobrze.

I zaraz potem ogień buchał niemal do połowy komina. Madam i kucharka pogratulowały mi, chociaż ogromny ogień wyglądał nieco niebezpiecznie.

Tak więc życie w Cowley, w ciągu tych pierwszych dni, było mieszanką łez, kłótni, niepowodzeń i kilku sukcesów. A doskonale dotychczas prowadzone domostwo, wkraść się wesoły chaos. Przybycie cocneyowskiej sieroty z pewnością dodało koloru spokojnej rzeczywistości tego domu. Nikt, ani Madam, ani kucharka, ani nawet pomoc domowa, nie spotkały wcześniej nikogo podobnego do nowej

pokojówki, która była przyczyną tak wielu trosk, frustracji, zaskoczeń a zarazem śmiechu, i to zaledwie w ciągu kilku dni.

Wysłano mnie któregoś razu do sprzątnięcia innych pokoi. Obawiałam się dotknąć czegokolwiek, żeby nie narobić szkód. Intrygowało mnie też, po co im były te wszystkie pokoje. W Uxbridge mieliśmy tylko dwa na dole, które dorównywały wielkością jednemu tutaj. Tak, życie było tu zupełnie inne.

Kucharka stała się moją dobrą przyjaciółką i podtrzymywała mnie na duchu w chwilach kryzysu. Mimo to, niekiedy czułam się samotna i zagubiona w tym ogromnym, poukładanym domu. Bardzo tęskniłam za moimi siostrami.

Kucharka pracowała w Cowley już od ośmiu lat. Wyglądała zupełnie tak, jak kucharka wyglądać powinna: pulchna, z okrągłą, zaróżowioną twarzą, zawsze pogodną i jasną.

Jadłyśmy razem nasze posiłki w kuchni. Nigdy nie byłam tak dobrze karmiona i ona zawsze pilnowała, aby niczego mi nie zabrakło. Dużo gawędziłyśmy i często rozśmieszałam ją do łez.

Zawsze wyglądała czysto i świeżo, zdawało się, że jej duży fartuch nigdy się nie brudzi, podczas kiedy mój, ku rozpaczy Madam, był poplamiony i wymięty już po pół godzinie. Kucharka zwykła wtedy mawiać: „Zawsze patrz na tę jasną stronę. Przecież mamy tak wiele powodów do wdzięczności.” Chciałam zapamiętać tę dobrą radę, ale tak wiele rzeczy wciąż mi źle wychodziło, mimo że bardzo się starałam. Madam uczyła mnie podawać posiłki do stołu. Ostatecznie zdecydowała się jednak przełożyć to zadanie później.

No, ale już otwieranie drzwi i anonsowanie gości było czymś, co nawet tak nieobliczalna młoda osoba jak ja, powinna zrobić dobrze - zakładała Madam. Niestety, myliła się. Zdołałam narobić zamieszania nawet przy tak prostym zadaniu.

Pewnego wieczoru powiedziano mi, że przychodzą goście. Miałam ich uprzejmie powitać i wprowadzić do salonu. Kiedy zadzwonił dzwonek, poszłam otworzyć. Kucharka stała w lekko uchylonych drzwiach kuchni, ukryta za framugą i słuchała, jak sobie radzę.

Otworzyłam, więc drzwi szybko i powiedziałam głośno: - Wejdźcie i wytrzyjcie nogi.

Tych dwoje spojrzało na mnie z zaskoczeniem. Weszli niepewnie do środka.

- Dajcie swoje płaszcze - powiedziałam - powieszę je. Uczynili to w milczeniu.

Zapowiedziałam gości opierając się o drzwi salonu i mówiąc głośno z cocneyowskim akcentem: - Są już.

Madam wyglądała jakoś tak ... inaczej, nienaturalnie...

Pomaszerowałam z powrotem do kuchni, gdzie, ku mojemu jeszcze większemu zdziwieniu, znalazłam kucharkę, zgiętą w pół, na skutek ataku śmiechu, i ze łzami obficie spływającymi jej po różowych policzkach.

- Co się dzieje? - spytałam.

Kucharka nie była w stanie wypowiedzieć słowa, taki śmiech ją ogarnął.

- Czy znów zrobiłam coś źle?

Moje pytanie i zdziwienie tylko dołało oliwy do ognia. Wkrótce zjawiała się Madam. Jej nie było wcale do śmiechu. A ja... ja przecież byłam tylko sobą! Nie mogłam zrozumieć, dlaczego powstało to zamieszanie. Kucharka, wciąż we łzach ze śmiechu, uciekła na górę, by dożyć do siebie. Najwidoczniej Madam nie spodobało się to, iż kazałam jej gościom wytrzeć nogi...

W końcu nadszedł czwartek i miałam mieć pierwsze wolne popołudnie i pierwszą tygodniówkę.

- Jesteś wolna do jutra rana - powiedział Madam - ale pamiętaj, że powinnaś wrócić do domu najpóźniej o dziesiątej wieczorem.

- Oh, dzięki Madam! - ledwo mogłam wykrztusić z siebie.

Z błyszczącymi oczami pobiegłam na górę, by policzyć moje pieniądze: cały, czysty, dziesięcioszylingowy banknot i lśniąca półkoronówka⁴.

Nigdy nie posiadałam tak wiele. Nic dziwnego, więc, że czułam się jak księżniczka. „O rany - myślałam - ja im teraz pokażę w Uxbridge, co znaczy sukces!”

W moich ładnych nowych ubraniach, z pieniędzmi w kieszeni, dumnie szłam ulicą na stację. Podróż pociągiem do Uxbridge była jedynie kwestią minut. Kiedy wysiadłam z kolejki, wszystko wydawało się być inne - bardziej czyste i nowe. Czy naprawdę niedziela była zaledwie cztery dni temu? Zdawało mi się, że minęły lata.

Kupiłam cukierki dla moich sióstr i poszłam do kawiarni odpocząć chwilę przy herbacie. Doświadczałam nowej samoświadomości. Coś dziwnego i trudnego do zdefiniowania zaczęło się w moim życiu. Nagle pomyślałam o papierosach. Palenie

⁴ Stara waluta, używana do 1971 roku, 1/2 korony = 30 pensów [przyp. tłum.]

nie było czymś nowym dla mnie. Od ósmego roku życia zbierałam niedopałki w rynsztokach i popalałam je, kiedy nikogo nie było w pobliżu.

Czasem wykradałam ojcu tytoń i robiłam sobie własne skręty naśladowując dorosłych. Wszyscy, łącznie z dziećmi z tej brudnej dzielnicy, lubili palić fajkę. Będąc w Cowley ani razu nie pomyślałam o paleniu. Teraz w Uxbridge dały o sobie znać więzy z przeszłością. Kupiłam swoją pierwszą paczkę papierosów w barze, wróciłam do stolika i zapaliłam jednego. To było ogromnie przyjemne uczucie. Nikogo nie obchodziło w najmniejszym stopniu, że młoda dziewczynka paliła.

„Teraz naprawdę jestem dorosła - myślałam - i naprawdę mogę robić, co chcę i co lubię.”

Kiedy wyszłam z kawiarni, skierowałam swoje kroki w stronę osiedla, gdzie spędziłam tak wiele nieszczęśliwych i samotnych lat. Szłam zobaczyć się z moimi siostrami. Dziewczynki były na placu zabaw. Nie od razu mnie rozpoznały. Musiałam wołać je po imieniu kilka razy.

- Patrzcie to Dor! Hej Dor! Dor! - podskakiwały wokół mnie, krzycząc z radości.

Zebrałam je wszystkie razem i objęłam ramionami. Przepetniała mnie wielka radość, gdy patrzyłam na te brudne buźki i potargane czupryny. Wspaniale było je słyszeć, przekrzykujące się nawzajem. Moje serce wypełniła głęboka i czuła miłość do nich wszystkich. Och, jakże tęskniłam za tymi ukochanymi brzdącami.

Oczarowane tym, jak wyglądałam, chwyciły mnie w końcu za ręce i dumnie pomaszerowałyśmy razem do ich domu. Procesja rosła wraz z pokonywaną odległością. Wszystkie napotkane bandy dzieciaków przyłączały się do nas.

Sąsiedzi wylegli przed domy i przyglądali się przemienionej Doreen. Zatrzymywałam się, by opowiedzieć o moim nowym życiu i by się w pełni zaprezentować. Byłam największą atrakcją tego popołudnia.

Kiedy dotarliśmy do zabiedzonego domu, ojca nie było. Czarna Wiedźma zaniemówiła na widok moich ślicznych ubrań i nowych butów. Jakoś nie mogłam znaleźć sobie miejsca w domu.

Taki był dziwnie ciemny i skurczony. Wyszłam więc na osiedle w otoczeniu małych przyjaciół i moich sióstr, jak za dawnych dni.

- Zabierzesz nas z sobą, Dor? - Możemy iść zamieszkać z tobą, Dor?

Wydawało im się, że ich dawna przywódczyni znalazła zamek z bajki i bezkresne skarby.

W końcu wrócił mój ojciec. Odkryłam, że ... wciąż go kocham. On jednak nie okazał mi żadnego zainteresowania. Był zaskoczony, że w ogóle zawracałam sobie głowę odwiedzinami. Chciałam zapytać, czy są jakieś wiadomości o mojej prawdziwej mamie, ale... pomyślałam, że może jednak nie zapytam. Tak było lepiej...

Zaczęłam czuć się dziwnie nie na miejscu. Wraz z upływem godzin w spojrzeniach dorosłych zaczęłam dostrzegać coś podobnego do urazy.

- Myślę, że teraz pójdę do kina - powiedziałam dzieciakom.

Ten powrót do domu okazał się w rozczarowaniem. Siedziałam sama w kinie, myśli kotłowały się w mojej głowie i paliłam papierosa za papierosem. Wydarzenia toczące się na ekranie w ogóle do mnie nie docierały. Wciąż i wciąż dudniło mi w głowie, że stałam się obca dla ludzi z osiedla.

„Nie należę już do rodziny. Jestem obca.” Słowo obca wywoływało we mnie dreszcze i poczucie pustki. Chciałam opuścić dom i chciałam być wolna. Teraz byłam, ale tylko pozornie, bo tak naprawdę czułam, że jestem zniewolona wewnętrzną pustką i samotnością.

„Gdyby nie moje siostry, nigdy więcej już bym tu nie przyszła.”- myślałam. Ale dokąd miałabym pójść, jeśli nie tu? Nikogo innego nie znałam. Szłam na stację, a moje kroki zdawały się mówić: „Obca. Jestem obca. Jestem obca. Do nikogo nie należę. Jestem obca.”

Kiedy zbliżałam się do wielkiego domu, w którym byłam zatrudniona, zaczęła ogarniać mnie depresja.

- Czy miałaś miłe popołudnie kochanie? - zapytała kucharka.

Nie potrafiłam odpowiedzieć, kiwnęłam tylko głową. A przecież to popołudnie nie było miłe... było niemal druzgocącym do świadczeniem.

ROZDZIAŁ VII

ODEJŚCIE

- To bardzo głupio z twojej strony tracić pieniądze na papierosy - głos kucharki brzmiał poważnie i karcąco.

- Jeśli Madam cię złapie na paleniu w kuchni, będziesz miała nie lada kłopoty.

- I co z tego? I tak zawsze mam kłopoty,.

Co prawda ograniczyłam palenie tylko do mojego pokoju, ale Madam wkrótce i tak odkryła ten zwyczaj. Niestety, ani ona, ani kucharka nie miały pojęcia, w jakiej

byłam depresji. Może gdyby miały świadomość tego, co się działo w moim wnętrzu, potrafiłyby zrozumieć, dlaczego tak dużo paliłam.

Madam nie ustawała w podejmowaniu wysiłków, by uczynić ze mnie – wyrzutka społeczeństwa - prawdziwą pokojówkę, zdolną nawet do wypełniania obowiązków gospodarza. Uczyłam się szybko, chociaż wciąż popełniałam niewiarygodne błędy.

Poznałam także dwoje dzieci. Na początku Madam była bardzo ostrożna i starała się, by dzieci miały ze mną jak najmniejszy kontakt. Powodem tego był prawdopodobnie sposób, w jaki się wystawiałam. Chroniła dzieci, by nie nauczyły się ode mnie niepotrzebnych epitetów i wulgaryzmów, a przyznać muszę, że zdarzało mi się nie przebierać w słowach... Nie zawsze rodzicom udawało się upilnować dzieci, czego dowodem były sporadyczne chichoty przy drzwiach kuchni. Potem rozlegał się szmer przemykających stopek, spłoszonych przez zaniepokojonych opiekunów.

Lepiej poznałam dzieci pewnego pamiętnego wieczoru, gdy Madam wychodziła razem z mężem, a kucharka miała wolny dzień. Zdecydowano, że ja się nimi zajmę. Dzieci jak to dzieci, były pełne psotnych pomysłów zupełnie jak te z ulicy i postanowiły w pełni wykorzystać nieobecność dorosłych w domu. Zaczęły marudzić, że są głodne i błagać mnie o coś do jedzenia.

Poszliśmy do spiżarni i pozwoliłam im wybrać, co chciały. A było, z czego wybierać! Oczywiście ja również zaspokoiliłam swój głód. W pierwszej kolejności zaatakowaliśmy tort czekoladowy (dopiero co upieczony), potem bułeczki z jagodami, trochę owoców, a do tego trzy butelki lemoniady. Wspaniale się razem bawiliśmy, rozmawiając, śmiejąc się i lepiej poznając. Dzieci wiedziały, że ta samowola w jedzeniu była zabroniona, o czym rzecz jasna nie poinformowały mnie. Dla mnie były dziećmi gospodarzy. Nie miałam pojęcia, że mogą im zabronić czegoś takiego jak jedzenie. Zdawało mi się, że postępuję zupełnie w porządku.

Na drugi dzień Madam i kucharka szybko się zorientowały, jakiego dokonaliśmy spustoszenia w spiżarni. Zresztą- niczego nie mieliśmy zamiaru ukrywać. W każdym razie nie ja. Dzieci zostały bardzo dokładnie przepytane i rzuciły całą winę na mnie. Madam była strasznie zła. Poczulałam się skrzywdzona i ogarnęła mnie wściekłość.

- Jeśli te cwane maluchy chciały jeść, dlaczego miałam im nie pozwolić? Chyba stać panią na poniesienie takiej straty, co? - krzyczałam zła i rozżalona.

- Spodziewam się, że miałaś w tym swój udział Doreen. - odpowiedziała Madam.

- A co, jeśli miałam?! Mam już dość tego miejsca i was wszystkich!

Głos mi się załamał, a język odmówił posłuszeństwa. Kucharka, zawsze będąca gdzieś w pobliżu, gotowa działać na rzecz spokoju i porozumienia, zaniósł się śmiechem. Ja szczerze mówiąc, nie widziałam niczego zabawnego w tej sytuacji. Pobiegnęłam na górę i zaczęłam się pakować. Kucharka pośpieszyła za mną, a za nią Madam i dzieci.

- Nie powinna być pani tak ostra dla Doreen, Madam - powiedziała kucharka. - Ona miała bardzo trudne życie...

Wtedy dzieci zaczęły prosić Madam, żeby nie pozwoliła mi odejść. Chyba mój głęboki żal zrobił na nich wrażenie. Później przyznały się do swojej winy, cała sprawa zakończyła się szczęśliwie i szybko została zapomniana.

Madam była bardzo cierpliwym i wyrozumiałym pracodawcą. Prowadziła stabilne i nieco „szklarniane” życie. I prawdę mówiąc, niekiedy czułam się jak ptak w klatce. Nie przywykłam do dyscypliny. Niestety, czasem się buntowałam i wybuchałam niepotrzebnie, jak tego dnia, kiedy Madam przyszła do kuchni dać mi pewne instrukcje, źle się czułam, byłam jakaś taka załamana i wydarłam się na biedną Madam bez przyczyny.

- O Boże, zamknij się już i wynoś się z mojej kuchni!

Biedna Madam była tak zaskoczona i niepewna, co zrobić, że faktycznie wyszła z kuchni. Wciąż jednak uczyłam się, że to ona była szefem. Madam cierpliwie poprawiała mnie i upominała, kiedy to było konieczne. Pewnego poranka, około sześciu tygodni po moim przybyciu, zeszedłam na dół, by jak zwykle pomóc w przygotowaniu śniadania. W kuchni zastałam Madam przy pracy. Wyglądała dziwnie blade. Było już wpół do ósmej i ani śladu kucharki.

- A gdzie kucharka?

Nie było odpowiedzi. Powtórzyłam pytanie.

- Doreen - głos Madam brzmiał łagodnie i smutno - kucharka umarła dziś w nocy w czasie snu.

- Umarła?! - wpatrywałam się w Madam nie przyjmując do wiadomości jej słów. - Ona nie mogła umrzeć! Musi się pani mylić!!

Biedna Madam, sama była wstrząśnięta a do tego musiała jeszcze zmagać się z moimi emocjami i niedowierzaniem. Poszła więc jeszcze raz do pokoju kucharki.

- Tak, Doreen, kucharka umarła w czasie snu. W ciszy i spokoju. A teraz kochanie, chcę żebyś była dobrą dziewczynką i pomogła mi poradzić sobie z tym wszystkim. Proszę bądź cichutko. Za chwilę przyjdzie lekarz.

- Po co lekarz, jeżeli ona nie żyje?! - Madam przeżywała trudne, chwile próbując mnie uspokoić.

Wszyscy, także i ja, chodziliśmy na palcach, w milczeniu. A kiedy zostałam sama w tej wielkiej kuchni, łzy zaczęły toczyć się po moich policzkach jedna po drugiej. Aż w końcu - świadomość straty i ból, uwolniły się w rozdzierającym szlochu. Moja kochana kucharka! Ta wspaniała i dobra, zawsze rozumiejąca mnie osoba! Umarła! Wszystko w kuchni przesycone było jej obecnością: ulubione krzesło, koszyk z robótkami ręcznymi, zapasowy fartuch.

Kochana kucharka! Jak bez niej tu będzie? Nic i nikt nie mógł jej zastąpić - wszyscy to odczuwaliśmy. W sercu każdego z nas zostało miejsce wypełnione żalem z powodu jej odejścia.

Życie toczyło się jednak dalej, jak to życie. Nigdy nie zatrudniono nikogo na miejsce kucharki. Każda inna osoba zdawałaby się tu zawadzać. Kto wie, może Madam rozumiała mój ból, widziała smutek na mojej twarzy i dlatego zdecydowała, by nie przyjmować nikogo nowego?

Teraz ona sama gotowała, pomagała jej pani Hills i czasem ja. Lubiłam pomagać przy gotowaniu, dużo się uczyłam od bardzo cierplivej Madam. Pokazała mi, jak piec ciasto, robić przetwory owocowe i wiele innych pożytecznych rzeczy.

Swoje wolne popołudnia spędzałam w Uxbridge, gdzie mój wygląd wciąż jeszcze budził entuzjazm wśród młodszych dzieci. Ale nie miałam żadnych przyjaciół w swoim wieku.

W swoich wędrówkach po mieście zauważyłam, że ludzie nie są chętni, by porozmawiać czy choćby uśmiechnąć się do siebie nawzajem - tak bardzo zaabsorbowani byli swoimi sprawami i swoim życiem. Często spędzałam całe popołudnie nie zamieniwszy ani jednego słowa z dorosłą osobą.

Raz lub dwa odwiedziłam dom misyjny przy ul. Waterloo, ale jakoś nie miałam z kim spędzić czasu i porozmawiać. Rzadko kto tam bywał po południu, w środku tygodnia. Często tak się działo, że dzieci po skończeniu szkoły, były rzucone w wir tego świata i niejednokrotnie czuły się zagubione. To też spotkało i mnie. Szkoda, że tak się stało. Może gdyby jakiś starszy ode mnie, wrażliwy chrześcijanin napisał czasem krótki list, nie czułabym się taka zagubiona, samotna i może byłabym szybciej „zdobyta” dla Chrystusa...

Jak wiele dziewcząt w tym wieku, zaczęłam marzyć o chłopaku i o wyjściu za mąż. Byłoby wspaniale mieć kogoś, kto naprawdę by mnie kochał! Tak, dorastałam umysłowo i fizycznie. Aby spotkać jakichś młodych ludzi w moim wieku i być może

- tego wymarzonego księcia - poszłam raz do dyskoteki zamiast do kina. Głupio mi było na początku i wstydziłam się. Ale przepętniająca mnie energia wzięła wszystko w swoje „ręce”. Nie miałam problemu ze znalezieniem towarzystwa. Lubiłam się bawić i szybko stałam się znana, jako dziewczyna, z którą super można spędzić czas.

Z pobliskiej jednostki przychodzili na tańce żołnierze. Nie miałam złudzeń, co do ich motywów, bo oczywiste było, że nie przychodzili tylko potańczyć... I zwykle nie mieli czasu (ani ochoty) na długie romantyczne podboje. Ale wszystko, czego ja chciałam - to po prostu towarzystwo, ludzie, dobra zabawa.

Jako małe dziecko widziałam i słyszałam tak wiele rzeczy związanych z seksem, że wszelkie prawa natury nie były mi obce. W moim otoczeniu relacje seksualne nie miały żadnej religijnej otoczki, nie były poddane żadnym nakazom i zakazom. Ludzie żyli ze sobą a małżeństwo było wyłącznie sprawą przekonania i decyzji. Uczyłam się życia, obserwując je.

Przypadkowe relacje z płcią przeciwną nie były niczym niezwykłym w moim otoczeniu. Nie czułam więc jakiegokolwiek zażenowania czy zakłopotania. Poza tym, zawsze przecież istniała szansa, że któryś z tych młodych mężczyzn naprawdę mnie pokocha i będziemy żyli razem długo i szczęśliwie, jak w bajce.

I naprawdę spotkałam pewnego człowieka, przystojnego mężczyznę, który wrażliwy i bardzo miły. Po raz pierwszy w życiu poczułam się jak na wymarzonej wyspie - bezgranicznie zakochana.

Nawet mój wygląd zmienił się w ciągu jednej nocy. Wszystko było wspaniałe, łącznie z pracą w domu. Przeobraziłam się nagle w jasną, promienną Doreen. Cała moja samotność zniknęła.

Jednak ... Życie w chmurach i piękny romans skończyły się tak nagle jak się zaczęły, i to już po trzech tygodniach. Spadłam na ziemię okrutnie zraniona. Mój przystojny przyjaciel poinformował mnie, że był już wcześniej zaręczony i że niedługo się żeni. Mój świat runął. Miałam wrażenie, że pęknie mi serce i umrę. Jak to w życiu - czas okazał się być lekarzem...

„Dlaczego niektórzy ludzie mają tak dużo pieniędzy a inni tak mało?” - to wielkie pytanie zaczęło mnie dręczyć i powracać niczym bumerang. „To nie jest w porządku!”- myślałam. W moim pustym sercu pojawiło się ziarno zgorzknienia. Zaczęłam też myśleć, że zdobycie wielkich pieniędzy przyniesie szczęście, którego tak poszukiwałam.

Zdecydowałam się poprosić Madam o podwyżkę. Myślałam, że to pozwoli mi zaoszczędzić odpowiednią ilość pieniędzy, by wyjechać do Londynu. Tam mogłabym zarobić naprawdę duże pieniądze! Tam mogłabym pozwolić sobie na super ubrania i mieć wielu przyjaciół! Prośba o podwyżkę wciąż była w moich myślach, kiedy doszło do kolejnego niezapomnianego wydarzenia. A chodziło o telefon, przedmiot, do którego odnosiłam się z pełnym obaw dystansem, a zarazem i z ciekawością.

Pewnego dnia Madam zdecydowała, że nadszedł już czas, by jej nowa pokojówka zaczęła odbierać telefony. Cierpliwie i dokładnie wytłumaczyła mi, jak się zachować i co mówić. Później oświadczyła, że następnym razem, gdy usłyszę dźwięk aparatu, mam odebrać. Jakiś czas później telefon faktycznie zadzwonił.

- Proszę, Doreen, odbierz go tak, jak cię uczyłam. - I jeszcze dodała szybko - Jeśli to pani Winters, powiedz jej, że mnie nie ma w domu.

Podniosłam ostrożnie słuchawkę, tak jakby była laską dynamitu z bardzo krótkim lontem. Powtórzyłam numer - zgodnie z instrukcjami Madam i spytałam, kto mówi. - Z tej strony pani Winters ... - zaczął głos po drugiej stronie linii.

- O, naprawdę? - przerwałam szybko. - Madam kazała mi powiedzieć pani, że jej dzisiaj nie ma w domu!

Z mieszaniną ulgi i zadowolenia odłożyłam, czym prędzej słuchawkę, pozostawiając tę panią w pełnym osłupieniu. Madam niemal eksplodowała. Cóż więcej powiedzieć - już nigdy nie powierzyła mi odbierania telefonu. Później czułam się bardzo głupio. Gdybym była bardziej ostrożna z tym telefonem, mogłabym poprosić o podwyżkę. Teraz nijak nie wypadało o to poprosić. Musiałam więc bardziej oszczędzać. Londyn stał się moim celem. Wyobrażałam sobie, że to miasto jest pełne możliwości dla młodej dziewczyny z takimi ambicjami jak moje. Myślałam, że wyjazd do Londynu zmieni moje życie na lepsze. I nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie tam pojadę.

Gdy uznałam, że mam już wystarczającą ilość pieniędzy, spakowałam torbę i odeszłam nikomu nic nie mówiąc. Przepętniona burzą emocji, wsiadłam do pociągu w Uxbridge. Nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na niewysoką nastolatkę z wyrazem determinacji na młodziutkiej twarzy.

Smutno to mówić, ale takie wydarzenia mają miejsce każdego dnia - wielu nastolatków, samotnych i zbłąkanych, uciekających z domu, marzy o Londynie. Jeszcze smutniejsze jest to, że często nie ma nikogo, kto by się troszczył o to, co się dzieje z takim młodym człowiekiem, który wpada w otchłań ogromnego miasta.

Nie miałam zbyt wielkiego pojęcia o tym, co mnie czeka po tej drugiej stronie marzeń...

ROZDZIAŁ VIII

ULICE PADDINGTON

Do Paddington w Londynie przybyłam mając znacznie więcej rzeczy niż dziewięć miesięcy wcześniej, kiedy wlokłam się z Uxbridge na służbę do Cowley. Tym razem jednak żadna praca na mnie nie czekała. Więcej, nie czekało nawet miejsce, w którym mogłabym spędzić noc.

Nie byłam aż tak bardzo zniechęcona, pewnie dlatego, że wzrastałam w świecie niepewności, szkolona ciężkimi kopniakami. Zawsze przecież mogłam pójść do baru i przemyśleć jeszcze raz całą sytuację. Niestety, po skończonym posiłku, byłam w tym samym miejscu.

Łatwowierna jak zawsze, oczekiwałam, że Londyn jest wspaniałym miejscem. Byłam niczym Dick Whittington, który wierzył, że ulice Londynu są wybrukowane złotem. Z otwartą ze zdziwienia buzią wędrowałam ulicami centrum, wpatrując się w kolorowe witryny sklepów. Chociaż tak naprawdę to byłam rozczarowana tym, co widziałam: ciemne alejki, brudne budynki, na wpół opuszczone domy przy wąskich uliczkach, pnące się do nieba tak wysoko, że nie sposób było ich wzrokiem ogarnąć. „Przecież tu jest gorzej niż na komunalnym osiedlu w Uxbridge!”-myślałam. Ale nie było już drogi powrotu. Próbowałam zatrzymać kogoś i zapytać o jakiś nocleg. Ludzie jednak mijali mnie w pośpiechu, wpatrując się w ponury bruk pod stopami.

Przystanęła tylko jedna osoba, kobieta, żeby udzielić mi informacji. Wskazała budynek znajdujący się nieopodal, gdzie można było zatrzymać się w tanim pokoju, płacąc za tydzień z góry. Wynajęto mi posępne, ledwo muśnięte jakąś szmatą pomieszczenie, składające się z sypialni i łazienki. Brązowe tapety odchodziły od wilgotnych ścian. W porównaniu z ciepłym, przytulnym i ślicznym pokojem, jaki opuściłam kilka godzin temu w Cowley, to była straszna nora.

Usiadłam na chybotliwym łóżku rozglądając się wokoło. „Cóż, zawsze można trochę posprzątać. Mam przecież całkiem niezłą praktykę w sprzątaniu”-pomyślałam sobie.

W tym wielkim domu było mnóstwo takich pojedynczych pokoi do wynajęcia. Słyszając za ścianą głośny śmiech, zdecydowałam się tam zajrzeć. Zapukałam do drzwi i w odpowiedzi usłyszałam wesołe „Wejdz kochanie” oraz salwę śmiechu.

- Szukam jakiegoś wiadra, mydła i szczotki do szorowania. Chciałabym trochę posprzątać w moim pokoju.

Dziewczęta popatrzyły na mnie, potem na siebie nawzajem i zachichotały.

- Ja bym się tym nie przejmowała, moja droga - powiedziała jedna z trzech dziewcząt. - Nie warto.

- Zostaw dziecko w spokoju! - zaproponowała najstarsza z tej trójki.

Sądząc po wyglądzie pokoju, do którego weszłam, mogłam równie dobrze zapytać o żyrandol. Jednak ku mojemu zaskoczeniu rzeczy, o które pytałam, zostały znalezione – dość sfatygowane, ale użyteczne.

- Wielkie dzięki - powiedziałam i wycofałam się. Znow rozległ się śmiech.

Odgłosy szorowania musiały chyba wyrzeć jakieś wrażenie, gdyż po pewnym czasie jedna z dziewcząt weszła do mojego pokoju z kubkiem herbaty. A mój pokój, muszę przyznać, wyglądał znacznie lepiej - ja nie, niestety... Upaprałam się po uszy.

- Masz kochanie, zasłużyłaś sobie - powiedziała miła sąsiadka.

- Ooo, dzięki serdeczne! To jest to, czego mi trzeba.

- Jesteś tutaj nowa, prawda? Widziałam jak przyszłaś.

- Yhym, rzuciłam poprzednią pracę i uciekłam. Byłam pokojówką. Mam na imię Doreen.

- Cóż, ja jestem Brenda, jest nas tutaj sześć dziewcząt. Ty będziesz siódma. Szczęśliwa siódemka. Może faktycznie ci się jakoś poszczęści, Doreen.

Opowiedziałyśmy sobie kilka szczegółów z naszego życia. Kiedy ja z zapałem opowiadałam Brendzie o swoim wcześniejszym życiu, niepostrzeżenie weszły inne dziewczęta. Potem odezwała się właśnie Brenda. Była 10 lat starsza ode mnie i chyba to ona najczęściej zabierała głos.

- My zarabiamy na ulicy, rozumiesz?

- Na ulicy? - zaintrygowało mnie to.

- No wiesz - śpimy z facetami za pieniądze. Można zarobić kupę szmalu. Mężczyźni dobrze płacą. - Pozostałe dziewczyny przytakiwały na potwierdzenie tego, co mówiła Brenda.

- Komu się chce być niewolnikiem codziennej pracy - powiedziała jedna z nich. – Jesteśmy niezależne. Mamy wszystko, co chcemy.

Faktycznie, miały dobre ubrania na sobie i kosztowną biżuterię. Otwierałam oczy z coraz większym zdziwieniem. Nigdy wcześniej nie zetknęłam się z prawdziwą prostytutką.

Zauważyłam, że o zarabianiu na ulicy mówią używając słów, jakimi ludzie posługują się w interesach. Kwestie moralności były jakby poza tym, nie wchodziły w sferę „pracy”.

- Cóż - westchnęłam - ja byłam tylko pokojówką i więcej nie chcę tym się zajmować.

- Nie musisz, kochanie. Jesteś młoda i całkiem ładna. Mogłabyś zarobić niezłe pieniądze z nami na ulicy.

- Pomyślę o tym, Brenda i dam ci znać rano.

Kiedy dziewczyny wyszły z mojego pokoju, zaczęłam analizować wszystko, co usłyszałam i zobaczyłam. Właściwie, podsumowałam swoje rozważania, po to przecież przyjechałam do Londynu - zarobić kupę forsy. Jeśli mężczyźni chcieli płacić za trochę zabawy, co w tym złego? A dziewczyny wydawały się być wystarczająco szczęśliwe. Dlaczego więc nie żyć tak jak one. Nie bez znaczenia było też to, że okazały mi naprawdę szczerze zainteresowanie, czego nie miałam okazji, w takim stopniu, doświadczyć wcześniej.

Nie wszystkie prostytutki pochodziły z biednych i nieszczęśliwych domów, takich jak mój. Nie wszystkim rodzice odmówili miłości i troski. Ale wszystkie zdawały się mieć jedną wspólną cechę: samotność. Wszystkie szukały szczęścia i uważały, że kupią je za pieniądze.

To właśnie dlatego, wiele prostytutek, które nigdy nie uświadomiły sobie ukrytego niebezpieczeństwa i ryzyka takiego życia, uważa, że nie ma nic atrakcyjniejszego niż pieniądze. Rozczarowania i zawody (szczególnie zawody sprawiane przez mężczyzn) pchają kolejne kobiety na tę drogę do iluzorycznego szczęścia, drogę zgorzknienia i samotności, a społeczeństwo bez wahania je odrzuca.

Wszystko to razem wzięte, stało się, niestety, także i moim udziałem. Jako samotna czternastolatka, podzieliłam los kobiet zmierzchu. Zaczęłam trudnić się najstarszym i najbardziej pogardzanym zawodem świata.

Pierwszego wieczoru towarzyszyłam Brendzie na ulicach Paddingtonu. Widziałam jak łatwo przychodziło jej wzbudzanie zainteresowania mężczyzn. Spacerowała po prostu chodnikiem kołysząc biodrami i pobrzękując lekko pękniętym kluczy. Nie czekała długo, aż pojawił się mężczyzna. Szybko doszli do porozumienia.

- Dwa funty - doleciały do mnie słowa Brendy. Mężczyzna skinął głową i oboje zniknęli. Wszystko wyglądało banalnie, tylko, że ja nie miałam żadnego doświadczenia i byłam znacznie młodsza. Brenda dała mi kilka wskazówek odnośnie pieniędzy, antykoncepcji i rzeczy, których powinnam unikać. Mimo to byłam pewna obaw, że sobie nie poradzę.

Po raz pierwszy znalazłam się zupełnie sama na ulicy. Umierałam z niepokoju. Spacerowałam wolno brzegiem chodnika, a moje klucze lekko pobrzękiwały. Serce waliło mi w rytm każdego stawianego kroku. Ze wszystkich sił starałam się wyglądać tak, jakbym bywała tu od zawsze. Niepotrzebnie jednak obawiałam się tego debiutu. Dziewczynie tak młodej jak ja, nie groziło długie czekanie na mężczyznę. Wkrótce, tuż obok mnie, zatrzymał się samochód. Wzięłam głęboki oddech i ... zaczęłam swoją nową karierę.

Moja pewność siebie rosta wraz z upływającymi tygodniami. Już wkrótce miałam pełno pieniędzy. Kupiłam sobie mnóstwo nowych ubrań. Ale to, co najważniejsze dla mnie - miałam mnóstwo przyjaciółek, wszystkie żyłyśmy w ten sam sposób. Byłam artystką równą innym znakomitościom, pełną humoru i zawsze skorą do żartów. Nie dziwne więc, że szybko stałam się znana wśród innych dziewcząt i starszych kobiet na ulicach Paddingtonu. Nawet „pracownicy” ulicy potrzebowali odrobinę zdrowego, czystego humoru.

Wiele dziewcząt, włączając także i mnie, miało w sobie ducha wolności, radość i miłości. Miały złote serca i nigdy nikogo by nie skrzywdziły. Oddałyby swój ostatni grosz dla kogoś w potrzebie. Pomijając jednak to wszystko, szczęście wciąż zdawało się mnie zwodzić i omijać. Nie umiałam się z tym pogodzić. Nigdy jednak nie rozmawiałam o moich częstych depresjach z innymi dziewczętami.

W tym czasie po raz pierwszy zetknęłam się z Armią Zbawienia. Szłam kiedyś ulicą i zauważyłam zgromadzenie na otwartym powietrzu, prowadzone właśnie przez korpus Armii Zbawienia. Młoda dziewczyna w mundurku stała i śpiewała a capella, a jej głos brzmiał tak słodko, że w moim sercu coś drgnęło. Słowa, które śpiewała obezwładniły mnie:

*Mój Ojciec jest bogaty w domy i ziemie.
On trzyma bogactwa tego świata w swoich rękach,
Rubinów i diamentów, srebra i złota,
Jego kufry są pełne;
Jego bogactwa są niewypowiedziane.
I jestem dzieckiem Króla, Ja jestem dzieckiem Króla.
Z Jezusem moim Zbawicielem - jestem dzieckiem Króla.*

Twarz dziewczyny, pełna spokoju i radości, przykuła moją uwagę. Nagle uświadomiłam sobie, że mimo tych łatwo zarobionych pieniędzy, tak naprawdę nie miałam nic. Byłam przeraźliwie biedna w porównaniu z tą dziewczyną. Ona naprawdę była dzieckiem Króla. „Cóż z tego? Jest już za późno na zmianę. Dla nich wszystko jest w porządku. Oni są miłymi ludźmi, a ja...ja jestem tylko znaną prostytutką." I chociaż pełna smutku, to jednak dalej szłam tą moją drogą. Myślałam, że chrześcijaństwo jest dla dobrych ludzi, a nie tych, którzy potrzebują stać się dobrymi.

Dalej zarabiałam na ulicy. Nigdy jednak nie zapomniałam tej dziewczyny z Armii Zbawienia i jej śpiewu. To krótkie spotkanie było ważnym wydarzeniem w czasie trudnej pielgrzymki mojego życia.

Później zmieniłam imię (o ileż łatwiej zmienić imię niż życie...). Dla potrzeb „zawodowej” aktywności stałam się Michelle, co i tak nie wpłynęło na poprawę mojej równowagi wewnętrznej, której zresztą nie miałam.

Brenda i ja bardzo się zaprzyjaźniłyśmy w tym czasie. Często zapuszczaliśmy się w inne dzielnice Londynu. Moja ochota do żartów i psot nie osłabła - śmiech zawsze łagodził przygnębienie. Wrzuciłam na przykład puderniczkę i czerwony cień do fontanny na Trafalgar Square i omal nie zostałam ukarana mandatem. Miałyśmy z Brendą pyszną zabawę.

Prostytucja była nielegalna, miałam więc oczy bardzo szeroko otwarte. Stałam się niezłym ekspertem od unikania policji, ale nigdy nie lekceważyłam jej przedstawicieli. Nie potrafiłam natomiast, tak szybko, pozbyć się poczucia winy, jakie miałam zawsze na wspomnienie moich sióstr. Straciłam kontakt z rodziną w Uxbridge już dawno, dawno temu, ale nie przestałam zastanawiać się, jak żyją moje małe siostry. Czy moja prawdziwa mama kiedykolwiek wróciła?

Gapiąc się na chodnik, z głową przepełnioną takimi myślami, czułam się tak, jakby ciężka, dusząca płachta poczucia winy i pustki, przygniatała mnie mocniej i mocniej. Nieświadomie często potrząsałam głową, chcąc oddalić to wszystko, co się w niej kotłowało.

Pewnego dnia Brenda i ja wybrałyśmy się do Soho, dzielnicy na obrzeżach zachodniego Londynu. Soho znaczyło dla mnie najlepszą zabawę, blask i świetność. Zawsze odurzały mnie te wszystkie neony i dźwięki. Chodziłyśmy bez celu gwarnymi ulicami, gotowe do zabawy, żartów i psot.

Nagle mój wzrok padł na napis nad witryną jakiegoś sklepu: „Zatrudnię modelkę, szczegóły na górze." - Hej, Brenda - powiedziałam - idziemy? Tylko dla śmiechu!

- No nie wiem. Dla mnie już za późno na bycie modelką. Ale jak chcesz się zabawić, to dobra.

- Ekstra. Będzie wesoło. Szkoda, że nie mam mojego szala ze strusich piór... - zażartowałam.

Chichocząc weszłyśmy na górę. Podobny napis znajdował się tam na drzwiach. Zapukałam głośno i znów opanował nas duszący śmiech. Zostałyśmy przyjęte przez dwóch mężczyzn w krzykliwie jaskrawych ubraniach. Uprzejmie spojrzeli na mnie, w oczywisty sposób szacując mój wygląd. Potem nastąpiła dość swobodna rozmowa i sprawdzanie moich wymiarów. Nie omieszkałam rzecz jasna wtrącić kilku bezczelnych uwag. Następnie kazano mi przespacerować się po pokoju. Nie przejmowałam się tym, że wszystko to wyglądało dość poważnie - przecież przyszłam tutaj tylko dla zabawy. Poproszono mnie jeszcze, żebym zatańczyła.

- Po prostu, poruszaj się tak, jak chcesz do tej muzyki - powiedział jeden z mężczyzn, puszczając jakieś nagranie.

No cóż, mój występ był nieco zabawny, ale tych dwóch mężczyzn uśmiechało się z wyraźną aprobatą, bez cienia kpiny.

- Czy zajmowałaś się kiedykolwiek striptizem?

Przestałam tańczyć, z trudem łapiąc oddech.

- Och, mnóstwo razy, ale to zależy, co macie na myśli.

- Szczególny rodzaj tańca w nocnym klubie.

- Nie, ale teraz wiem, jakiego rodzaju modelki poszukujecie.

- Podobasz się nam. Dobrze się poruszasz, masz w sobie pełno życia i ... jesteś bezczelna - klienci to lubią.

- Pracujesz na ulicy, prawda? - zapytał drugi mężczyzna.

- A co jeśli tak?

- Nic, szybko się zorientujesz o ile łatwiejszy sposób na życie ci proponujemy. Robota jest twoja, jeśli chcesz ją wziąć.

Patrzyłam się na nich osłupiała.

- No wiecie, prawdę mówiąc, my przyszłyśmy tutaj tylko dla zabawy, no nie Brenda?

- Nie bądź głupia, bierz to szczęściaró - radziła Brenda. - Sama chciałabym mieć taką szansę, ale jestem już trochę za stara, wiem.

- Hmm... Dobra. Kiedy zaczynam?

- Dziś wieczorem. Musisz jeszcze mieć jakieś imię na scenę, coś co do ciebie pasuje. A jak ty w ogóle masz jakieś imię?

- Doreen.

- Nie, to zbyt skromne i pospolite.

- Cóż, jeśli to coś pomoże - wtrąciła Brenda - to ona jest bardzo śmiała.

Ruszyłam swoją wyobraźnię.

- Co myślicie o Śmiała Diana? (Daring Diana po angielsku)

- Świetnie, Diana jest w sam raz dla ciebie. Śmiała Diana - świetnie! - jeden z mężczyzn wykazał szczery entuzjazm.

Potem wytłumaczył mi, że powinnam wieczorem przyjść do klubu i obserwować pracę striptizerek.

Szłyśmy nad dół z Brendą w stanie totalnego szoku. Nie upłynęło pół godziny, jak na witrynie sklepu pojawił się afisz z moim imieniem - artystką striptizerką.

To było tak łatwe jak prostytutka. Banalna sprawa. Bezpośrednie i proste. Tak, tylko że bezpośrednio prowadzące do życia w jeszcze większym upadku niż to, które już znałam, a które i tak było wystarczająco upadłe. Kiedy ktoś już zaczął się staczać, droga w dół zdaje się być coraz bardziej prosta i łatwa.

Tego wieczoru, zamiast chodzić po ulicy, czekając na klienta, siedziałam i obserwowałam młode dziewczyny robiące, co do nich należało na scenie nocnego klubu w Soho. Będąc byстрыm obserwatorem, uważnie rejestrowałam sposób, w jaki się poruszały. Zdawało się to być dość łatwe. Nie zajęło mi zbyt wiele czasu nabycie umiejętności pozbywania się ubrania w rytm powolnej muzyki. Kazano mi być tak wyzywającą, jak tylko potrafię. I tak oto Śmiała Diana stała się częścią pokazu striptizowego, jednego z dziesiątków takich przedstawień w klubach nocnych tej okolicy.

Osiem dziewcząt pracowało na zmianę w tym klubie, w którym stałam się znana, jako Śmiała Diana. Fotos przedstawiający mnie nagą, jako nową gwiazdę, był wywieszony na zewnątrz klubu, by przyciągnąć mężczyzn z ulicy. Natomiast w środku atrakcyjne dziewczęta nęciły mężczyzn drogimi napojami alkoholowymi.

Moje życie diametralnie się zmieniło. Zarabiałam znacznie więcej pieniędzy niż kiedykolwiek, choć sama prostytutka też była bardzo dochodowa. Opuściłam

Paddington i wynajęłam duże mieszkanie w Mayfair. Dzięki temu mogłam żądać znacznie większych kwot od swoich klientów.

Soho zaczęło oznaczać dla mnie niemal raj na ziemi - mnóstwo ubrań, pieniędzy i biżuterii. Zatrudniłam nawet kobietę do sprzątania mieszkania. Teraz JA byłam Madam - i to w znacznie szerszym tego słowa znaczeniu... „Nareszcie do czegoś dochodzę w tym świecie" - myślałam. Jednak prawda była taka, że staczałam się coraz niżej w zastraszającym tempie.

ROZDZIAŁ IX

DROGA DO WIĘZIENIA

„Co ja właściwie robię w tym bagnie? Czy po to się urodziłam?" Te pytania pojawiały się czasem w samym środku mojego przedstawienia. Pośród ryku uznania rozbawionej publiczności, czułam się kompletnie sama. Stawałam się coraz bardziej znana i sławna w Soho, jako Śmiała Diana, a jednocześnie delikatność i łagodność, będące częścią mojej natury, zaczynały gdzieś ulatywać. Soho i cała ta „świetność" zawiodły moje oczekiwania.

Nie znalazłam szczęścia. Oprócz wielkich pieniędzy, które tu zarabiałam - nienawidziłam życia. Cóż, nikomu nie przyszłoby na myśl, co się działo we mnie. Wypracowałam sobie opinię dziewczyny pełnej życia i humoru, zawsze skorej do śmiechu, ale ten śmiech był w rzeczywistości głuchy i pusty.

- Diana, będziesz dzisiaj na imprezie?

Zaproszenie przyszło od jednej ze striptizerek z mojej zmiany. Dzikie przyjęcia u niej zawsze oznaczały doskonałą zabawę.

- Jasne! Mam nadzieję, że zatroszczysz się o dobre męskie towarzystwo!

Jak zwykle przyszłam, jako jedna z pierwszych. Zająłam się przeglądaniem płyt, ustawionych na stojaku w rogu pokoju. Głośna muzyka była istotnym elementem dobrej imprezy. Natrafiłam na bardzo stare, dość niezwykle nagranie. Wygrzebałam je ze stosu i nastawiłam gramofon. Czysty, męski głos zaczął śpiewać:

*Wiodłem życie grzechu pełne w tym świecie, w którym wciąż żyję
Robiłem rzeczy zabronione, których robić nie należało.
Zapytałem żebraka o drogę do miejsca, gdzie mógłbym się zatrzymać,
Gdzie mógłbym znaleźć prawdziwe szczęście i miłość, która jest prawdą.
Po drugiej stronie mostu nie ma już smutków,
Po drugiej stronie mostu nie ma już bólu.*

Słońce zaświeci na drugim brzegu rzeki.

I nigdy już nie będziesz nieszczęśliwy.

Zastęchałam się w tę piosenkę. Dawna nutka łagodności i wrażliwości odezwała się we mnie, dawne tęsknoty powróciły. Moje serce zapłakało żalem i poczuciem winy. „Gdzie jest ten most - pytałam sama siebie - gdzie jest ta rzeka? Tak bym chciała wiedzieć, jak znaleźć prawdziwe szczęście...”

Ogarnęła mnie dziwna świadomość, że gdzieś minęłam bezpowrotnie właściwy zakręt do szczęścia, do spełnienia. Ale wtedy zaczęło się przyjęcie i weszłam w swoją rolę Diany, imprezowej dziewczyny, która nadaje tempo i życie każdej zabawie.

Mijały tygodnie, a ja stawałam się coraz bardziej zatwardziała i zamknięta w sobie, często cierpiąc z powodu ataków poważnej depresji. Nagle zaczęłam też bardzo dużo pić i palić - ponad czterdzieści papierosów dziennie stanowiło normę.

Jednego dnia, kiedy właśnie opróżniłam swój kieliszek, jakiś mężczyzna przysunął stółek i usiadł przy barze tuż obok mnie. Wyglądał podejrzanie przyjaźnie, zbyt przyjaźnie.

- Wyglądasz jakbyś miała wszystkiego dosyć - powiedział.

- Bo mam.

- Zapal sobie - podał mi jakiegoś skręta.

- Nie dzięki, wolę swoją markę.

- Masz wszystkiego dość, prawda? To pomoże ci poczuć się lepiej. Oczywiście, trzeba nieco więcej za to zapłacić niż za zwykłe papierosy, ale zapewniam, że warto. Czemu nie miałabyś przynajmniej spróbować?

Wzięłam, jakby od niechcenia, jednego papierosa a nieznajomy bacznie mnie obserwował, kiedy zapalałam go, a potem zaciągałam się. Fala satysfakcji przepłynęła przez moje ciało w ciągu kilku minut.

- Co to jest? - zapytałam.

- Trawa. Poprawia samopoczucie, prawda?

- Owszem. Można to kupić?

- Jasne, że można, tyle, ile, chcesz a nawet i więcej.

Nie obchodziło mnie, skąd to pochodziło. Poczułam się lepiej, tylko to mnie interesowało. Kupiłam sześć skrętów i zapłaciłam temu mężczyźnie 15 szylingów

za pierwszą partię moich narkotyków. Nieznajomy uśmiechnął się i odszedł. Był dealerem i to przypadkowe spotkanie wcale nie było przypadkowe, ale dokładnie przez niego zaplanowane, tak jak cała dalsza strategia. Pojawił się kilka tygodni później.

- Czy mogę zaproponować ci coś lepszego niż trawa, Diano?

Byłam ciekawa tym bardziej, że jego ciche zaproszenie „Chodź za mną”, kryło w sobie coś tajemniczego. Poszłam za nim na dół, a potem ciemną alejką do jakiejś starej, zapuszczonej księgarni. Kiwnął głową starcowi za ladą i zaprowadził mnie na zaplecze.

- Po co ta tajemnica?

- Cóż, nie chcemy chyba, żeby ktoś nas widział, prawda? Nikomu o tym nie powiesz, dobrze Diano?

Obiecałam.

- To wiąże się z ukłuciem w ramię - ale niczego nie musisz się obawiać.

- No dobra, tylko szybko - powiedziałam podciągając rękaw do góry.

Odwrociłam głowę w drugą stronę, kiedy zakładał opaskę uciskową i szybko wstrzyknął dawkę heroiny prosto w główną żyłę, prześwitującą przez delikatną skórę wewnętrznej strony mojego ramienia. W ciągu kilku sekund znalazłam się wysoko w niebie, na szczytach świata. Miałam wrażenie, że jestem jego władcą unoszącym się na obłokach szczęścia.

- To heroina - wyjaśnił mężczyzna - Sprawia, że czujesz się jak nigdy dotąd, prawda?

- Tak... - uśmiechnęłam się głupio.

Przez kilka godzin żyłam w stanie euforii. „Ostatecznie - myślałam - znalazłam szczęście, którego tak długo szukałam”.

Nie miałam absolutnie żadnego pojęcia o narkotykach i byłam totalnie nieprzygotowana na to, co potem nastąpiło. Po kilku godzinach szczęście i poczucie spełnienia gdzieś uleciały a zastąpiło je, skrajne głębokie przygnębienie, daleko gorsze niż wszystko, co znałam. Czułam jakby jakaś siła wciągała mnie do głębokiej, ciemnej, bezdennej jamy. Miałam mieć występtego wieczoru, a nie byłam w stanie utrzymać się na nogach. Jakoś się dowlokłam.

Dziewczęta gapiły się na mnie, gdy potykając się wchodziłam do garderoby. Widziały podobne rzeczy już wiele razy wcześniej u takich właśnie głupich

dziewczyn jak ja, zbyt wiele razy. Nikomu przez myśl nie przeszło dać mi choć jedno słowo ostrzeżenia przed narkotykami.

Wręcz przeciwnie. Zrobili coś bardzo, bardzo głupiego: pobiegły poszukać dealera. A przecież mogły wezwać karetkę albo wysłać mnie do łóżka i wezwać lekarza, cokolwiek - tylko nie dealer. Mogły mnie uratować w ciągu krótkiego czasu. Niestety, nie otrzymałam właściwej opieki, gdyż to wiązałoby się z koniecznością poinformowania policji, a właściciel klubu wolał trzymać się od niej z dala.

Nim znaleziono dealera, wpadłam w histeryczny płacz. Drżałam na całym ciele i wiłam się po podłodze w nieznanym dotąd, nieokreślonym bólu. Dealer spojrzął na mnie zimno jak na martwy przedmiot.

- Będzie dobrze. Potrzebujesz tylko nieco hery. Masz pieniądze?

Kiedy upewnił się, że mogę zapłacić, dał mi kolejny strzał śmiertelnej heroiny.

Wpadłam. W tak oto banalny sposób - niemal nieświadomie - uzależniłam się od narkotyków. Kolejny ćpun dołączył do wciąż powiększającej się liczby tych, którzy egzystują od jednego strzału do następnego, którzy zależą od igły, pozwalającej im przeżyć następny obrzydliwy dzień.

To dzieje się dzisiaj w każdym mieście i miasteczku. Wielu młodych ludzi biegnie dzisiaj na oślep prosto do grobu, a wszystko z powodu tego pierwszego, „niewinnego” ukłucia w ramię czy też tego pierwszego skręta. Niektórzy, jak ja, wchodzi w to nie mając pojęcia o śmiertelnych następstwach. Inni, nie tak naiwni jak ja, idą na całość, nie zważając na żadne ostrzeżenia, idą prosto do piekła. Dopiero kiedy jest za późno orientują się jak bardzo prawdziwe były te ostrzeżenia.

Ja dość wcześnie zorientowałam się, że ... dla mnie było już za późno. Upływały dni, a ja stawałam się coraz bardziej zależna od narkotyków. Początkowo miałam mnóstwo pieniędzy. Jednak z czasem moje finanse zaczęły się poważnie kurczyć. Dealer dokładnie zdawał sobie sprawę z kontroli, jaką miał nade mną i za każdym razem żądał więcej. Sprzedał mi strzykawkę, kilka igieł i nauczył robić zastrzyki.

Gwałtownie traciłam na wadze i nie mogły tego zatuszować żadne zmiany w stylu ubierania się i nowe fryzury. Zresztą - moje długie do pasa włosy też straciły swój blask, zaczęły wypadać a do tego skóra stała się ziemiście szara. Atrakcyjny wygląd, mój jedyny atrybut, zanikał. Często musiałam zostawać w łóżku z powodu zapalenia wątroby albo innych skutków heroiny.

Pewnego dnia szef klubu postawił mi ultimatum: - Doprowadź się do porządku Diana, albo wynoś się!

Byłam w beznadziejnym położeniu. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że wyglądam raczej jak Śmiertelna niż Śmiała Diana. W końcu - zwolniono mnie.

Bezrobotna, pozbawiona pieniędzy na narkotyki, wróciłam na ulicę, do prostytutki. To nie było łatwe. Wyglądałam żałośnie, niemal jak śmierć - niezbyt dobra kandydatka na spędzenie przyjemnej nocy...

To była strasznie ciężka próba, ale jaki inny miałam wybór? Narkotyki albo śmierć. Musiałam iść na ulicę, czy chciałam czy nie. Wierz lub nie - byłam bardzo chora. Przedstawiałam sobą obraz nędzy i rozpacz. Zupełna degradacja. Śmieć, na którym już nikomu nie zależało. Wszyscy mnie opuścili, nie miałam, od kogo pożyczyć pieniędzy, zresztą i tak nikt by mi nie pożyczył. Jaki ćpun oddaje pożyczone pieniądze?

Nie byłam jedyna. Wiedziałam i spotkałam wielu takich jak ja - błędne cienie ludzi tułające się ulicami, jak resztki wraków unoszone to tu, to tam przez fale destrukcji. Życiowi rozbitkowie, szczątki ludzkości miotane wiatrami nieszczęścia i zepsucia, bezskutecznie szukający schronienia przed okrutnymi i gorzkimi ciosami życia.

Pozwól drogi czytelniku, że uchylę przed tobą kurtynę, byś mógł spojrzeć na rzeczywistość tego świata ciemności, brudu i samodestrukcji.

Jest mroźny zimowy wieczór. Kilka latarni wzdłuż mrocznej ulicy rzuca mgliste, łagodne światło. Nie ma zbyt wielu ludzi. Przejmujące zimno wpędziło wszystkich do jakiegoś obrzydliwego domu publicznego, lub obskurnej kawiarni (a nie brakuje ich w tej okolicy). Przystaję na chwilę, by szczerzej otulić swoją żalną, drobną figurę, cienkim płaszczem. Płaszcz nie jest tak gruby, żeby ochronić mnie od tego przeszywającego wiatru, ale musi wystarczyć. Zaledwie kilka dni wcześniej sprzedałam swoje ostatnie ubrania i buty, żeby móc kupić narkotyki, troszkę jedzenia i zapłacić za wynajmowaną klitkę, bo to nawet nie był pokój. Moje oczy są przytępione, ale spostrzegawcze i czujne. Wypatrują jakiegokolwiek klienta.

Po pewnym czasie, co zdawał się być jak wieczność, pojawia jakiś mężczyzna w dole ulicy. Staję przed nim pełna zapału, z nadzieją, że będzie miły i uprzejmy i da mi jakieś pieniądze. Mężczyzna patrzy na mnie ze współczuciem i zostawia kilka szylingów.

Obserwuję dalej, kierując się do jednej z tych obskurnych knajp. Wiem, że będzie tam ciepło, że będę mogła ogrzać moje zmarznięte ciało przy płonącym kominku.

Siedząc skulona przy małym płomieniu, marzę o tym, żeby nie mieć potrzeb, żebym nie musiała już wychodzić na ulicę i powtarzać całej procedury zdobywania kilku szylingów. Prezentuję sobą obraz totalnej samotności, smutku i desperacji. Co za szkoda, że muszę przechodzić przez to wszystko ponownie, ale narkotyki są drogie. Nie mam wyjścia. Żałosny obrazek, prawda? Ale przerażająco prawdziwy. Na takim obrazku równie dobrze znajdować by się mogła twoja córka, siostra - nawet ty.

Chociaż podejmuje się ogromne wysiłki by wyrwać tych, którzy wpadli w taką pułapkę, jak ja, to jednak wzrasta liczba pogrążających się w nałogu. Ale nie wolno nam przechodzić nad tym do porządku dziennego i udawać, że nic się nie dzieje. Problem nie przestanie istnieć, jeśli zamkniemy na niego nasze oczy.

Byłam już zbyt chora, by szukać klientów na ulicy każdego wieczoru, więc zaczęłam kraść w sklepach. Jako dziecko w Uxbridge kradłam, żeby mieć, co zjeść? „Kradzież albo głód”. Natomiast teraz to było „narkotyki albo śmierć”. Nie miałam wyboru.

Niełatwo było kraść w sklepach. Brakowało mi dawnej pewności siebie, a narkotyki bardzo spowolniły wszelkie moje reakcje. Każda wyprawa do sklepu przyprawiała mnie o drżenie i zimny pot. Nienawidziłam sprzedawania ukradzionych artykułów. To wzbudzało we mnie jeszcze większe poczucie winy niż sam akt kradzieży. Cena jaką udawało mi się wynegocjować za te skradzione dobra zwykle nie przekraczała 25% ich rzeczywistej wartości. Narkotyków natomiast wciąż drożały.

Ponieważ nigdy mnie nie przyłapano na kradzieży, zaczęłam uważać się za niezłego eksperta w tej materii. I chyba ta zbyt duża pewność siebie przyczyniła się do tego, że któregoś dnia jednak zostałam przyłapana. Ciekawe, że nie nastąpiło to wcześniej, bo przecież wielokrotnie musiałam wyglądać podejrzanie, z tym swoim nerwowym oglądaniem się za siebie i sprawdzaniem, co się za mną dzieje.

To stało się wtedy, kiedy już wychodziłam z supermarketu, mając w torebce ukradzioną biżuterię. Śledził mnie ochroniarz, czego nie spostrzegłam wcześniej. Nagle - jego ciężka dłoń chwyciła mnie za ramię.

- Czy może pani pozwolić za mną? Mam wrażenie, że wzięła pani coś, nie płacąc.

Nie był niemiły, ani natarczywy. Wręcz przeciwnie. Zdawało mi się, że widzę nutkę serdecznego współczucia w jego oczach, gdy tak spoglądał na mnie, jak na biednego wyrzutka społeczeństwa, którego przyszło mu ująć na kradzieży. Szłam więc cicho na zaplecze sklepu, do biura kierownika, gdzie w obecności policjanta przeszukano moją torebkę.

Znaleziono skradzioną biżuterię oraz skrety. Stałam, więc w obliczu kolejnych problemów. Chciałam starać się jakoś z tego wykręcić, policjant zdawał się być zadowolony z tego, co widział i zanotował. Kazał mi przyjść do sądu następnego poranka i ostrzegł, że nie mam prawa się spóźnić ani uciec.

Nigdy wcześniej nie byłam w sądzie z powodu popełnionego przestępstwa. Nie mogłam spać tej nocy i paliłam papierosa za papierosem, próbując rozważyć wszelkie możliwe alternatywy. Ucieczka nie miałaby sensu. A nawet gdyby - dokąd mogłabym uciec? I tak zostałabym znaleziona przez policję.

Sala sądowa była zimna, surowa i niemal pusta, pomijając urzędników wymiaru sprawiedliwości. To mnie zaskoczyło. Wyobrażałam sobie, że ławki będą wypełnione głodnymi wszelkiej sensacji gapiami, ale okazało się, że nikt nie był zainteresowany moją sprawą, nikogo nie obchodził ktoś taki jak ja.

Pewien nieznajomy urzędnik poradził mi przyznać się do winy i zniknął zaraz po tym. Kazano mi usiąść w ławie oskarżonych. Naprzeciw mnie siedziały poważne, niczym z kamienia wykute, twarze. Elegancki mężczyzna w garniturze w prążki wstał i przeczytał akt oskarżenia. Słuchałam zaskoczona, że policja tak dużo o mnie wiedziała, więcej nawet niż ja pamiętałam w czasie przesłuchania.

- Czy przyznajesz się do winy, zgodnie z aktem oskarżenia? - zapytał mężczyzna.

- Tak - odpowiedziałam cicho.

Nastąpiła długa pauza, przerywana jedynie szelestem dokumentów i szeptami dobiegającymi z ławy przysięgłych. Ogólna cisza zdawała się trwać wieki. Tik - tak, tik - tak, nawet zegar na ścianie brzmiał ponuro.

- Ponieważ przyznałaś się do winy, zostajesz skazana jedynie na trzy miesiące kary pozbawienia wolności.

Oślupiałam. Więzienie?! To słowo brzmiało jak śmierć. Urzędnicy powoli opuszczali salę sądową.

- Tędy, moja droga - zwrócił się do mnie jakiś policjant, a w jego głosie brzmiało współczucie.

Widziałam serdeczność i smutek na jego twarzy, kiedy mówił na mnie. Na tyłach budynku stała czarna nyska. Zaprowadzono mnie do niej, wsadzono do środka i dokładnie zamknięto czarne drzwi. Wewnątrz siedział policjant. Nie padło ani jedno słowo. „Skazana na trzy miesiące więzienia i nikogo to nie obchodzi.” - myślałam.

Dziś spoglądam wstecz na tamten czas wierząc, że Bóg w swojej łasce zaingerował w moje życie i dlatego znalazłam się w więzieniu. Nie chcę nawet myśleć, co by ze mną było, gdybym niezmiennie szła tą starą drogą. Jeśli narkotyki by mnie nie zabiły, skończyłabym zapewne w Tamizie. Teraz jestem przekonana, że Bóg ochronił mnie przed paskudną śmiercią.

Ale wtedy mogłam tylko myśleć o samotności, o tym, że jestem nikim, że nikogo nie obchodzę. Nikogo. Ani jedno słowo nie zostało wypowiedziane w drodze do więzienia. Jakie było moje przeznaczenie? Holloway.

ROZDZIAŁ X

WIĘZIENIE I „ZIMNY INDOR”

Na horyzoncie ukazało się więzienie Hollowey, surowe i groźne jak wielki, szary potwór, który nie może doczekać się pożarcia następnej ofiary. Pełna obaw drżałam, zastanawiając się, jak to jest: być uwięzionym.

Trudny do określenia strach przepętniał całe moje wnętrze, kiedy mijałam czarną, obitą blachą bramę i wsłuchiwałam się w dźwięki charakterystyczne dla tego miejsca: dudnienie drzwi, szcęk ciężkich kluczy, brzęk wózków rozwożących mleko.

Wystraszona podążałam w milczeniu za strażnikiem. Szliśmy ciemnym korytarzem w stronę czegoś, co przypominało recepcję. Wszystko odbywało się bardzo formalnie i bezosobowo. Polecenia były wydawane rzeczowo: „wykąp się”. Potem, ubrana w bezkształtną sukienkę więzienną i czarne, skórzane buty, zostałam zaprowadzona do więziennego lekarza. Zbadano mnie bardzo dokładnie. Doktor zwrócił też uwagę na oczy i charakterystyczne znaki na ramionach.

- Jesteś uzależniona, prawda?

- Tak, jestem. - Zastanawiałam się, po co zadaje mi takie pytanie, przecież wszystko było w dokumentach leżących przed nim.

- Spędzisz jakiś czas w tutejszym szpitalu.

Dał odpowiednie instrukcje oficerowi, który mnie poprowadził dalej przez labirynt korytarzy. Szłam ze spuszczonego wzrokiem i czułam, jak czyjeś niewidzialne oczy bacznie obserwują każdy mój krok. Łup! Łup! Łup! Odgłos butów stukających głośno o kamienną podłogę roznosił się niepokojącym echem po zimnym korytarzu. Znowu zdrżałam. Klucze brzęczały, kiedy kolejne drzwi otwierały się i zamykały. W końcu dotarliśmy do skrzydła szpitalnego. Ktoś krzychał. Ten rozdzierający dźwięk przeszył mnie na wylot i wzmógł strach.

- Tędy - oficer otworzył drzwi celi i polecił mi wejść do środka.

Stałam na progu. Zawahałam się przez chwilę. Byłam przerażona. Oficer zdecydowanym gestem pchnął mnie do środka i zatrzasnął drzwi zamykając je na klucz. Zostałam zupełnie sama.

Podłoga, na którą niemal upadłam, była czymś grubo wyścielona, ściany też obito aż po sam sufit. Z trudem mogłam się tam poruszać. Na jednej ścianie znajdowało się małe, zakratowane okienko, ale umieszczono je bardzo wysoko, zupełnie poza zasięgiem. „Czy oni myślą, że jestem szalona albo coś takiego? Dlaczego mnie tutaj umieścili?” – zastanawiałam się.

Prawda wyglądała tak, że trafiłam na ostry detoks, pozbawiony jakichkolwiek leków. To były koszmarne doświadczenia. Pamiętam dokładnie te straszne chwile. Wszystkie symptomy głodu narkotycznego. Świadomość bycia obserwowaną przez wizjer w drzwiach celi.

Bezgraniczną samotność, rozpacz, tęsknotę za śmiercią i omamy. Te ostatnie doprowadzały mnie do szaleństwa. Były tak realistyczne, jak tylko mogą być w czasie głodu. W tych wizjach cela zmieniała się w obrzydliwego potwora, który wczepiał się w moje ciało włochatymi łapami. Kiedy krzyczałam i kopałam broniąc się przed potworem, strażnicy wbiegali do celi, żeby pohamować trochę te ataki. Wydawało mi się, że to nie strażnicy tylko paskudne, wielkie smoki, każdy o sześciu głowach. Ze wszystkich sił walczyłam ze szponami potwora, rzucałam się nawet na ściany. Prawie nie sypiałam, zbyt koszmarne miałam sny, a budząc się zrana zimnym potem, na nowo zaczynałam walkę z potworem.

Pewnego razu, gdy byłam w miarę przytomna, ujrzałam czyjąś twarz w wizjerze. „Przyszli zobaczyć czy jeszcze żyję” - pomyślałam, a potem zaczęłam krzyczeć do Boga: - Pozwól mi umrzeć! Pozwól mi umrzeć! Ale Bóg milczał. Zastanawiałam się, czy Wszechmocny był w stanie słyszeć cokolwiek przez te grube ściany...

Przez trzy dni odwyku przynoszono mi jedzenie na plastikowych talerzach. Jak dzika rzucałam nimi i jedzeniem o ściany. Kiedy zaczęłam dochodzić do siebie, dostrzegałam, jak wyglądała moja cela - było gorzej niż w chlewie. Dostownie cuchnęło.

Mówiłam na głos: - Mój Boże! Jaka byłam głupia! I co mi teraz po tych wszystkich pieniądzach, narkotykach, ubraniach i biżuterii?!

To naprawdę było moje najbardziej koszmarne doświadczenie. Myślałam, że nie przeżyję tego wszystkiego. Władze więzienia nie stykały się wówczas z narkomanami w takim stopniu jak dzisiaj i stosowana była tylko jedna metoda

„leczenia". Nawet w latach siedemdziesiątych mówiło się, że „zimny indor" (określenie więziennej metody odwyku) jest najskuteczniejszym sposobem wyrwania osoby z uzależnienia od narkotyków twardych: heroiny i kokainy.

Tylko że cierpienia związane z przechodzeniem przez cały ten proces, są niewyobrażalnie bolesne. Potrzebna jest opieka, troska, w przeciwnym razie pacjent stoi na progu śmierci. Po zakończeniu etapu fizycznego uwalniania się od nałogu, zostałam zabrana z mojego chlewu. Czułam się pusta i oszołomiona, drżałam na całym ciele. Odgłos ostrożnie stawianych kroków roznosił się echem po nieskończonym labiryncie korytarzy, a ja przyrzekałam sobie, że nigdy więcej nie tknę narkotyków. Nikt nigdy nie zobaczy mnie tańczącej nago w podrzędnym klubie nocnym. Będę żyła dobrym życiem, gdy się stąd wydostanę. Tak postanowiłam. Nauczyłam się swojej lekcji. „Muszę być dobra! Muszę być dobra! Muszę być dobra!".

- Chciałabym być taka młoda jak ty - powiedziała jedna ze starszych więźniarek, która chyba większość życia spędziła w więzieniu. - Zawsze możesz zacząć jeszcze raz, dla mnie jest już za późno.

„Tak, nowy początek. Tego właśnie bym chciała, kiedy stąd wyjdę. Zacząć jeszcze raz i coś sensownego zrobić ze swoim życiem." Myślałam. Słowa starszej kobiety podniosły mnie na duchu. W więzieniu straciłam nieco zgorzknienia, jakie mnie wypełniało. Widziałam mnóstwo smutnych kobiet z jeszcze smutniejszą przeszłością niż moja własna - jeśli można sobie to w ogóle wyobrazić. Wiele z nich było alkoholiczkami, złodziejkami, prostytutkami, hazardzistkami. Stanowiłyśmy wielką mieszaninę i zbieraninę. Niektóre twarde i ostre jak gwoździe, inne wrażliwe i pełne uczucia.

Zasłużyłyśmy na karę, ale nie przestałyśmy potrzebować współczucia i dobrej rady. Wszystkie cierpiały na tę samą chorobę, co ja; samotność. Próbowałam pomóc im tak jak umiałam: przez rozweselenie - bo przecież i ja sama potrzebowałam odrobiny radości i podniesienia na duchu. Szybko mnie polubiły i nawet zaczęły nazywać Wesoła Dor. To przypomniało mi trochę dawne dni w Uxbridge, gdzie byłam przywódcą wielu odrzuconych i samotnych dzieci. Dziwne, jak historia się powtarza...

Pozwolono mi wziąć kilka osobistych rzeczy do celi - nie zostało mi wiele. Większość sprzedałam na narkotyki. Nagroda ze szkoły niedzielnej, śpiewnik Złote Dzwony, był jedną z tych rzeczy, które wciąż miałam i traktowałam jak skarb. Wieczorami, nim zgaszono nam światła, czytałam znane z dzieciństwa hymny.

*Jezus, czuły Pasterz, słyszy mnie.
Błogosław swoją małą owieczkę dzisiaj.
W ciemnościach bądź o Panie blisko mnie.
Zachowaj bezpieczną, aż światło poranku zabłyśnie.*

Zastanawiałam się, co by było, gdyby moja nauczycielka ze szkoły niedzielnej wiedziała, że tutaj jestem. Strażników traktowałyśmy zwykle jak wrogów. Nie ufałyśmy im. Mimo to widziałam, że niektórzy z nich szczerze interesowali się nami, naszym losem.

Długie trzy miesiące mojego pobytu w więzieniu dobiegły końca. Niektórzy żalowali, że wychodzę, ale wszyscy mówili: - Nie wracaj tutaj Doreen, nie wracaj!

„Nie wracaj!” - każdy mój krok zdawał się wybijać ten rytm, kiedy szłam więziennym korytarzem. „Nie wracaj! Nie wracaj!” Na zewnątrz odwróciłam się, spojrzałam na szarego, kamiennego potwora i przyrzekłam sobie, że już nigdy tu nie wrócę. I nigdy nie wróciłam.

Odchodziłam, by poszukać nowego życia, które postanowiłam dobrze rozpocząć. I... którego nigdy nie znalazłam. Na wolności nie wiedziałam, co ze sobą począć, nie wiedziałam, dokąd pójść. Moje dobre intencje rozwiewały się na cztery strony świata. Teraz wiem, że nikt nie jest w stanie iść samemu przez życie, bez kochającej ręki Chrystusa i jego przewodnictwa. Każdy krok grozi upadkiem. Wtedy jeszcze nie miałam oparcia w Zbawicielu.

Ostatecznie zdecydowałam się zajrzeć do Soho, do moich starych znajomych. W bardzo krótkim czasie Śmiała Diana znów była na scenie. Gorzej - wróciłam do narkotyków. Powiedziałam sobie, że będę tym razem kontrolować sytuację, ale to bzdura, znalazłam się dokładnie tam, gdzie zaczynałam poprzednio. „Mała panienka z ulicy” było niemal wypisane na mojej młodej twarzy.

Igrałam z ogniem. Tak wiele zbłąkanych, młodych osób myśli, że są silniejsi od narkotyków, niestety uświadomienie sobie tego przykrego błędu, przychodzi zwykle za późno. Byłam znów po prostu ćpunką, a śliska ścieżka prowadząca donikąd, znajdowała się dokładnie pod moimi stopami.

W tym czasie znów pojawiła się w moim życiu Armia Zbawienia, jej członkowie zaczęli działać w Soho. Młodzi chrześcijanie byli wysyłani do pracy wśród ludzi potrzebujących. Niepokoiła mnie ich wszędobylska obecność. Mówili uprzejmie i szczerze o Bożej miłości do całej ludzkości. Zatrzymywałam się czasem, by posłuchać. Ale niedługo. Czyż nie słyszałam tego wszystkiego już wcześniej, dawno temu w szkole niedzielnej? To było tak, jakby przeszłość wróciła, żeby na mnie

zapolować. Z jednej strony oburzałam się słysząc te ich „mowy”, a z drugiej zazdrościłam im. Mieli to, za czym ja skrycie tęskniłam i wszyscy wydawali się być tacy szczęśliwi. „Ale to nie dla mnie - myślałam. - Dla mnie jest już za późno.”

Czasem, po występie w klubie, zamykałam się w moim pokoju, siadałam na łóżku i czytałam pieśni ze śpiewnika Złote Dzwony.:

Opowiedz mi historię o Jezusie.

Wypisz w moim sercu każde słowo.

Jaka prostota była z tych pięknych słów! Zamykałam książkę z głębokim westchnieniem. „To wszystko jest dobre dla nich - myślałam przywołując w pamięci jasną i miłą twarz jednej z dziewcząt z Armii Zbawienia. - Ale oni nigdy nie żyli takim życiem, jak ja...”

Może to się wydawać niewiarygodne, że ktoś taki, jak ja - prostytutka i striptizerka z nocnego klubu - czytał chrześcijańskie hymny w bardzo wczesnych godzinach poranka. Ale Bóg działa w tajemniczy sposób.

By ukryć moje prawdziwe uczucia i zrobić wrażenie na znajomych, bardzo często robiłam sobie pośmiewisko z dziewcząt z Armii Zbawienia: „W Armii Zbawienia wszyscy są stuknięci!” albo „No proszę, nadchodzi siostra Anna niosąc sztandar!” . Żarty nie robiły najmniejszego wrażenia na ludziach Armii Zbawienia. A może nawet jeszcze bardziej ich determinowały do gorliwej pracy, może wiedzieli, że serce właśnie tej najgłośniejszej dziewczyny było bardzo poruszone ich przestaniem o miłości Boga.

Ja, zawsze gotowa na dobrą zabawę i śmiech, razem z moją przyjaciółką (także striptizerką z Soho) poszłyśmy pewnego wieczoru na spotkanie prowadzone przez Armię Zbawienia. Usiadłyśmy na samym końcu, chichocząc i rzucając różne uwagi przez cały wieczór. Jeden z prowadzących zaprosił nas, byśmy wyszły do przodu i uklęły w pokorze, w czasie, gdy całe zgromadzenie śpiewało:

*Stojąc nawet gdzieś pośród cieni Możesz znaleźć Jezusa On jedynie
troszczy się i rozumie Stojąc nawet gdzieś pośród cieni Możesz znaleźć
Jezusa Rozpoznasz Go po śladach gwoździ Na dłoniach*

Śpiewaliśmy to w szkole niedzielnej. Zaczynałam się denerwować, miałam już dość, chciałam, czym prędzej ukryć prawdziwe uczucia, wyrzucić je z serca i umysłu, więc zerwałam się i wraz z moją przyjaciółką wybiegłyśmy z sali, zaśmiewając się do łez. Znalazłyśmy inny rodzaj zabawy niż szukałyśmy i może nawet dobrze się bawiłyśmy, ale ja wiedziałam, czułam, że stałam niemal twarzą w twarz... z Bogiem.

Pewnego dnia, właściwie pewnej nocy, około drugiej nad ranem, kiedy wychodziłam z klubu, zmęczona, w depresyjnym nastroju, poczułam czyjeś delikatne dotknięcie w ramię. Wpływ narkotyków wyraźnie już dawał się we znaki mojemu organizmowi. Odwróciłam się gwałtownie i ujrzałam przed sobą pełną łagodności twarz młodej dziewczyny z Armii Zbawienia. O nie, znowu! Nie miałam nastroju na religię.

- Spadaj mała! - warknęłam na nią. Dziewczyna zignorowała moją okropną odzywkę.

- Jezus cię kocha i On umarł za ciebie.

- Słuchaj! - krzyknęłam na nią. - Zostaw mnie w spokoju! Odejdź mała, bo będziesz zgubiona. No już - spadaj!

- To ty jesteś zgubiona. Naprawdę jesteś!

Jej proste oświadczenie mocno zapadło mi w serce. Tak mocno, jak perfekcyjnie wycelowana strzała. Ona miała rację, wiedziałam, że miała.

Zgubiona! Zgubiona! Zgubiona! Biegłam ulicą jak błyskawica zostawiwszy dziewczynę z Armii Zbawienia stojącą na zewnątrz klubu. Byłam zgubiona. Zatraciłam się w mojej własnej ciemności, w mojej samotności.

To zdarzyło się wiele lat wcześniej, zanim w końcu dotarł do mnie głos Zbawiciela i kiedy zrozumiałam, jak bardzo potrzebuję do niego należeć. Patrząc wstecz na tę noc, uświadamiam sobie, że wtedy podarowano mi wspaniałą szansę, a ja... nie wykorzystałam jej...

ROZDZIAŁ XI

KRÓLESTWO SZATANA

Dwie, nieznane mi dziewczyny stały w półmroku nocnego klubu, szepcząc stłumionymi głosami. Coś intrygującego sprawiało, że zdawały się być inne. Dlaczego? Zauważyłam je już wcześniej. Zawsze trzymały się razem i z nikim nie próbowały nawiązać znajomości. Łączyła je jakaś dziwna więź. Znajomi w klubie też niczego o nich nie wiedzieli.

Tak, było w nich coś innego, coś dziwnego i niesamowitego. Pełna ciekawości, postanowiłam zaryzykować i dowiedzieć czegoś o tych dziwnych osobach. W klubie zawsze panował półmrok. Nie było, więc trudno zbliżyć się do kogoś i pozostać niezauważonym. Stałam w zacienionym korytarzu prowadzącym do garderoby i przysłuchiwałam się uważnie szeptom tych dwóch dziewczyn. Nie

dotarło do mnie zbyt wiele, ale usłyszałam coś o świątyni szatana. Powstrzymując oddech, czekałam co będzie dalej. Na próżno. Już nic więcej do mnie nie dotarło. Jeśli chciałam się dowiedzieć, o czym mówiły, musiałam ujawnić swoją obecność. Wyszłam z cienia i stanęłam przed nimi.

- O co chodzi z tą świątynią szatana?

Zaskoczone wpatrywały się we mnie.

- Nie możemy nic powiedzieć. To tajemnica.

- Jasne, rozumiem - odburknęłam. - Ale ja chcę wiedzieć!

Tajemnicze osóbkę zapewne obawiały się, że słyszałam ich całą rozmowę. Spojrzały na siebie i potem jedna z nich powiedziała:

- Jeśli obiecasz, że nigdy nikomu nie powiesz ...

- Obiecuję!

- Należymy do ludzi oddających cześć szatanowi i spotykamy się w jego świątyni.

- Czy mogę też tam pójść?

Znowu spojrzały na siebie porozumiewawczo i wyraziły zgodę.

- Bądź przed klubem jutro o osiemnastej. Zabierzemy cię.

Następnego wieczoru czekałam w umówionym miejscu z bijącym sercem. Dokładnie o osiemnastej podjechał duży, czarny samochód. Dwie nieznajome siedziały już wewnątrz na tylnym siedzeniu. Kierowca kazał mi wsiąść.

- Będziesz musiała to założyć na głowę - powiedział podając coś przypominającego wielki kaptur. - Nie możesz się dowiedzieć, gdzie jest świątynia. Zwłaszcza, kiedy jedziesz tam pierwszy raz. Nie miałam nic przeciwko temu. Ten kaptur był właściwie dodatkową atrakcją, tajemnicą. Serce biło mi w zawrotnym tempie.

Nie jechaliśmy długo. Poprowadzono mnie jakąś drogą z niewielką ilością schodów i dopiero wtedy zdjęto mi ten kaptur. Przeżyłam szok, widząc tak niezwykle i tajemnicze miejsce. Staliśmy na końcu ogromnej sali wypełnionej około pół tysiącem ludzi. Na przedzie znajdowała się podwyższona, cała czarna platforma. Na siedzeniu przypominającym tron siedziała zakapturzona postać, ubrana w togę, wyhaftowaną w smoki, węże i ogniste płomienie. Wokoło, w półokręgu, stało trzysta innych postaci, także ubranych w czerń.

W pierwszym momencie miałam ochotę wybuchnąć śmiechem, widząc to całe przedstawienie. Mając jednak świadomość powagi wypełniającej zgromadzenie,

staralam się uszanować panującą atmosferę i powstrzymać spontaniczne reakcje. To była chyba mądra decyzja.

Wyjaśniono mi, że owe postacie wokół tronu to kapłani i kapłanki szatana. Nagle wypełniło mnie poczucie nieokreślonego niebezpieczeństwa. Chciałam uciekać tak daleko, jak to możliwe, a jednocześnie nie byłam w stanie poruszyć nogą. Coś mnie powstrzymywało.

Rozpoczęła się ceremonia. Kapłani i kapłanki nucili w dziwnym transie, którego tempo narastało i stawało się coraz bardziej intensywne i głośnie zarazem. Jednocześnie pewna czarna postać powoli schodziła z podwyższenia. Dwóch kapłanów zdjęto z jej głowy kaptur, a tłum pochylił się głęboko i oddał jej hołd. Byłam tylko obserwatorem i pozostałam na swoim miejscu.

- To główny kapłan szatana - wyszeptała jedna z dziewcząt. - Zawsze należy okazywać mu posłuszeństwo.

Niezdolna by wydusić z siebie słowo, przytaknęłam tylko, obserwując to fascynujące widowisko.

- On reprezentuje szatana na ziemi - dodała dziewczyna drżącym, pełnym uwielbienia i szacunku głosem.

Zorientowałam się już, że weszłam w samo serce satanistycznego konwentu.

- Patrz i słuchaj uważnie - znów odezwała się ta sama dziewczyna. - Będę tłumaczyć ci wszystko w trakcie ceremonii.

Teraz całe zgromadzenie śpiewało modlitwy do Najwyższego Kapłana, zachowując ten sam, dziwny rytm. Wszystkie oczy skierowane były na niego. Kapłani i kapłanki usługiwali mu, gdy całował naczynia, noże i emblematy satanistyczne, przyniesione z ołtarza.

- Poświęca świątynię i naczynia Lucyferowi.

Nagle wszystkie światła zgasły, a zapłonęły prawdziwe pochodnie. Po raz pierwszy dostrzegłam wizerunki szatana wokół na ścianach. Zdawały się ożywać w trakcie ceremonii.

Przyniesiono białego koguta, któremu skręcono kark dokładnie na schodach prowadzących do tronu i ołtarza. Krew była wszędzie. Kogut został złożony w ofierze szatanowi. Towarzyszyła temu modlitwa i śpiew. Wszystko było czynione w imieniu szatana, diabłów, a tłum popadł w niezwykle uniesienie, ekstazę. W pewnym momencie zorientowałam się, że Najwyższy Kapłan patrzy prosto na mnie. Miałam wrażenie, że jego wzrok przenikał mnie na wylot. Zadrżałam.

Ceremonia trwała jakieś dwie godziny. Było to niesamowite, ale złe doświadczenie. Najwyższy Kapłan pojawił się nagle na końcu sali, ubrany po „cywilnemu”. Podeszedł do mnie.

- Czy chcesz się do nas przyłączyć?

- Nie wiem. To wszystko nieco mnie przerażyło.

- Nie ma powodu do obaw - uśmiechnął się.

Nie mogłam nie zauważyć, że patrzył na mnie w szczególny sposób.

- Mam nadzieję, że zobaczę cię na następnym spotkaniu - powiedział i zniknął.

- On się tobą zainteresował, Doreen, - zauważyła jedna z dziewczyn.

- Wiem. Tylko, dlaczego?

Zaintrygowało mnie to. Wyłuskał mnie z półtysięcznego tłumu. Dlaczego? Przyczyny poznałam później. Wyszukiwanie talentów i potencjalnych członków było prowadzone bardzo energicznie i gorliwie - prawdopodobnie traktowano to z większym naciskiem niż w chrześcijańskich kościołach. Poza tym, każda nowa osoba – obserwator obecna na ceremonii, jest zagrożeniem, gdyż może o wszystkim opowiedzieć na zewnątrz.

Bardzo często zmieniano lokalizację świątyni, jeśli istniał choćby cień zagrożenia, iż zostanie ona odkryta przez kogoś z zewnątrz. Utrzymywanie wszystkiego w tajemnicy było niezbędne!

Nie byłam pewną czy miałam ochotę znaleźć się tam ponownie, a jednocześnie jakaś niewytłumaczalna siła ciągnęła mnie na kolejne spotkanie. Zostałam zabrana w podobny sposób, jak poprzednio. Ukrywano przede mną miejsce, w którym znajdowała się świątynia.

Byłam świadkiem tych wszystkich zachowań, pełnych zła, daleko gorszych niż poprzednio. I byłam więcej niż zaskoczona powagą całego zgromadzenia. Najwyraźniej szczerze wierzyli w to, co robili. A co dziwniejsze, jeszcze nim spotkanie dobiegło końca, przestałam się czegokolwiek obawiać.

Nie ukrywam, że pochlebiło mi zaproszenie wielkiego kapłana na kolację. Byłam nieco zdenerwowana, ale on starał się, żebym czuła się swobodnie. Nie upłynęło wiele czasu i opowiedziałam mu swoją historię. Nie wydawał się zaskoczony, słysząc, że jestem ćpunką, prostytutką i striptizerką. Być może jedna z dziewczyn, które mnie tutaj zabrały, przybliżyła mu moją osobę.

-Tak naprawdę, to wszyscy ludzie są satanistami - powiedział. - Od góry do dołu: bankierzy, sklepikarze, nauczyciele, pielęgniarki, prostytutki, narkomani. Nie ma różnicy między nami. Jesteśmy tutaj, by dawać świadectwo o mocy szatana na ziemi, zawsze i wszędzie - jak tylko potrafimy.

Miał silną osobowość i z łatwością przekonał mnie, żebym została satanistką. Uczono mnie, że zło wcale nie jest złe, jak myśli większość ludzi, ale słuszne i dobre. Zdawało mi się to głupie, ale zaczęłam w to wierzyć.

Sataniści przekreślali i przewartościowywali dosłownie wszystko. Kłamstwo, jak mi powiedziano, było w rzeczywistości prawdą. Strasznie to zagmatwane, ale wielu dawało temu wiarę - nawet bardzo inteligentni ludzie. Proces stawania się satanistką był swego rodzaju praniem mózgu. Jeśli ktoś powtarza ci różne rzeczy wciąż i wciąż na okrągło, w końcu zaczynasz w nie wierzyć, niezależnie od tego, jak idiotycznie brzmią.

Moja przyjaźń z wielkim kapłanem umacniała się. Uczęszczałam na wszystkie spotkania w świątyni - już bez kaptura tajemnicy. Chciałam zostać prawdziwą satanistką. Nie było to jednak wcale proste. Najpierw musiałam nauczyć się zasad satanizmu i bezgranicznie uwierzyć w każdą z nich. Oto kilka przykładowych prawd, które musiałam zaakceptować:

- 1) Tajemnica jest obowiązkiem każdego satanisty. Za wszelką cenę należy utrzymać w tajemnicy miejsce, w którym znajduje się świątynia.
- 2) Wszyscy muszą kochać, szanować i okazywać bezwzględne posłuszeństwo Wielkiemu Kapłanowi, który reprezentuje Lucyfera na ziemi. Sataniści muszą podążać za szatanem każdego dnia w swoim życiu i służyć tylko jemu.
- 3) Nie wolno żadnemu sataniście wchodzić do kościoła chrześcijan, chyba że jest szpiegiem wysłanym przez Wielkiego Kapłana. Wszelkie nowe pomysły i wydarzenia należy relacjonować Wielkiemu Kapłanowi w świątyni szatana.
- 4) Ze względu na swój własny rozwój, żadnemu sataniście nie wolno czytać Biblii.
- 5) Należy kpić z pisma świętego i palić je w świątyni, dotyczy to także wszelkich śpiewników i zbiorów modlitw - generalnie literatura chrześcijańska każdego rodzaju musi być niszczone! Ta zasada liczy sobie wiele setek lat. Dla kontrastu - każde pismo pochodzące od kapłana szatana jest przechowywane i traktowane z szacunkiem. Objawienia z Hadesu, objawienia demonów i diabłów są często czytane podczas rytualnego uwielbienia w świątyni szatana.

- 6) Nikt nie ma prawa spóźnić się do świątyni. Niepunktualni będą podlegać karze biczowania, którą na oczach całego zgromadzenia, wykona Wielki Kapłan.
- 7) Lucyfer musi być wywyższony we wszystkich sytuacjach, nawet w pracy i życiu prywatnym. Lucyfer widzi i zawsze jest obecny z nami, należy mu okazywać posłuszeństwo. Kłamstwa, oszustwa, przekleństwa, nawet morderstwa - są słuszne.
- 8) Każdego dnia należy modlić się do Lucyfera.

Znacznie więcej jest tych reguł, a każdego, kto złamie choćby jedną czeka kara biczowania na oczach całego zgromadzenia. Sam Wielki Kapłan wymierza karę.

Szybko nauczyłam się wszystkich praw. Mało tego - całkowicie uwierzyłam w ich słuszność. Najwyższy Kapłan zaczął regularnie odwiedzać klub nocny, w którym pracowałam jako striptizerka. Stałam się jego kochanką. Często przynosił ze sobą dawkę heroiny i nie chciał pieniędzy.

- To prezent - mówił.

Cóż za prezent... Moje uzależnienie od twardych narkotyków było jak bezpowrotny bilet do piekła. Striptiz i cała reszta, zdawała się blednąć w porównaniu z oddawaniem czci szatanowi.

Nie pytałam, skąd pochodzą te narkotyki. Chociaż byłam teraz jego kochanką, moja prostytutka go nie interesowała. Wierzył, że im więcej zła zaakceptuje i popełni na ziemi, tym większą otrzyma nagrodę. I jeśli umrze, wierzył, że będzie dowodził legionami diabłów. Tak więc im więcej zła - tym większa nagroda. Pewnego dnia powiedział:

- Teraz jesteś gotowa by stać się zaprzysiężonym dzieckiem Lucyfera.

Ceremonia miała być skomplikowana i długa. Wielu satanistów było obecnych, nawet z innych świątyni w Anglii. Kiedy nadszedł czas, ponad 800 osób zgromadziło się w naszej świątyni. Wszyscy przybyli na czas. Nikt nigdy nie spóźnił się na żadne spotkanie.

Ubrana byłam w luźną, czarną togę. Wznoszono hymny i modlitwy do wielkiego boga ciemności, śmierci i tajemnicy. Płonące pochodnie rzucały niesamowite cienie na wszystkie ściany i sufit. Naczynia na wysokim ołtarzu dedykowano szatanowi, jedno po drugim. Kapłan Najwyższy ucałował srebrny nóż, po czym powstał ze swego tronu i wznosił ręce, wówczas wszyscy, także ja, padliśmy na ziemię, oddając mu cześć. Dwóch kapłanów zniknęło za czarnymi zasłonami z tyłu, by wrócić po chwili z ofiarnym, białym kogutem. Jego kark został złamany tak, że

powstała otwarta rana. Krew ściekała do srebrnego kielicha. Śpiewane pieśni i wznoszone modlitwy przybierały na sile. Powietrze przesycone było złem.

Kapłan Najwyższy pojawił się przede mną, naciął moje lewe ramię i podstawił ów srebrny kielich zawierający krew ptaka. Ponownie pocałował nóż i zamieszał nim krew. Upiłam nieco z zawartości kielicha i wzniosłam okrzyk na cześć szatana.

Następnie umoczyłam palec w tej zmieszanej krwi i podpisałam prawdziwy pergamin, mówiący, iż moja dusza należy odtąd do szatana, na wieki wieków. Teraz byłam prawdziwą satanistką, a wszyscy zgromadzeni okazywali szczerą radość z faktu narodzenia się nowego dziecka szatana. Ludzie jakby oszaleli, wpadli w ekstazę i wiele dzikich, złych rzeczy działo się tamtego wieczoru w świątyni.

Ku mojemu zaskoczeniu zostałam zaprzysiężona na Wyższą Kapłankę, wielki to był honor w kręgu satanistów. Kiedy zaprotestowałam, nie czując się gotowa na taki zaszczyt, Wielki Kapłan oświadczył, że to było życzenie samego Lucyfera i on musi być posłuszny. Teraz lepiej mogłam służyć mojemu mistrzowi. Nauczono mnie podawania świętych naczyń i służenia przy wysokim ołtarzu. Stałam się znana, jako Wielka Kapłanka Diana. Czułam się bardzo ważna.

W klubie wtajemniczeni traktowali mnie jak swoją przywódczynię. Szatan rzeczywiście był moim mistrzem. Zdarzało mi się słyszeć jego głos i widzieć go przed oczami. Kilkakrotnie Lucyfer materializował się, jako czarna postać, przed całym zgromadzeniem w świątyni. Nikt nie wątpił, to był sam szatan. Słyszeliśmy jego głos jako cała kongregacja. Wiedzieliśmy, że mówił „Jestem Lucyfer, wasz pan. JA mówię do was moimi ustami. Bądźcie posłuszni moim słowom, moje dzieci. Czyńcie wszelkie zło, jakiego pragnie wasze serce. Nigdy nie czujcie strachu - ja będę was chronił nieustannie. Dziś w nocy czujcie się wolni w swych pożądaniach. Mam upodobanie w waszej żądzy."

Wszyscy okazywaliśmy posłuszeństwo, bez zadawania jakichkolwiek pytań. W dawnych wiekach jeden, może dwóch najwyższych kapłanów, miało moc, pochodzącą od samego Lucyfera, dzięki niej dokonywali operacji na sobie samych i innych. Zabiegi były przeprowadzane bez użycia jakichkolwiek środków medycznych. Więcej nawet – nie pozostawały po nich żadne blizny.

Moc pogrążania się w głębokich transach jest praktykowana po dziś dzień. Także i tej mocy doświadczałam, widząc przejmujące działanie demonów. ZPW (zmysł ponadnaturalnego wnikania) był jednym z moich szczególnych darów. Bez trudu mogłam czytać w umysłach ludzi i przewidywać ich słowa, a nawet czyny.

Czytelnicy mogą pytać, czy naprawdę jest możliwe, by ktoś tak bardzo zaangażowany w zło, jak ja, mógł nawrócić się i odkryć Jezusa Chrystusa. Ale Biblia mówi, że Jezus umarł za każdego. On także umarł za satanistów.

Miał nadejść czas, kiedy zmieniałam swojego pana i zaczęłam służyć największemu Panu ze wszystkich. Ale jeszcze nie teraz.

ROZDZIAŁ XII

KRÓLOWA CZAROWNIC

Moja wiedza dotycząca zła poszerzała się wraz z upływem kolejnych miesięcy. Oddawanie czci demonom oraz pozycja wyższej kapłanki stały się dla mnie najważniejszymi sprawami w życiu. Nie były jednak spełnieniem wszystkich moich ambicji.

Nawet poza świątynią miałam głęboką świadomość obecności szatana. Niewidzialna dłoń zdawała się popychać mnie dalej i dalej w kierunku królestwa ciemności. Odkryłam w sobie nienaturalną siłę i wytrzymałość. Także sen nie był mi tak bardzo potrzebny, jak przeciętnemu człowiekowi. Całkowicie oddałam się szatanowi i wiernie dotrzymywałam złożonych mu obietnic.

Może to dziwne, ale wciąż miałam mój śpiewnik Złote Dzwony. Zgodnie ze wszystkimi zasadami satanizmu powinnam była zniszczyć tę książkę - ale nie mogłam tego zrobić. To był jedyny prezent, jaki otrzymałam w dzieciństwie. Nie czytałam już tekstów piosenek - zaprzestałam tego dawno, dawno temu. I jeśli mam być szczerą, to niemal zapomniałam o tej książce, dokładnie ukrytej zresztą gdyż wielu ludzi przewijało się przez mój pokój. Oczywiście wielki kapłan był tu niemal zawsze.

Pewnego dnia, gdy piłam z moim kochankiem i mistrzem, Najwyższym Kapłanem, miałam niejasne wrażenie, że chce on wyrzucić na mnie jakiś szczególny wpływ. Nagle wyrecytował wzniosłym tonem:

- Jesteś Najwyższą Czarownicą reprezentującą królestwo czarnej magii, Królową Dianą.

Usłyszawszy owo patetyczne zdanie, wybuchnęłam śmiechem i niema zakrtusiłam się drinkiem.

- To nie jest śmieszne - odparł zgryźliwie mój kochanek.

- O, przepraszam, ale to zabrzmiało śmiesznie - powiedziałam, wciąż zanosząc się śmiechem.

W moim pojęciu czarownica miała długi, haczykowany nos i dosiadała starej miotły, unosząc się pod niebem w świetle księżyca. Wkrótce odkryłam, że moje wyobrażenia były bardzo dalekie od prawdy...

Czarna magia ma wiele wspólnego z satanizmem. Różnicą jest przede wszystkim to, że sataniści oddają cześć diabłu w świątyni szatana. Czarownice uczestniczą natomiast w zgromadzeniu trzynastu czarownic, z których jedna jest głową zgromadzenia. Nie potrzebują świątyni.

Praktykować magię można wszędzie, choć faktycznie najlepsze bywają miejsca ciche, znajdujące się w pewnym odosobnieniu np. porzucony dom, daleka plaża, las. Magiczna godzina północy oraz światło księżyca także mają szczególne znaczenie.

Czarne czarownice posiadają wielką moc, czego nie powinno się lekceważyć. Aby się wspierać, są w stanie przywołać i odwołać moce ciemności. Bardzo często rozkopują świeże groby i składają ciała zmarłych w ofierze szatanowi. Kiedy święta ziemia jest sprofanowana – zostawiają jakiś symbol, jakiś znak rytuałów magicznych: krwią kozłów są pomazane niemal wszystkie grobowce i mury. Dla czarownicy nie istnieje żadna świętość i nic nie jest w stanie przeszkodzić jej w osiągnięciu zamierzonego celu. NIC!

Czarownice związane z czarną magią mają moc rzucania przekleństw na ludzi. Znane są przypadki śmierci osób z powodu klątwy czarnej wiedźmy. Często obrzędy pełne są wyuzdania, perwersji seksualnej oraz obnażanie ciała.

Czarne wiedźmy i sataniści wierzą, że w ostatecznej bitwie między złem i dobrem – zło zatriumfuje. Wierzą, że Lucyfer pewnego dnia pokona Chrystusa i przywróci to, co nazywa swoim, jedynym słusznym porządkiem. Według nich, szatan będzie rządził ziemią wodami i niebiosami.

Dla czarnej magii piekło nie jest miejscem cierpień, ale nieograniczonej przyjemności, gdzie są zaspokajane wszystkie żądze. Im więcej zła, tym lepsza motywacja dla czarnych wiedźm i satanistów.

Uważaj czytelniku! Ci, którzy idą w dół ciemną drogą magii, tracą sens i cel, ich umysły popadają najpierw w chorobę, a potem w szaleństwo.

Kończąc naszą rozmowę o czarnej magii Wielki Kapłan powiedział:

- Byłabyś niezłą czarownicą Diano. Masz w sobie wielką naturalną moc.

Wiedziałam o tym. Niejednokrotnie czułam w sobie moc, ale zawsze uważałam, że wcale nie była naturalna, ale raczej - nienaturalna, działająca przeze mnie, a nie

wyptywająca ze mnie. Nie urodziłam się z tą mocą. To nie była moja moc, ale szatana. Zaskoczyły mnie te słowa Kapłana. Spojrzałam w głąb jego ciemnych, lśniących oczu.

Znał swoją przewagę nade mną i hipnotyzujące właściwości swojego spojrzenia. Jego twarz jaśniała dziwnym, dzikim światłem, jakiego dotąd nie widziałam. Przez moment chciałam uciec, ale uczucia te ustąpiły i zgodziłam się towarzyszyć mu na spotkaniu czarownic, choć miałam świadomość, że może to być gorsze niż satanizm. Byłam już zaprawiona w oglądaniu zła i obrzydliwych orgii w świątyni szatana, ale teraz miałam być świadkiem czegoś jeszcze gorszego.

Zawsze okazywałam posłuszeństwo mojemu mistrzowi, Wielkiemu Kapłanowi satanistów, tak więc stałam się czarownicą zgodnie z jego życzeniem. Inicjacja polegała m.in. na pomazaniu mego nagiego ciała krwią kozła. Dalej działy się rzeczy tak przesycone złem, że nie sposób ich wspominać.

Na każdym spotkaniu dochodziło do okropnych, perwersyjnych aktów seksualnych. Seks zawsze odgrywał ważną rolę w magii. **Wielu ludzi oddanych czarnej magii to homoseksualiści, zarówno kobiety jak i mężczyźni.**

Dość często praktykowano też sadyzm i masochizm. Niektórzy cięli swoje własne ciała nożem, nie czując bólu, zażywali śmiertelnych trucizn, nie ponosząc żadnej szkody. I to wciąż dzieje! Także dziś!

Zostałam czarownicą. Działająca przeze mnie moc, w połączeniu z wcześniej zdobytą wiedzą na temat zła, była niesamowita. Takie rzeczy, jak lewitacja na wysokości półtora metra, przychodziły mi bez trudu. Demony wspierały mnie w szczególny sposób.

Zabijanie ptaków, wzbijających się w powietrze zaraz po wypuszczeniu z klatki, to kolejna rzecz, którą demonstrowałam, jako czarownica. Mogłam sprawiać, że przedmioty znikały i pojawiały się.

Brałam udział we wszystkim, w czym stosowano czarną magię, dosłownie we wszystkim. Dokonywałam więcej okropności w ciągu jednego tygodnia niż inni w całym swoim życiu... I nie zaskoczyło mnie, kiedy Wielki Kapłan zwrócił uwagę na moje postępy w czarnej magii.

- Mogłabyś nawet zostać królową czarownic pewnego dnia, Diano.

- Ja??

- Tak, właśnie ty. Zasugeruję to, komu trzeba. Ale ty musisz ćwiczyć swoje umiejętności, by być gotową na niezwykłą próbę.

Próba mocy, o jakiej wspomniał, była przeprowadzana w Dartmoor w Devon, centrum dwóch, bardzo rozwiniętych i aktywnych zgromadzeń. Prezentowałam swoją moc bez Wielkiego Kapłana, jako towarzysza, (co było dość dla mnie zaskakujące i niecodzienne).

Próba w widoczny sposób potwierdziła moje predyspozycje, by zostać królową czarownic. To był środek jasnej, bezchmurnej nocy, idealnej dla magii. Rozebrani członkowie zgromadzenia oddawali się swoim rytuałom. Byłam pośród nich. Nagle zobaczyłam trzech mężczyzn na zboczu wzgórza. Intruzi mogli zauważyć nas w ciągu kilku chwil. Nie było żadnych skał ani drzew, by się skryć.

- Co zrobimy? - pytały czarownice zaniepokojone - Nie ma gdzie się schować!

- Nie obawiajcie się - powiedziałam. - Mogę się stać niewidzialna.

- A co z nami?!

- Jeśli mi zaufacie, w pełni zaufacie, także was uczynię niewidzialnymi.

Nie było czasu do stracenia. Pośpiesznie wykonywały moje polecenia. Stanęłyśmy w kręgu. Wzniosłyśmy nasze ręce do góry, kierując dłonie ku środkowi, tak byśmy mogły się dotykać. Wezwałam moce ciemności, moce demonów i samego szatana. W ciągu sekundy otoczyły nas zielone błyskawice. Z ledwością dostrzegaliśmy owych trzech mężczyzn przechodzących „przez nas”. Mogłam łatwo dotknąć ich, szczególnie tego, który przeszedł dokładnie przez środek naszego kręgu. Moja magia działała. To co opowiadam jest szczerą prawdą. Byłyśmy niewidzialne dla trzech mężczyzn, którzy nawet nie dostrzegli zielonych błyskawic. Dla nich, na wzgórzach nie działało się nic niezwykłego.

- Chodźmy do domu - odezwał się jeden z nich. - Tu nie ma żadnych czarownic. Tylko czas tracimy.

Poranna gazeta lokalna wyjaśniła powody, dla których owi trzej mężczyźni znaleźli się tej nocy na wzgórzu. Artykuł na pierwszej stronie zatytułowano: „ NIE MA CZAROWNIC W DARTMOOR”. Napisano, że poprzedniego wieczoru miejscowy kaznodzieja zabrał dwóch reporterów na wzgórze Dartmoor, by udowodnić, że odbywają się tam praktyki czarnej magii.

Wyprawa okazała się bezowocna. Kaznodzieja nie był jednak przekonany. Oczywiście, miał rację. Nieświadomie znalazł się przecież pośród nich... Ubawiłyśmy się do łez, a relacja z tych wydarzeń trafiła do wielu innych zgromadzeń.

Stałam się sławna także poza granicami kraju. Niektórym może wydać się dziwne, iż Bóg nie dopuścił, aby kaznodzieja zobaczył czarownice. Bez kwestionowania Bożej woli – możemy być absolutnie pewni, że wiedział, co robi. Jestem przekonana o celowości Bożego działania.

Zapewne ochronił tych ludzi i nie pozwolił, aby zostali skrzywdzeni. Próbowałam tej nocy rzucić klątwę na wspomnianego kaznodzieję, ale nie zadziałała. Czułam dziwną barierę, której moja moc nie mogła złamać, barierę wielkiej wiary i odwagi tego człowieka.

Zaintrygowało mnie to. Moje moce nigdy dotąd nie zawodziły. Nie miałam pojęcia, że tego mężczyznę ochraniała moc daleko silniejsza od mocy szatana - wszechmocna siła Pana Jezusa Chrystusa, który zwyciężył śmierć, piekło i szatana w miejscu zwanym Kalwaria.

Na pierwszy rzut oka wydarzenia na wzgórzach Dartmoor ukazały oczywistą moc magii, w rzeczywistości jednak, udowodniły one daleko większą moc Jezusa Chrystusa.

Złot w Dartmoor był poniekąd przygotowaniem do wielkiej ceremonii, w czasie, której miała zostać wybrana kolejna królowa czarnej magii, królowa czarownic. Zjechały się czarownice z wszystkich części Anglii, także z Holandii, Niemiec i Francji. Przybyły przed świętem Halloween, kiedy Dartmoor wypełniało się turystami. Napływ gości do Plymouth z pewnością wiązał się z przybyciem czarownic.

Przyjechały eleganckimi samochodami, nie na miotłach. Rezerwowały pokoje w hotelach, w których czekali przede wszystkim na ludzi sukcesu, na mężczyzn i kobiety interesów - którymi wiele z nich z faktycznie było. Dzisiejsza czarownica nie ma nic wspólnego z wiedźmą z lasu. Niesamowite siły zła są ukryte w dobrze prezentujących się, dobrze prosperujących i często bardzo szanowanych osobach.

Nadszedł moment rozpoczęcia wielkiej ceremonii. Musiałam się pomóc sobie narkotykami, żeby pokonać treść i zdenerwowanie. Potem, pewna siebie, podjęłam wyzwanie.

Zaczęło się pieśni na cześć starożytnych bogów i demonów. Bogini księżycy Diana była moją ulubioną, z oczywistych powodów. Po wstępnych rytuałach nastąpił wielki sprawdzian mocy. O tytuł rywalizowało wraz ze mną siedem czarownic. Ze względu na bardzo wyrównany poziom zwycięstwo nie było łatwe.

Uwolniono ptaka z klatki. Zabiłam go w locie. Robiłam to już wcześniej i byłam jedyną której udało się to teraz. Tej niesamowitej nocy demonstrowano w

Dartmoor wiele innych, nierzeczywistych wyczynów, ale ostatni miał być największy: przechodzenie przez ogień.

Tak, przejście przez wielki, płonący stos (nie mały kopczyk, ale ogromny, wyższy niż człowiek, stos). Zwycięską kandydatkę czekało spotkanie z Lucyferem w samym centrum płomieni. Tam, na oczach całego zgromadzenia, Mistrz miał wziąć dłoń czarownicy i przeprowadzić ją przez płomień tak, by języki ognia nie pozostawiły na niej najmniejszego śladu.

Szłam pewna siebie prosto w ogień wysoki na kilka metrów, cały czas wzywając imię swojego mistrza, Diablosa. Nagle ujrzałam go materializującego się przede mną – wspaniałą czarną postać. Chwytiłam wyciągniętą w moim kierunku dłoń i weszłam z nim w samo serce ognia. Przystanęliśmy na moment w samym środku, a ogromne języki lizały nas z każdej strony.

Kiedy tylko pojawiłam się po drugiej stronie ognia - Lucyfer zniknął. Na mojej czarnej todze, na ciele, nie było najmniejszego śladu poparzenia, nawet moje długie, rozpuszczone włosy nie przesiąkły zapachem ognia. Wszyscy padli przede mną na ziemię.

- Niech żyje Diana, królowa czarnej magii! - wznosił się głośny okrzyk ponad tysiąca czarownic.

Umieszczono na mojej głowie szczerozłotą koronę i okryto mnie peleryną precudnie haftowaną złotymi nićmi, a w lewą dłoń włożono mi złote berło. Zajęłam miejsce na tronie, przygotowanym jeszcze przed ceremonią. Wszystkie przedmioty miały ogromną wartość i były pieczołowicie chronione przez panującą królową.

Przerażająca, mrożąca krew w żyłach ceremonia trwała dalej: nagie tańce, zmysłowe przyjemności, alkohol i narkotyki. Diana, królowa czarownic, królowa czarnej magii, była oczywiście w centrum wszelkich atrakcji. Z dumą traktował ją jej mistrz i kochanek – Wielki Kapłan satanistów. Ostatecznie, byłam przecież jego protegowaną. To on mnie uczył.

Ktokolwiek przyszedłby tej nocy na wrzosowiska, nie mógłby nie zauważyć, że dzieje się coś dziwnego. Płomień ogromnych ognisk widoczne były z daleka, a mimo to nic nie zakłóciło wydarzeń nocy. Być może niektórzy wiedzieli, że to, co się działo, miało związek z piekielnym złem, woleli więc trzymać się z daleka. Nie obwiniam ich.

Może niektórzy śmieją się z legend o magii i czarownicach. Nie mają dowodu na ich istnienie i nigdy nie byli bezpośrednimi świadkami takich wydarzeń. Jeśli ktoś jednak byłby tamtej nocy na wrzosowiskach - nie wątpiłby już nigdy więcej...

Ja wiem, że magia jest rzeczywista i że czarownice istnieją. Czyż nie byłam na szczycie świata zła, jako królowa czarownic i czarnej magii?

ROZDZIAŁ XIII

BEZ ODWROTU

„Królowa czarownic”. Tytuł ogromnie szanowany, upoważniający do wszelkich zaszczytów, ale i wymagający pewnej odpowiedzialności. Żadna z czarownic, a przecież i one miały wielką moc, nie zazdrościła mi ani trochę. Wraz z tytułem przyszła nauka, praca i podróże. Byłam otoczona luksusami, a Wielki Kapłan towarzyszył mi niemal wszędzie, gdyż i on należał do zgromadzenia czarownic. Holandia, Niemcy, Francja to niektóre kraje, jakie odwiedziłam. Miejscowe czarownice zawsze traktowały nas z najwyższymi honorami.

Zatrzymywaliśmy się jedynie w najlepszych hotelach oraz w wielkich, bardzo drogich domach, w pięknych okolicach. Te podróże mogłyby być opisane, jako podróże grzechu. Nie istniały także bariery językowe, gdyż z pomocą Lucyfera, z łatwością mogłam rozumieć i posługiwać się każdym językiem. Stare powiedzenie „Zło troszczy się o złych” jest prawdą, gdy realizowane są cele Złego.

Prowadziłam mnóstwo dyskusji, dawałam prelekcje, spotykałam się naprawdę z wieloma osobami. Do najważniejszych tematów należała atrakcyjność czarnej magii. Wielu ludzi, szczególnie młodych, żywo interesowało się okultyzmem. Często rozprawialiśmy, jak wykorzystać to zainteresowanie, by dać magii nowy wymiar, ukazać ją w interesującym świetle. Przyciągnąć ludzi, a jednocześnie nikogo nie przerazić. Zachwalać królestwo tajemnicy i wrażeń. Uczynić magię mniej złowrobną. Prezentować ją, jako naturalną, niegroźną przygodę. (Każdego kuszą przygody i tajemnice). Ukryć zło w atrakcyjnym opakowaniu.

Potrzebowaliśmy nowych członków w zgromadzeniach, by zło nie zostało pokonane. Nie było zbyt wiele czasu. Teraz był czas „łowienia” ludzi. Kiedy ktoś już się zaangażuje w magię, nie jest w stanie z niej zrezygnować. Strach skutecznie powstrzymuje przed odwrotem. Bo ... nie ma odwrotu.

My, czarownice byłyśmy bardzo oddane naszemu powołaniu i dyskusje trwały godzinami. Nie liczyliśmy się z czasem. Dzielenie się doświadczeniami,

demonstrowanie okultystycznej mocy i odwiedzanie zgromadzeń było częścią mojej działalności zagranicą.

Po powrocie do Anglii spędzałam czas odwiedzając zgromadzenia. Powstało wiele nowych, a właściwa zachęta dobrze wróżyła na przyszłość. Miałyśmy świadomość, że czarownice zajmujące się białą magią także walczyły o powiększanie swoich szeregów.

Dlatego też tak ważne było, by przyciągać nowe osoby. Nigdy nie wspominaliśmy o krwawych ofiarach, bo to mogłoby wystraszyć potencjalne kandydatki na czarownice. Białe czarownice zasilaly szeregi czarnych i mogłyśmy uczyć się od siebie nawzajem.

Czarownice uprawiające białą magię mają zasadę, by nikogo nie krzywdzić. Znam jednak niejednego przedstawiciela białej magii, który łamie tę zasadę. Białe czarownice zaczęły naśladować pewne praktyki czarnej magii zwane woodoo. Polegało to na wykorzystywaniu glinianej lalki imitującej konkretną osobę, której chciano sprawić ból. Wszystko, co zostało popełnione na owej kukle - odczuwała rzeczywista osoba.

Byłam królową czarownic przez cały rok. Później chętnie odstąpiłam ten tytuł komuś młodszemu, choć mogłam go zatrzymać. Gdy tylko przestałam być królową Wielki Kapłan znalazł sobie nową kochankę. Początkowo czułam się oszukana, zraniona i wściekła, ale w końcu to on był Wielkim Kapłanem satanistów i nikt nie miał prawa kwestionować jego działań. Lepiej było zaakceptować i przejść nad tym do porządku dziennego.

Wyjechałam z Londynu. Włóczyłam się po różnych miasteczkach i wioskach przez kilka lat. Londyn odwiedzałam od czasu do czasu, żeby zdobyć trochę narkotyków i spędzić jakiś czas w świątyni szatana. Życie przestało już być tak gorączkowe, ale wciąż panowały w nim grobowe ciemności. Zawsze gdy brakowało mi gotówki, wracałam do prostytutki.

Jako królowa czarownic żyłam w luksusach i byłam czymś więcej niż dziewczyną na zawołanie. Jednak nikt, prócz satanistów, nie wiedział o moich mrocznych tajemnicach, które rozgrywały się późnymi nocami w zgromadzeniu czarownic. Nie wiedział o tym nawet mężczyzna, z którym żyłam. Być może dzięki mocom tkwiącym we mnie, umiałam tak lawirować i zwodzić innych. Udawało mi się wyjść cało nawet z największych kłamstw. Nikt nie poddawał niczego w wątpliwość. Miałam wrażenie (jeśli mam być szczerą), że nikt nie uwierzyłby w prawdę. Kłamstwa zdawały się być łatwiejsze do zaakceptowania.

To były dla mnie lata niepokoju. Nosiłam w sobie ogromną górę strachu, który cyklicznie narastał. Kiedy się pojawiał i przybierał na intensywności - w moim umyśle pojawiały się pytania. Czy piekło naprawdę było wspaniałym miejscem, jak kazano mi wierzyć? A jeśli nie, co wtedy? Wątpliwości nie przestawały mnie nachodzić. Nie mogłam sobie z nimi poradzić.

Postanowiłam spróbować zerwać z magią i satanizmem. Musiałam być oczywiście ostrożna. Zdecydowałam się postępować powoli, rozsądnie, by nic nie zostało zauważone. Nikt przecież nie może zerwać z czarną magią. Tak czy inaczej - warto było przynajmniej spróbować.

Biorąc udział w rytuałach zgromadzenia, nie potrafiłam już w pełni wierzyć, że słuszne jest to, co robię. Nachodził mnie ten paskudny niepokój. Czułam się strasznie zagubiona, jak więzień zamknięty w długim, ciemnym tunelu, bez jednej małej isierki światła. Byłam pełna wątpliwości i bezradności wobec własnych uczuć i myśli. Zdecydowałam się zajrzeć do kilku kościołów chrześcijańskich, ot tak, żeby zobaczyć, czy mają jakieś odpowiedzi dla mnie.

Wpadałam tam tylko od czasu do czasu, rzecz jasna, ale dopuszczałam się czegoś, czego czarna czarownica nigdy by nie zrobiła. Zawsze towarzyszył mi strach, że zostanę przyłapana. Wciąż oglądałam się za siebie, sprawdzając czy nie jestem śledzona. „Po co to wszystko? - myślałam. Przecież i tak sprzedałam swoją duszę Szatanowi i potwierdziłam to własną krwią.”

Dlaczego miałam te wątpliwości? Czy tylko, dlatego, że byłam w towarzystwie innych czarownic tylko raz lub dwa w tygodniu? A może to Jezus Chrystus był przyczyną tych wszystkich myśli? Uwierzyłam w to później.

Zapewne pełen miłości Zbawiciel spoglądał z wielkim współczuciem na zniewolone dziecko ciemności. Jedno małe ogniwo łańcucha, którym tak mocno byłam związana, zaczynało słabnąć.

Ostatecznie, po wielu wędrówkach, przeniosłam się do Bristolu. W tym portowym mieście, łatwo było o narkotyki, tym bardziej, że w Londynie dostałam właściwe adresy. W Bristolu, znów jako Śmiała Diana, szybko stałam się znana w „ulicznym biznesie”, szczególnie w migoczącej neonami okolicy placu Św. Pawła (tam też zresztą zamieszkałam). Tak naprawdę nikt nie wiedział - moich prawdziwych uczuciach, o dręczącej mnie samotności - niepewności, kryjących się pod maską wesołości i nieustannego szukania dobrej zabawy.

Czarna magia jest i wówczas także już była, szeroko praktykowana w zachodniej części kraju. Szybko więc udało mi znaleźć tutejsze zgromadzenie czarownic.

Niektóre z nich pamiętały mnie z Dartmoor, gdzie byłam koronowana na królową. Zostałam odpowiedzialna za dwa zgromadzenia w Bristolu.

Wątpliwości mnie nie opuszczały, ale życie biegło dalej we właściwy sobie, ohydny sposób. Przestałam myśleć o zerwaniu z magią. Wiedziałam, że wszelkie tego typu próby to strata czasu. Nie było wyjścia.

Wkrótce odkryłam, że Bristol był miastem kościołów. Zdawały się być dosłownie na każdym rogu. Odwiedziłam kilka, ale to były bardzo krótkie wizyty. Nigdy nie zostałam na całym nabożeństwie. Nie pamiętam niczego, co zostało tam powiedziane i zrobione.

W tych moich wahaniach i drzeniach, nerwowych poszukiwaniach jakiejś drogi, zapomniałam z czasem o szukaniu prawdy. Jak na satanistę przystało, stałam się zagorzałym wrogiem kościołów, traktując je, jako źródło hipokryzji. Nawet miejsce, okolica, w którym znajdował się jakiś kościół chrześcijański, momentalnie wyprowadzało mnie z równowagi.

Pewnego dnia moją uwagę przykuła duża tablica na zewnątrz jednego z bristolskich kościołów, a na niej czyjeś imię i nazwisko. Czyż nie był to ten kaznodzieja z Plymouth, który usiłował ujawnić działalność czarownic na wzgórzach Dartmoor? Próbowałam wtedy rzucić na niego klątwę, ale mi nie wyszło. A teraz on przyjeżdża do Bristolu.

Przyspieszyłam kroku. To był coś niesamowitego. Starłam się, jak mogłam, ale nie udało mi się wymazać jego imienia z mojej głowy. Tak, Bóg działa w tajemniczy sposób...

Tego letniego wieczoru ja i dwie moje przyjaciółki (też prostytutki) włączyłyśmy się dobrze znanymi ulicami. Nagle zwróciłam uwagę na jakiś plakat na zewnątrz kościoła. Napisane na nim było ogromnymi literami: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą.”

Nie wiem dlaczego, ale ten cytat ogromnie mną wstrząsnął. Szczególnie słowo „czystego”. Stan zupełnie mi obcy, niedostępny, poza zasięgiem. Moje wnętrze wypełnił bolesny żal i... złość. „Nie jestem czysta, więc nigdy nie zobaczę Boga - jeśli w ogóle jest Bóg”, a nie byłam tego wcale pewna.

Podeszłam szybko do tablicy i zerwałam ten plakat. Nawet trochę mnie zaskoczyło, że udało się za jednym pociągnięciem. Wyrzuciłam go, czym prędzej.

- Cholerna kupa hipokrytów! - powiedziałam ostro.

- Noo, proszę! Diana znowu jest sobą- wybuchnęły śmiechem moje towarzyski.

Wpadłam w furję. Wcale mi nie było do śmiechu, ponieważ prawda wyglądała tak, że coś wzburzyło moją świadomość, coś mnie ukłuło. Bóg mnie szukał. To wydarzenie było przygotowaniem do tego, co miało wkrótce nastąpić, a o czym wówczas nie miałam pojęcia.

Kilka miesięcy później, byłam jak zwykle na ulicy, tym razem w centrum Bristolu. To był poniedziałek rano, dość niecodzienna pora dla mnie na spacer, ale tak wyszło. Znowu towarzyszyły mi dwie dziewczyny mojego pokroju. Szwendałyśmy się bez celu, to tu, to tam.

Zauważyłam wiele plakatów rozlepionych w widocznych miejscach. Dość niezwykłych plakatów. „Przyjdź i posłuchaj Erica Hutchings'a w Colston Hall. Słyszały o tym już tysiące. Przyjdź, posłuchaj i ty!”

Niestety, na plakacie nie było podane, kim był Eric Hutchings i po co przyjechał do Bristolu. Była tam jego twarz. Już od pierwszego spojrzenia domyśliłam się, że zajmował się zapasami, jeśli nie teraz to przynajmniej w przeszłości. Zaintrygowało mnie to i postanowiłam dowiedzieć się, kim był naprawdę. Trafiłam do miejsca, w którym spodziewałam się dostać informacje. Za mną stały, śmiejąc się i poszturchując, moje towarzyszki.

- Kim jest Eric Hutchings? - zapytałam kobietę za kontuarem.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odpowiedziała.

- Ktoś musi wiedzieć - nalegałam, tłumacząc, że chodzi mi o człowieka z plakatów, które właśnie pojawiły się w mieście.

- Zdaje mi się, że jest ewangelistą albo kaznodzieją w każdym razie kimś w tym rodzaju - odezwała się jakaś inna kobieta.

Prawie zemdlałam. Nie, znowu?! Nie mogłam się od tego uwolnić.

- Jakbyśmy nie mieli wystarczająco dużo kaznodziejów w Bristolu, wtykających nosy w nie swoje sprawy.

Byłam wściekła i podniosłam głos wyrażając, swój protest. Uzbierało się nieco ludzi, zaskoczonych i zaintrygowanych moim wybuchem.

- Chodźcie dziewczyny, wynosimy się stąd. - One bezmyślnie podążyły za mną, cały czas zrywając boki ze śmiechu. Obserwowana przez nieustannie śmiejące się przyjaciółki, zaczęłam zrywać wszystkie plakaty z Erickiem Hutchings'em, jakie tylko mogłam znaleźć. Prowadziłam swoją własną kampanię.

- Czy wszyscy już oszaleli w tym mieście kościołów? - mówiłam - Czy wszystkich dopadła religiomania?

Kilka dni później - ku u mojemu zaskoczeniu - pojawiło się jeszcze więcej plakatów. Wydawało się, że zamiast jednego zerwanego umieszczono sześć nowych. Złość we mnie wrzała, ale zmieniłam taktykę. Zamiast zdzierać plakaty, domalowywałam ogromną, krzaczastą brodę na twarzy Ericka Hutchings'a albo - ku większej uciechu moich przyjaciółek - ogromne wąsy.

Billy Graham pojawił się w wiadomościach w tym samym czasie. Z zapałem wyzywałam ich od hipokrytów. Znajomi byli moim zachowaniem bardzo zaintrygowani.

- Co ty w ogóle chcesz osiągnąć, Doreen? Przecież oni nic złego ci nie zrobili.

- Ale nic cholernie dobrego też nie - odgryzałam się.

Czemu więc moje serce wypełniała tak ogromna nienawiść do wszystkiego, co wiązało się z chrześcijaństwem? Lucyfer, mój pan, nie był absolutnie zadowolony z faktu głoszenia prastarej Ewangelii w Bristolu. Wielka ewangelizacja była już zaplanowana i miała się odbywać nie w kościołach, ale w ogromnej hali.

Byłam świadoma, że wpadłam w pułapkę mojego wypełnionego złem życia, i nie było z niej drogi powrotu. Przyszłość miała pokazać, że to nieprawda. Istniała droga wyjścia: jedyna droga. Prowadziła przez miłość i zbawienie darowane w Jezusie Chrystusie. Lekceważąc przyszłość. Trwałam w moim życiu, godnym największego wstydu, jedynym życiu, jakie naprawdę poznałam...

ROZDZIAŁ XIV

PIERWSZY KROK DO WOLNOŚCI

Był piękny czerwcowy wieczór 1964 roku. Upłynęły trzy tygodnie od dnia, w którym zrywałam plakaty zapowiadające przyjazd Erica Hutchings'a. Właściwie to już o nim zapomniałam. W ten sobotni wieczór miałam mnóstwo innych rzeczy na głowie w związku z „interesami”.

Śmiała Diana, ubrana odpowiednio do swojego zawodu, stała na ulicy czekając na klienta. Mijała minuta za minutą czułam zmęczenie, w końcu doszłam do wniosku, że dziś już nic z tego nie będzie. Byłam bardzo uzależniona od narkotyków i alkoholu. Potrzebowałam pieniędzy... Właśnie miałam zmienić miejsce, kiedy nagle zobaczyłam tłum ludzi, zdążających w tym samym kierunku. Skąd tak wielu ludzi w centrum Bristolu o tak wczesnej wieczornej porze? Wtedy spostrzegłam, że

niektórzy z nich nieśli Biblię. „Aaa, to ci religijni hipokryci idą na Erica Hutchings'a.” - domyśliłam się.

Zaczęłam iść za jedną z grup. Zatrzymałam się przed Colston Hall, ale nie na długo. „Ja mu pokażę, co myślę o nim i tym jego spotkaniu.” Nie byłam w zbyt dobrym nastroju. Żałowałam, że nie ma ze mną nikogo znajomego, kto by mnie wsparł. Weszłam w ten ogromny tłum, kierując się w stronę wejścia do hali. Miałam tylko jeden cel - utrzyć temu Hutchings'owi nosa.

Nie pamiętam już, w jaki sposób pewna spostrzegawcza osoba, która rozlokowywała wchodzących, usadziła mnie i uciszyła, ale jakoś jej się to udało. Znalazłam się na samym końcu jednego z tylnych rzędów, w którym siedziało już mnóstwo ludzi. Wszyscy musieli podnieść się ze swoich miejsc, kiedy szłam do wskazanego mi fotela na końcu rzędu.

Ubrana byłam w kusą sukienkę z czarnej satyny, moja twarz „opływała” makijażem i oczywiście afiszowałam się moją brzęczącą biżuterią. Niemal fizycznie czułam na sobie ciekawość całej widowni. Spojrzałam na scenę. Siedzieli tam duchowni w jednym rzędku, a za nimi ogromny chór, cały ubrany na biało. Zaczęłam czuć się nieswojo. Ludzie siedzący w rzędach przede mną odwracali się i gapili na mnie, jak na zjawisko nie z tego świata. „Tak, gapcie się, - myślałam - na zdrowie!” W zamian za swoją ciekawość otrzymywali ode mnie długie, pełne lekceważenia i pogardy spojrzenia.

Spotkanie rozpoczęła wspólna pieśń - ja nie śpiewałam. Chciałam wyjść bez zwracania na siebie uwagi, choć i tak było już za późno. Nie miałam pojęcia, jak to zrobić. Kiedy w końcu skończyła się pierwsza pieśń, wszyscy usiedli - wszyscy z wyjątkiem mnie.

Chciałam wykorzystać ten moment, by się szybko wyjść. Na moje nieszczęście, dokładnie w tej chwili, wyszła na scenę jakaś kobieta. Ogromne zgromadzenie zastygło w ciszy. To trwało zaledwie kilka sekund, aż rozległ się niezwykle śpiew. Słodki, czysty głos kobiecy nasycił powietrze cudną muzyką. To sprawiło, że zatrzymałam się i zaczęłam słuchać.

*Ogromnie bym chciała powiedzieć ci, co myślę o Jezusie,
Odkąd znalazłam w Nim Przyjaciela tak wiernego i mocnego.
Powiedziałabym ci, jak zupełnie zmienił moje życie.
Zrobił coś, czego nikt inny nie mógł - nawet przyjaciel.
Całe moje życie pełne było grzechu, kiedy znalazł mnie Jezus.
Całe moje życie było żałosne i pełne bałaganu.*

*Jezus wypełnił je swoją siłą i otoczył mnie kochającym ramieniem,
Pomógł stanąć na drodze, którą powinnam była iść.*

Nikt nigdy nie troszczył się o mnie tak jak Jezus.

Nie ma przyjaciela tak miłego jak on.

Nikt inny nie mógł zabrać grzechu i ciemności, w jakich tkwiłam.

Mój Jezus, Tobie naprawdę na mnie zależy.

Coś cudownego i niewytłumaczalnego działo się w moim wnętrzu - coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Całe życie rozwinęło się przede mną niczym wyświetlany film. Mój umysł był bardzo jasny i przytomny.

Przypomniałam, jak w szkole niedzielnej usłyszałam nauczyciela:, „Czemu nie miałbyś zaprosić Jezusa do swojego serca?” Ujrzałam też dziewczynę z Armii Zbawienia na ulicy Padding- tonu. Przed moimi oczami pojawiły się również „łóżka wstydu”, na których oddawałam się innym mężczyznom oraz sceny ze zgromadzenia czarownic.

Akompaniamentem do wszystkich obrazów przewijających się w mojej pamięci, były słowa tej pięknej pieśni. W moim czarnym, przepelnionym grzechem sercu pojawiło się przekonanie, że tak naprawdę nikt nigdy mnie nie kochał. Żaden z mężczyzn spotkanych na ulicach, nikt z domu publicznego, nikt ze świątyni szatana, ani ze zgromadzenia czarownic. A teraz ta kobieta śpiewa, że Jezusowi na mnie zależy i że on mógłby uwolnić mnie od grzechu i tej strasznej ciemności.

Och, czy to może być prawda? Czy może być prawdą, że ten Jezus faktycznie mnie kocha i że jemu zależy? Czy może mu zależeć na mnie, znanej prostytutce, ćpuncie i czarownicy? Jeśli... jeśli to byłaby prawda... z pewnością mogłabym też go pokochać... Czyżbym odtrącała takie błogosławieństwo przez całe moje życie?

Po latach najgłębszego wstydu ktoś wyciągał do mnie rękę - Jezus, pełen współczucia Zbawiciel, który umarł zamiast mnie. Po raz pierwszy w życiu poczułam się naprawdę brudna i pełna wstydu za życie, jakie prowadziłam.

Pogrążona w tych myślach i uczuciach zupełnie zapomniałam, że wciąż stałam w wielkiej hali. Pieśń już się skończyła. Jaka szkoda. Mogłaby mieć nawet i z pięćdziesiąt zwrotek...

Twarz Betty-Lou Mills, która śpiewała, promieniała wewnętrzną jasnością. Piękno z niej bijące nie było zasługą żadnego salonu kosmetycznego na świecie. Przez całą pieśń stałam, wsłuchiwałam się w słowa i patrzyłam na solistkę. Czy siedzący wokół mnie ludzie, zwrócili na mnie uwagę? Nie wiem. Nie obchodziło mnie wtedy

czy robię wrażenie - liczyła się tylko pieśń i ... nadzieja, jaką niosły dla mnie jej słowa.

Usiadłam w końcu wzruszona, a nawet wstrząśnięta. Erie Hutchings rozpoczął swoje kazanie słowami: „Jeśli nie znasz Jezusa Chrystusa jako swojego osobistego zbawiciela, jesteś zgubiony. Jesteś martwy z powodu swoich przewinień i grzechów. Biblia mówi, że jesteś POTĘPIONY." Położył tak wielki nacisk na słowo potępiony, że niemal spadłam z krzesła - przerażona. On miał rację - wiedziałam całą sobą, że ją miał! Skoczyłam na równe nogi i krzyknęłam: - On ma rację! Jestem potępiona!

Zaszokowana publiczność zamarła w absolutnej ciszy, także i sam ewangelista nie był w stanie odezwać się przez kilka chwil. Potem zaczął mówić dalej z jeszcze większym zaangażowaniem.

- Jeśli każdej niedzieli chodzisz do kościoła i nie znasz Jezusa Chrystusa jako swojego osobistego Zbawiciela - także jesteś zgubiony.

Ciarki mnie przeszły, kiedy usłyszałam to zdanie i z całego serca chciałam krzyknąć „Słuchajcie! Słuchajcie!", ale wolałam już więcej nie zwracać na siebie uwagi. „Mówi też do ludzi chodzących do kościoła, - myślałam - może ten Hutchings nie jest aż taki zły?" Erie Hutchings kontynuował mówiąc, że Jezus umarł za każdego i każdy, kto się do niego zwraca będzie uwolniony z niewoli szatana. Moje serce biło bardzo, bardzo szybko. Jezus mógł mnie uwolnić???

Nic więcej nie pamiętam z tego pełnego mocy kazania. Kończąc ewangelista zaapelował: „Przyjdźcie do Jezusa dziś wieczorem! Podejdźcie do przodu."

Ludzie zaczęli wychodzić do przodu, a chór śpiewał:

*Taki jak jestem, nie mam nic na swoje usprawiedliwienie
Ale wiem, że Twoja krew przelała się i dla mnie,
Teraz Ty wzywasz mnie do siebie
O Baranku Boży, idę, idę.*

Jakiś łańcuch nie pozwalał mi wstać z krzesła i niemal słyszałam głosy diabłów „Jesteś moja, nie możesz iść, jesteś moja. Już za późno dla ciebie." Drżałam od stóp do głów. Wielka bitwa się toczy tą bitwa z mocami ciemności i Szatanem. Mój diabelski pan walczył o utrzymanie swojej władzy nade mną. Chór śpiewał kolejną strofę:

*Taki jak jestem, miotany wewnątrz
Mnóstwem sprzeczności i wątpliwości*

Pełen strachu i pustki.

O Baranku Boży, idę, idę.

Spostrzegłam nagle, że w jakiś niewytłumaczalny sposób, sama nie wiem kiedy, stanęłam na nogach i szłam do przodu. Cały czas czułam walkę ciemności w sobie i miałam świadomość, że ktoś potężniejszy niż Szatan stanął po mojej stronie.

Zły przegrywał bitwę. Tracił swojego niewolnika. Jezus, któremu mimo moich grzechów i wstydu, zależało na mnie, zabiegał o mnie i podbijał moje czarne, pełne grzechu serce. Stałam na przodzie. Łzy spływały po mojej wymalowanej twarzy.

- Idę, już idę, Jezu - mówiłam cicho. - Proszę, zabierz ode mnie tę straszną ciemność.

Nie wiedziałam, jak się modlić. Ale czy musimy to wiedzieć? Zbawiciel słyszał łkanie mojego serca i przyjął mnie taką jaką byłam. Co za radość musiała być w niebie tej nocy! Nieco inna atmosfera panowała w czasie rozmowy z doradcami duchowymi. Wiem, że nie było łatwo ze mną rozmawiać. Wróciły wątpliwości i obawy, które rozwiały nadzieję i zmieniły mój nastrój.

Słyszałam nawet głos Szatana w sobie: „Nie możesz tego zmienić. Jesteś moja.” Toczyły się we mnie wielkie boje. Co z moim życiem, ze sposobem, w jaki żyłam? Jak mogłabym się obejść bez narkotyków? Czy mam dość siły, by to wszystko porzucić?

Kilka osób odzywało się wskazując na odpowiednie wersety z Biblii, ale to do mnie nie przemawiało. Zaprezentowali mi ABC Ewangelii, jednak czegoś w tym wszystkim brakowało, nie potrafiłam powiedzieć, czego. Te wersety z Biblii odnosiły się do każdego, kto szukał Chrystusa i oczywiście odnosiły się także do mnie, aleja potrzebowałam czegoś więcej.

Bałam się powiedzieć całą prawdę o sobie. Nie chciałam, żeby ci ludzie odwrócili się ode mnie, kiedy dowiedzą się o moim zaangażowaniu w czarną magię, satanizm i prostytutkę.

- Jestem narkomanką. - Tyle powiedziałam o sobie.

Skąd mogłam wiedzieć, że nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by mnie odrzucać. Nie było im łatwo coś mi doradzić. Mówili:

- Jeśli naprawdę pozwolisz Chrystusowi kierować swoim życiem, wszystko inne będzie stopniowo odchodzić.

Nie myślałam, że to będzie aż tak proste, ale zgodziłam się modlić z nimi. Ze wszystkich sił starałam się wierzyć, że to, co mówili było prawdą. „Być może mają

rację. Obudzę się jutro rano i może wszystko będzie inne. „ - myślałam. Ale coś, gdzieś zostało pominięte.

Potem zaczęła ze mną rozmawiać pewna miła kobieta. To była pani Mary Hutchings – ale wtedy tego nie wiedziałam. Była naprawdę uprzejma i serdeczna. Polubiłam ją. W końcu wyszłam, niosąc egzemplarz Ewangelii wg Jana i małą książeczkę „Pierwsze kroki z Chrystusem”. Dochodziła północ. Inni dawno już wyszli. Grupa prostytutek stała na skrzyżowaniu w pobliżu Colston Hall.

- Hej, Diana – krzyknęły – Gdzieś ty była?

- Właśnie zostałam zbawiona w Colston Hall – odpowiedziałam z prostotą.

Myślały, że się z nich nabijam. Wybuchnęły zdrowym śmiechem.

- Nie żartuję, dziewczyny. Oddałam swoje życie Jezusowi w Colston Hall.

Gapiły się na mnie z niedowierzaniem.

- Daj spokój, Diana. To my - twoje przyjaciółki.

- Wiem, co mówię. Serio. Idę teraz do domu i będę czytać Biblię. - Pokazałam im Ewangelię Jana.

- Dobranoc, dziewczyny.

Chociaż tego nie wiedziałam, zrobiłam wtedy niesamowitą rzecz. Wyznałam swoimi ustami, że Jezus jest moim panem. Nikt nie kazał mi świadczyć w ten sposób. I chociaż wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy, to był początek mojej drogi, związanej z pracą ewangelizacyjną. Nie zdawałam sobie także sprawy z ogromnych problemów, jakie mnie jeszcze czekały i bitew, jakie się miały o mnie rozegrać.

Znalazłam się na właściwej drodze. Jezus zrobił resztę, troszcząc się o mnie i chroniąc aż do ostatecznego, wspaniałego wyzwolenia. Moje stopy kroczyły teraz wąską drogą. Zrobiłam na niej pierwszy krok do wolności.

ROZDZIAŁ XV

W POSZUKIWANIU WOLNOŚCI

Kiedy się obudziłam następnego poranka, powoli zaczęłam przypominać sobie wydarzenia poprzedniego wieczoru i nocy. Nie spałam zbyt dobrze. Być może to wszystko mi się tylko śniło, pomyślałam. Ale to nie był sen - na stoliku przy łóżku leżała Ewangelia Jana i „Pierwsze kroki z Chrystusem”.

Dotrzymałam obietnicy złożonej moim nowym znajomym i dziewczynom z ulicy. Przeczytałam broszurki. Siedziałam na łóżku i czytałam Ewangelię Jana od początku do końca, nie dlatego, że rozumiałam, co czytam albo że chciałam coś zapamiętać, ale dlatego, że chciałam dotrzymać słowa.

„Czy życie będzie teraz inne? Czy coś się zmieni? - zastanawiałam się.

Mijały dni, a moje myśli pełne były wątpliwości. Jak w ogóle mogłam mieć nadzieję, że uda mi się żyć po chrześcijańsku? A co z narkotykami, papierosami i moim życiem na ulicy? To wszystko było dla mnie zbyt trudne. Mało tego - co z magią? Czy w ogóle jest możliwe uwolnić się od tego?

Głos, wyraźny głos Lucyfera wewnątrz mnie, mówił: „Nie możesz z tego wyjść. Za późno dla ciebie. Jesteś moja”.

„On chyba ma rację, zaczynałam myśleć - najlepiej zapomnę o tym wszystkim od razu.”

Wrzuciłam Ewangelię do szuflady i poszłam się napić do najbliższego baru. Kiedy siedziałam i piłam, w mojej głowie rozbrzmiał na nowo słodki głos solistki: Nikt inny nie mógł zabrać grzechu i ciemności, w jakich tkwiłam. *Mój Jezu, Tobie naprawdę na mnie zależy.*

„To głupie, - pomyślałam - dlaczego ta piosenka wraca do mnie, właśnie teraz, właśnie w tym miejscu?”

„Zapomnij o tym - znów usłyszałam głos Lucyfera - Wychył jeszcze jednego. To wkrótce odejdzie.”

Ale nie odeszło, nawet po kolejnych kieliszkach. Czy mogę zapomnieć? Gdziekolwiek szłam, przestanie solistki szło za mną: *Jezusowi na mnie zależy, Jezus mnie kocha.*

Kiedy szłam ulicami w poszukiwaniu klienta, kiedy piłam w barze, nawet kiedy wstrzykiwałam sobie kolejną dawkę heroiny, urywki tego pięknego solo nieustannie brzmiały w moich uszach, powtarzając mi wciąż i wciąż, że Jezusowi na mnie zależy.

„Nie zwracaj na to uwagi - nalegał Lucyfer. - To nie dla ciebie.”

„Czy ja już zupełnie oszalałam?”

Dwa głosy wmawiały mi zupełnie sprzeczne rzeczy. Co się ze mną działo? To była prawdziwa bitwa między dobrem i złem, między wielkimi mocami ciemności i Jezusem Chrystusem, wszechmocnym Synem Bożym. Byłam niezmiernie

zaskoczona, kiedy pewnego dnia otrzymałam list od kobiety, z którą rozmawiałam tamtej pamiętnej nocy. Nikt jeszcze nigdy nie napisał do mnie. To był dobry, kojący list mówiący: „Modlę się o ciebie. Czy możesz jeszcze kiedyś przyjść na nasze spotkanie?”

Byłam bardzo wzruszona tym serdecznym listem, jednak nie byłam pewna, czy chcę jeszcze raz tam pójść.

„Nie idź!- rozkazywał Lucyfer. - Jesteś moja!”

Jego głos przerażał mnie coraz bardziej. Mój umysł był jedną wielką wrzawą, zamieszaniem. Mimo to - poszłam. Jakaś dziwna moc, pełna serdecznego ciepła i dobroci, przyciągnęła mnie tam dwa wieczory później.

Miałam nadzieję, że solistka będzie śpiewała jeszcze raz tę samą piosenkę, która tak żywo brzmiała w moich uszach. Ale zamiast śpiewać, ona uczyniła coś innego. Jej twarz wciąż była dla mnie obrazem wielkiej radości i tak bardzo chciałam mieć w sobie to, co promieniało z jej wnętrza. Tak, służyć w pełni Bogu, Jezusowi Chrystusowi, być wolną od narkotyków, prostytucji i magii!

Tej nocy Lucyfer stał przy moim łóżku. Nie mogłam się mylić. Widziałam go często w przeszłości i słyszałam jego głos wielokrotnie. To nie była wyobraźnia - to była rzeczywistość!

- Jesteś moja - powiedział. - Masz być mi posłuszna. Trzymaj się z dala od chrześcijan, w przeciwnym razie umrzesz.

Jego twarz była odrażająca. Miał czarne, kręcone włosy, a pełen nienawiści głos budził grozę. Czułam ogromne owłosione ręce sięgające mojej krtani. Próbowałam krzyczeć, próbowałam się modlić. Wszystko na nic. Moc zła była dla mnie zbyt silna. To wszystko było zupełnie rzeczywiste i nie do zniesienia.

„Dlaczego? - myślałam. - Przecież jestem w jego mocy od lat. Nigdy nie będę czystą chrześcijanką." Tak bardzo chciałam być uwolniona, a wciąż znajdowałam się w uścisku szatana. Co zrobić? Co zrobić?! Byłam już bliska zrezygnowania z tego pomysłu, by kochać Chrystusa i Mu służyć.

Potem znów i znów, słowa solistki zabrzmiały w mojej głowie. Nikt inny nie mógł zabrać grzechu i ciemności, w jakich tkwiłam. *Mój Jezu, Tobie naprawdę na mnie zależy.*

To było to. „Będę walczyć, aż będę wolna. Będę szukać, aż znajdę wolność, której potrzebuję i chcę!” To wspaniałe, że kiedy Jezus raz rozpoczął pracę w czyimś sercu, nigdy go nie opuszcza, nie zostawia samego. Jezus nie pozwolił mi odejść.

Byłam teraz jego dzieckiem. Chociaż bitwa tak naprawdę dopiero się rozpoczęła, On był ze mną. Dał mi wrażliwość na swoją obecność, podtrzymując moje dążenia do znalezienia prawdziwej wolności.

Ta miła pani, autorka listu, odwiedziła mnie. - Jeśli naprawdę chcesz kochać Jezusa i podążać za nim - powiedziała - musisz spotykać się z innymi jego dziećmi. Proszę, przyłącz się do jakiegoś ewangelicznego kościoła.

- W porządku - zgodziłam się. - Gdzie jest kościół ewangeliczny? Do którego powinnam pójść?

- Nie wolno nam radzić nikomu, do jakiego kościoła ma chodzić. Idź do jakiegokolwiek. Jest wiele w okolicy.

Nie wykorzystałam tego czasu, by opowiedzieć jej, kim naprawdę byłam: czarownicą prostytutką striptizerką. Powstrzymywał mnie strach przed tym, co może się stać, jeśli ci mili ludzie dowiedzą się, jakiego rodzaju życie prowadziłam. Wiedzieli jedynie, że moje wnętrze jest w ogromnej duchowej potrzebie.

Czy ktoś taki, jak ja mógł coś wiedzieć o kościołach i denominacjach? Jak mogłam wybrać kościół, do którego chciałabym regularnie chodzić? Na ulicach mijałam wiele kościołów, ale nie przypominam sobie, że bym widziała gdziekolwiek napis - Kościół Ewangeliczny, czy chociaż jakiś podobny.

Ta pani mówiła o wielu w okolicy, a ja, niestety, nie mogłam znaleźć ani jednego – po prostu, dlatego, że szukałam nazwy. Cóż termin „ewangeliczny” mógł znaczyć dla mnie, kogoś zupełnie z zewnątrz? Nic!

Ale ja naprawdę chciałam wiedzieć więcej o Jezusie. Byłam gorliwa w moich poszukiwaniach, mimo że nie zmieniałam sposobu życia. Ale sama nie byłam w stanie nic zmienić i wiedziałam o tym. Wszystko zależało od czyjejś pomocy, nawet jeśli miałabym pójść do kościoła, by znaleźć uwolnienie. Spróbuj zapytać jakąkolwiek prostytutkę czy chodzi do kościoła, to roześmieje ci się prosto w twarz. „Dlaczego ja? - zapytałaby. „Co mogłaby robić w kościele osoba mojego pokroju? Nie pozwoliliby mi nawet tam wejść.”

Można sobie z łatwością wyobrazić jak się czułam. W jaki sposób miałabym się znaleźć w kościele? - to mnie naprawdę zastanawiało. Zdawało mi się to niemożliwe, ale byłam zdeterminowana, by znaleźć to, czego szukałam.

Nigdy nie zapomnę swojej pierwszej wizyty w kościele. Przestałam już szukać Kościoła Ewangelicznego i w tej mojej desperacji którejś niedzieli weszłam do pierwszego lepszego kościoła. Był duży i przepiękny ludźmi. Obserwowałam z

pewnym zdenerwowaniem zgromadzonych tam ludzi, którzy wyglądali bardzo szacownie. W pierwszym odruchu chciałam natychmiast uciec i nie pojawić się tam nigdy więcej.

Nie było wolnych miejsc z tyłu. Jedyne wolne ławki znajdowały na samym początku kościoła - całe dwa puste rzędy. Głupio mi było i znów czułam na sobie ciekawski wzrok wszystkich ludzi. Byłam ubrana mniej więcej, jak wtedy, kiedy poszłam pierwszy raz do Colston Hall. „Czemu wszyscy się tak gapią?”.

Nabożeństwo rozpoczęło się jakąś ponurą pieśnią, która nie miała nic wspólnego z tym precudnym hymnem, jaki usłyszałam pierwszego wieczoru w Colston. Potem duchowny modlił się bardzo długo i skomplikowanie. Następna pieśń była jeszcze bardziej ponura i trudna do zaśpiewania niż ta poprzednia. Dalej nastąpiło czytanie z Biblii. Miałam ze sobą moją Ewangelię Jana. Ale duchowny czytał inny fragment, nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie mogę go znaleźć w mojej małej Biblii.

W końcu zaczęło się kazanie, ale nie mogłam w ogóle zrozumieć, do czego zmierzał duchowny i co usiłował przekazać. Używał jakiś długich teologicznych fraz, które nie miały dla mnie żadnego sensu. Nic nie było proste i jasne. Nic. Chciałam usłyszeć coś o Jezusie, coś, co mogłabym zrozumieć np: Jezus może cię uwolnić, Jezus cię kocha. Niestety, nie usłyszałam nic takiego.

Poczułam się bezsilna i bardzo znudzona, zachciało mi się papierosa. Nie mogłam wytrzymać ani chwili dłużej, wstałam szybko i wyszłam, mijając poważnych, budzących respekt ludzi, skupionych w pobożnym milczeniu. Wypaliłam papierosa, ale cały czas myślałam, co dalej. „Może to nie w porządku z mojej strony, może nie dałam mu szansy. To wszystko zapewne moja wina. Spróbuję raz jeszcze.”

Tak więc weszłam ponownie, ku ogromnemu zaskoczeniu zebranych, którzy oczywiście byli pewni, że poszłam sobie na dobre. Usiadłam na poprzednim miejscu i zostałam aż do końca. Byłam jednak szczerze zadowolona, kiedy nastąpiła końcowa modlitwa. Też się modliłam, mając nadzieję, że Jezus mnie zrozumie.

Ludzie stali w małych grupkach to tu, to tam. Duchowny ścisnął dłonie podchodzących do niego wiernych i mówił uprzejme frazesy. Chciałam minąć go bez zwracania na siebie uwagi, ale nie udało się. Był bardzo miły i uprzejmy.

- Dobry wieczór - powiedział, uśmiechając się ciepło. Właściwie to polubiłam go. – Nie widziałem cię wcześniej, prawda?

- Nie, bo nigdy wcześniej tu nie byłam. - Zaległa cisza.

Wydawało się, że nawet powietrze znieruchomiło. Był bardzo zaskoczony moją odpowiedzią. Po kilku sekundach zapytał:

- A co sprawiło, że przyszedłeś dzisiaj?

- Cóż, byłam w Colston Hall, słuchałam Erica Hutchings'a i oddałam swoje serce Jezusowi.

- Duchowny rozpromienił się.

- To wspaniale! - Wiedziałam, byłam pewna, że ten człowiek kocha Jezusa.

- Czy mogę ci pomóc na początku twojej drogi z Chrystusem?

Pomyślałam szybko: „To jest moja szansa. Nie mogę jej zmarnować.” - Cóż - powiedziałam do niego - nie wiem, czy możesz mi pomóc. Widzisz, jestem prostytutką i narkomanką.

Wyglądał bardzo dziwnie, nieco zbladł. Myślałam nawet, że zemdleje. Ludzie stojący obok zamilkli zupełnie i patrzyli na mnie z nieukrywanym zainteresowaniem.

Po kilku sekundach duchowny doszedł do siebie i powiedział:

- Proszę, przyjdź znowu. Dobranoc.

„Przyjść znowu? - myślałam. - Po co? Co jest z tymi ludźmi? Czy ktokolwiek może mi pomóc? Gdzie jest ten Jezus, o którym tak dużo mówią?”

Patrząc w przeszłość, uśmiecham się lekko i czuję smutek. Ci ludzie chodzili do kościoła w każdą niedzielę i nie stało się nic, co mogłoby zakłócić ich dobrze zorganizowane nabożeństwa. I zapewne był to dla nich szok, kiedy zobaczyli, że do „ich” kościoła wchodzi ktoś tak inny, ktoś z ulicy.

Pewien kaznodzieja powiedział kiedyś: „Bądź gotów na wszystko”. Oni z pewnością nie byli przygotowani na spotkanie z kimś takim, jak ja. W rezultacie, kiedy opuściłam ten kościół, wciąż byłam w tym samym miejscu - a może nawet jeszcze bardziej niepewna i zagubiona. „Gdzie w takim razie powinnam teraz pójść? Co robić? Gdzie znaleźć prawdę w tym mieście kościołów?”

Minęło kilka tygodni. Wciąż szukałam. Temperatura bitwy rosła. Lucyfer podejmował wszelkie wysiłki, by zaciskać swój łańcuch i trzymać mnie krótko.

Wędrowałam po różnych kościołach i czasem słyszałam coś o krwi Chrystusa. W takich chwilach, dopadały mnie czarne siły i traciłam nad sobą kontrolę. Działy się ze mną niewytłumaczalne rzeczy, zachowywałam się w sposób satanistyczny. Wyrwałam kartki z rozłożonych na ławkach Biblii, niszczyłam je, rzucałam

śpiewnikami po całym kościele. Z rak ludzi wyszarpywałam tacki z komunią tak, że wino rozlewało się, a chleb rozsypywał po całej podłodze.

Rzucałam się na podłogę krzycząc, sycząc, wijąc się jak wąż. Potem, nagle - przychodziłam do siebie i niczego nie pamiętałam. Bardzo często wybiegałam z kościoła zraniona, rozżalona i cała splekana.

Ludzie nie rozumieli, moich stanów i ich przyczyn. Niektórzy myśleli, że byłam chora psychicznie. Ale ja wiedziałam, że te dzikie czyny nie są moim udziałem. To ta zła ciemność wewnątrz przejmowała nade mną kontrolę.

Poza kościołem czułam niewidzialną dłoń, która popychała mnie do tych wszystkich rzeczy, od których chciałam się uwolnić. Nim oddałam swoje życie Jezusowi, angażowałam się w magię, narkotyki i prostytutkę bez jakichkolwiek zahamowań. Teraz jednak, kiedy szukałam drogi do chrześcijańskiego życia, popełniałam te złe rzeczy wbrew swojej woli. Tak jakby ktoś mnie używał. Jakaś moc kontrolowała mnie.

Kiedy tak wędrowałam po różnych kościołach i słyszałam zwiastowaną prawdziwą Ewangelię, złe siły stawały się bardzo aktywne. Wciąż mnie zniewalały. Odwiedziłam wiele kościołów i wiele razy szatan demonstrował przede mną swoje niezadowolenie. Widziałam oszołomione, zmieszane spojrzenia, czasem widziałam troskę na twarzach ludzi. Ja też byłam zmieszana i bardziej zakłopotana niż sami duchowni. Zastanawiałam się, dlaczego nie zrobią czegoś dla mnie.

Kiedy te zmagania we mnie nie mijały, postanowiłam zrezygnować z kościoła. Być może faktycznie byłam szalona i nie było dla mnie ratunku w kościele, a może w ogóle nigdzie... Doszłam do momentu, w którym chciałam już dać sobie spokój z tym poszukiwaniem wolności i ucieczką od mocy zła. „Szukajcie, a znajdziecie.” - mówi Biblia. „Pukajcie, a otworzą wam.”

„Jezusowi na tobie zależy! Naprawdę mu zależy!” - Dopadło mnie przygnębienie, depresja, a jednak te wszystkie słowa rozbrzmiewały gdzieś we mnie, jaśniej i wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej. „Muszę być wolna. Chcę żyć dla Jezusa, jeśli On kocha mnie tak bardzo.”

Sam Jezus mówił do mnie. Przez ciemność. Przez wątpliwości. Duch Święty przełamywał to wszystko, zachęcając mnie, bym dalej szukała. Szukała, aż znajdzie. Bym się nie poddawała. Pewnego niedzielnego poranka zdecydowałam się spróbować jeszcze raz. Postanowiłam iść do Domu Bożego i modlić się. Od pierwszej chwili, kiedy tylko weszłam, złe moce zawładnęły mną. Kiedy doszłam do siebie, zobaczyłam z przerażeniem potłuczone naczynia komunijne, rozlane wino i

zszokowanych ludzi. Wybiegłam szlochając. Biegłam i biegłam ulicą wciąż łkając, biegłam jakby wszystkie diabły piekielne deptały mi po piętach. Byłam ogromnie zdesperowana i bezradna. „Lepiej z tym skończyć, lepiej umrzeć, umrzeć, umrzeć...”. „Umrzeć!” – powiedział Lucyfer.

Jego głos sztywniał ze mnie, kiedy tak biegłam zboleła i udręczona, jak zranione zwierzę. Dotarłam do małego mostku. Wskoczyłam na niego, na barierkę i właśnie miałam rzucić się do głębokiej wody, kiedy chwycił mnie jakiś mężczyzna i krzyknął; - Co chcesz zrobić, głupia kobieto?!

Wyrwałam mu się i biegłam dalej, nie wiedząc nawet, dokąd biegnę. W zaślepieniu wpadłam do budki telefonicznej, drżąc i szlochając przez pewien czas. Kiedy trochę się uspokoiłam, zauważyłam zobaczyłam przyklejony do ściany numer telefonu jakiegoś wielebnego Stanely'a Jebb'a. Przeczytałam jeszcze raz. Nie myśląc o niczym, chwyciłam za słuchawkę. Nie pamiętam, co mu powiedziałam, ale byłam w takim nastroju, że mi uwierzył.

- Proszę, przyjdź do kościoła. - powiedział.

Podał mi nazwę kościoła i dokładny adres. Jego głos brzmiał ciepło i szczerze. Chwilę później znalazłam się w Kościele Baptistycznym przy ulicy Królewskiej w Bristolu. Czekają na mnie dwóch mężczyzn, jednym z nich był duchowny, a drugim niejaki pan Dennis Clark, ewangelista.

Byli uprzejmi i zdawali się mnie rozumieć, kiedy zanosząc się łzami opowiadałam im moją smutną historię. Sama nie mogłam w to wszystko uwierzyć. Pomogli mi się nieco wyciszyć i pomodlili się za mnie. W tej chwili złe moce znów stały się aktywne i zaatakowały duchownych. Nie było to dla nich zaskoczeniem. Powiedzieli uprzejmie, z troską: - Znamy człowieka, który może ci pomóc, jeśli mu pozwolisz. Jest pastorem Kościoła Baptistycznego w Burnham-on-Sea. Nazywa się Arthur Neil. Wiem, że on naprawdę może ci pomóc. Skontaktujemy się z nim i damy ci znać, kiedy przyjedzie, żebyś mogła się z nim spotkać.

Tak więc byłam umówiona na spotkanie z wielebnym Arthurem Niel'em. Wreszcie trafiłam na właściwą drogę. To była prawdziwa odpowiedź na moje długie poszukiwania wolności.

ROZDZIAŁ XVI

PALEC BOGA

Wielebny Arthur Niel przybył następnego popołudnia razem z pastorem Stanley'em. Widziałam, jak wchodzili przez bramę i zmierzali w kierunku moich

drzwi. Nagle rozległ się we mnie głos: „Nie otwieraj drzwi! Nie możesz mieć z nimi nic wspólnego”. Byłam przerażona, bałam się, ale miałam też świadomość, że czarne moce we mnie były jeszcze bardziej przerażone niż ja sama. W jakiś sposób czułam, że pan Niel jest tym człowiekiem, który może mi pomóc i chociaż naprawdę się bałam, otworzyłam drzwi i zaprosiłam ich do środka.

Pan Niel był mi zupełnie obcy, ale instynktownie wiedziałam, że był czystym, świętym człowiekiem bożym. Czułam się zła i podła, jak sam diabeł.

Chciał abym nie czuła się nieswojo. Był bardzo uprzejmy i miły. Jego oczy przepęłniała szczerą miłość. Musiałam spuścić wzrok przed jego spojrzeniem. Coś ciemnego we mnie buntowało się przeciw niemu, ale nie zależało to ode mnie.

- Czy te głosy, które słyszysz mają imiona?

- Nie.

- Czy są to jakieś nieczyste duchy?

Nagle uświadomiłam sobie złe duchy we mnie. One faktycznie posiadały moje ciało. Złe duchy znów mówiły, ale tylko do mnie. „Nic mu nie mów, nic mu nie mów!”

Demony nie były mi obce. Przecież tak często wzywałam je, by towarzyszyły mi w różnych rytuałach satanistycznych i magicznych. Po raz pierwszy tak naprawdę uświadomiłam sobie, że demony były we mnie samej a nie na zewnątrz. To było przerażające odkrycie.

Ale nie powiedziałam nic o satanizmie i czarnej magii. Absolutnie nic. Właściwie nie było takiej potrzeby. Arthur Niel wiedział, że byłam opętana przez demony, mimo że niczego innego jeszcze o mnie nie wiedział. Zwrócił palec w moją stronę, nie na mnie, ale na demony we mnie. Przemówił w dziwnym języku, który one rozumiały, nakazując im odejść w imieniu Jezusa.

Przerażona siedziałam na krześle. Demony we mnie były jeszcze bardziej przerażone. Pan Neil położył swoje dłonie na mojej głowie tak jak Dennis Clark robił to poprzedniego dnia. Nie zaatakowałam pana Neila. Miałam pełną świadomość tego, co się działo. Nie miałam cienia wątpliwości, że wielkie królestwo ciemności drżało we mnie i pełne było wstrząsów.

Później pan Neil wytłumaczył mi, że użył mocy języka, jakim obdarował go Jezus Chrystus do walki z demonami. Czułam się swobodniejsza. W jakiś sposób wiedziałam, że w końcu wszystko będzie dobrze.

Dwóch duchownych wyszło godzinę później, ale Arthur Neil wiedział, że ich długa i misja związana ze mną - dopiero się rozpoczęła. I miał rację. Nawet jeśli po tym

pierwszym spotkaniu z człowiekiem Boga czułam się trochę lepiej, nie trwało to długo. Nastąpiła jedna z najgorszych nocy w moim życiu.

Wczesnym rankiem obudziłam się przepętniona strachem, jakiego jeszcze wcześniej nie doświadczyłam. Otaczało mnie zło. Słyszałam przerażające głosy, ale tym razem słyszałam też ich imiona. Wstrząsało mną od środka tak, jakby ktoś od wewnątrz ciął mnie nożem na kawałeczki.

Rzuciłam się do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu, tak jak mną szarpały demony i usłyszałam:

- Masz nie kontaktować się z Neilem. Zakazuję ci ja - Zwątpienie i Niewiara. Nie licz na to, że się mnie pozbędziesz!

Wtedy rozległo się mnóstwo głosów:

- Ani mnie, ani mnie... ani mnie...

To brzmiało jak pełen mocy śpiew chóralny, który stawał się coraz bardziej i bardziej intensywny. Byłam cała złana potem, ubranie miałam wilgotne, moim ciałem miały demony. Słyszałam inne głosy:

- Jestem Żądza, nieczysty duch. Nie pozbędziesz się mnie po tylu latach...Nie pozbędziesz się mnie!

- Jestem Kłamstwo, nie pozbędziesz się mnie!

- Ani mnie, Magii - odezwał się kolejny, pełen mocy demon.

- Jestem Duma, nie pozbędziesz się mnie nigdy.

- Ani mnie, ani mnie... ani mnie...

Demony mówiły jeden przez drugiego. Miałam wrażenie, że oszaleję. Wiedziałam, że jeśli te demony nie zostaną wygnane, to zwariuję.

Zastanawiałam się, gdzie był Jezus, gdzie było światło. Moje oczy nie mogły dostrzec nawet promyka światła. Miałam wrażenie, że zstąpiły na mnie wszystkie ciemności piekła. Kiedy w końcu wstałam, usłyszałam głos: „Zadzwoń po pastora z kościoła Baptystów. Powiedz mu, żeby nie przychodził do tego domu.”

Myślałam, że pastor Stanley zadzwoni dziś rano zapytać, jak się czuję. Zatelefonowałam tak jak nakazał mi głos. Odebrała żona pastora i powiedziała, że mąż już jest w drodze do mnie. Czekałam, paląc papierosa za papierosem. Irytujący niepokój nie pozwolił mi usiąść spokojnie. Około 11 usłyszałam pukanie do drzwi. Wiedziałam, że to pastor. Był uprzejmy jak zawsze. Opowiedziałam mu o imionach, jakie słyszałam.

- Nie trać równowagi, nie trać nadziei. - powiedział serdecznie. - Zaraz skontaktujemy się z pastorem Neilem.

Bałam się, chociaż tak naprawdę to nie ja się bałam. Czułam wyraźnie, że to demony w moim wnętrzu się boją. Pastor Stanley wyjaśnił mi, że Atrhur Neil nie mieszka w Bristolu i niestety dziś nie da rady przyjechać.

- Dam ci znać, kiedy będzie. W tym czasie staraj się nie martwić. Będę modlił się o ciebie.

Pastor Neil mógł przyjechać dopiero za kilka dni. Był bardzo zajęty. Służył Kościołowi Baptistycznemu w Burnhan-on-Sea. Te kilka dni oczekiwania były długie niczym lata. Odwiedzałam miejsca, w których zawsze bywałam - bary, kina, zgromadzenie czarownic.

Czułam, że to się dzieje wbrew mojej woli. Nie chciałam tam chodzić. Demony ciemności były we mnie i kontrolowały mnie. W tym czasie byłam w wielu miejscach kultu. Odwiedziłam nawet kościół spirytystów, ale uciekłam stamtąd.

Piłam i paliłam więcej niż kiedykolwiek. Czasem nie pamiętałam nawet tego, co robiłam i dokąd zawędrowałam. Czułam, że muszę chodzić ciemnymi ulicami - im ciemniejsza ulica, tym lepiej - nosząc tylko czarne ubrania.

W krótkich chwilach przytomności, kiedy widziałam sama siebie, płakałam w swoim sercu i tęskniłam za tym, by być czystą, wolną, by kochać Jezusa Chrystusa i służyć Mu – tylko Jemu.

Byłam rozdarta wewnątrz. Składałam się z dwóch osób: jedna to czarownica, prostytutka i ćpunka, a ta druga to ktoś, kto pragnął zupełnej zmiany, szczęścia i radości. Wiedziałam, że nie byłam chora ani szalona. Byłam zniewolona przez złe duchy i zmuszona do niemal całkowitego posłuszeństwa.

Pewnego piątkowego poranka otrzymałam wiadomość, że tego dnia wieczorem mogę się spotkać z pastorem Neilem. Powiedziano mi, że pani, którą poznałam na ewangelizacji w Colston Hall i jej mąż przyjadą po mnie i zawiozą do kościoła Baptistów przy Królewskiej.

Po tej wiadomości całe zło we mnie zadrzało. Całe moje ciało dosłownie się trzęsło. „Trzymaj się z dala od Neila, - rozkazywały demony. - On jest święty, za święty dla nas. Trzymaj się z dala. Nie idź do kościoła!" Setka głosów, jak młotki wewnątrz mnie, wybijała ten sam rytm i mówiła to samo.

Dzień zmagania i bezsilność upłynął - nastąpił wieczór. Gdy tylko ujrzałam pana Neila, poczułam, że był czystym, świętym człowiekiem bożym. Uśmiechnął się do

mnie i momentalnie uczucie skrępowania odeszło. Niestety, nie na długo. Odkryłam, że jednak nie potrafię spojrzeć mu w oczy. Zdawały się prześwieślać mnie całą, łącznie z moją duszą.

Czułam jego wyciszenie i moc, i to było najbardziej niepokojące. „Ten człowiek może mi powiedzieć więcej o mnie, niż ja sama.” - myślałam. On miał pełną świadomość zła. Zapytał mnie o imiona, jakie słyszałam. Robiłam, co mogłam, by przypomnieć sobie wszystkie. Kiedy mówiłam, miałam wrażenie, że brakuje mi myśli. Byłam powstrzymywana przez demony. Pan Neil rozumiał to doskonale.

Przemówił do nich ostro w innym języku. Nie pamiętam nic więcej, gdyż demony przejęły nade mną całkowitą kontrolę. Potem opowiedziano mi, że pod wpływem nakazów Neila ujawniło się sześć demonów, każdy wypowiadał się przez moje usta, zgodnie ze swoją indywidualną naturą. Kimś w rodzaju dowódcy był demon Wątpliwości i Niewiary. Był najbardziej wulgarny i agresywny.

Kiedy pan Neil wypędzał tego demona, dwóch innych chrześcijan musiało mnie przytrzymywać. Wskazując na niego palcem cytował za Ewangelią Łukasza 11,20 „Jeżeli natomiast Ja palcem Bożym wypędzam demony, zaiste przyszło już do ciebie, Doreen, Królestwo Boże.” W imieniu Jezusa, po angielsku i w tym obcym języku, jaki Bóg dał mu do tych celów, nakazywał demonom, by wyszły ze mnie i poszły do Gehenny (piekła).

To były straszne zmagania, które chyba najlepiej opisuje list do Efezjan 6,12. Zapasy to chyba najlepsze określenie. Demony nie chciały opuścić mojego ciała, a już z całą pewnością nie chciały iść do Gehenny. Ostatecznie jednak odeszły. Towarzyszył temu przeraźliwy skowyt i krzyk. Wychodząc, szarpały i szamotały mnie. Cały proces trwał ponad trzy godziny. Demony: Fałszu, nieczysty demon Żądzy, Kłamstwa, Dumy, Magii zostały wygnane do Gehenny.

Neil powiedział, że demon Magii był bardzo hałaśliwy i miał bardzo dziką naturę.

„Czy znasz czarownicę Endoru?” - prawie śpiewał w przedziwny, jakby zaczarowany sposób.

- Próbował mnie oczarować - opowiadał mi pan Neil - ale zakazałem mu w imieniu i mocy Jezusa Chrystusa, posyłając go do Gehenny.

„Nie, tylko nie tam! - jęczał demon Magii. - Potrzebuję jej ciała. Nie opuszczę jej! Nie do Gehenny!”

- Nie będziesz posiadał jej ciała, ani żadnego innego - powiedział pastor. - W imieniu Jezusa Chrystusa nakazuję ci opuścić ją i pozostać w Gehennie!

I tak się stało. Wył i krzyczał przeraźliwie, ale okazał posłuszeństwo. Padłam na podłogę bez sił, niemal bez życia. Kiedy się ocknęłam, nie miałam pojęcia, co się działo i jak długo to trwało. Wiedziałam tylko, że byłam wolna od demonów. Zostały wygnane na zawsze.

Modliłam się, dziękowałam Zbawicielowi, Jezusowi Chrystusowi za uwolnienie. Byłam też bardzo zmęczona. Miałam zdarte gardło, posiniaczone ręce i nogi. Ale sześć demonów było wygnanych. Pastor Neil pomodlił się za mnie i poszłam do domu.

Czułam się szczęśliwa i wolna. Tej nocy spałam jak dziecko, takiej nocy nie miałam już od wielu, wielu lat. Ale to nie koniec. W krótkim czasie ujawniły się we mnie jeszcze inne demony. Niektóre podawały swoje imiona, inne nie.

Byłam zdenerwowana. Myślałam, że już po wszystkim, że wszystkie demony zostały wygnane. Nie wiedziałam, co zrobić. Byłam strasznie zaniepokojona, ale pastor Neil wcale nie był zaskoczony. Wiedział, że wypędził ze mnie jedynie kilka demonów. To był naprawdę dobry początek. Dalsza droga przebiegała - jak w pierwszej bitwie - w ten sam sposób i w tym samym miejscu. Nie mogło to się stać od razu, nie w moim przypadku.

To jest bardzo głęboka i wyczerpująca służba. Smutno tak mówić, ale niestety odrzucana przez wierzących. Moje życie było dla demonów otwarte niczym drzwi. Proces uwalniania trwał długo. Nie dlatego, że Jezus nie mógł mnie uwolnić za jednym razem, oczywiście, że mógł. Ale on ma swoje cele i jego drogi nie są naszymi drogami.

Bez wątpienia miało to wszystko szczególne znaczenie. Duchowni i chrześcijanie musieli dostrzec rzeczywistość opętania przez demony. Wierzę, że pastor Neil musiał pokazać innym, jak wypędzać demony. I ja też musiałam nauczyć się wielu rzeczy. Prawdziwe dzieło rozpoczynało się w moim własnym sercu.

ROZDZIAŁ XVII

JEZUS JEST ZWYCIĘZCĄ

Czas! Ja miałam go za wiele, a pastor Neil za mało. Nie byłam zbyt zajęta. Stare powiedzenie, że diabeł zawsze znajdzie zajęcie dla beczynnych rąk, było prawdą. On z pewnością znajdował mnóstwo zajęć dla mnie. Sześć demonów było wygnanych. Niedługo potem zaczęły się ujawniać kolejne. Zdawałam sobie sprawę, że wiedzą, iż znajdują się w niebezpieczeństwie i tracą miejsce, którym

władwały przez wiele lat. W związku z tym były niemal nieustannie aktywne, jakby w obawie przed nieuchronnym końcem.

Wypędzanie pozostałych demonów trwało długo i było niezmiernie wyczerpującą misją pastora Neila. Był to proces, który musiał odbywać się z przerwami. To były niejako sesje. Pastor długo modlił się i pościł przed każdą z nich, gdyż zdawał sobie sprawę, że kontakt z mocami ciemności, jest rzeczywisty i poważny. Dlatego modlitwa i post odgrywały tak istotną rolę.

Kolejnym do wygnania był demon Tortury. Objawił się bardzo podobnie jak inne. I to były faktycznie tortury, gdyż dręczył mnie dzień i noc, niemal bezustannie. Doświadczyłam horrorów, jakie nigdy wcześniej i nigdy później mnie nie spotkały - obrzydliwe sny były, tak żywe, tak rzeczywiste tak straszne! Paskudne, włochate zwierzęta polowały na mnie i ściagały mnie aż do krańców ciemności. Bezdenne jaskinie, łapy chwytały mnie szponami, czułam je na swoim ciele, gardle... Ślady jego działalności były widoczne, kiedy się budziłam.

Dręczył mnie również w ciągu dnia. Byłam zmuszana do niekończących się wędrówek, które trwały godzinami, szukałam miejsca, gdzie mogłabym odetchnąć - i nic nie znajdowałam. Po wielu, wielu godzinach, sama nie wiem, gdzie spędzonych, wracałam do domu i wycieńczona padałam na łóżko, by śnić koszmarne lub jeszcze koszmarniejsze sny.

Czekało mnie kolejne spotkanie z pastorem Neilem. Następnym demonem miał być właśnie demon Tortury i Udręki. „Weź nóż i zabij Neila” - rozkazały mi. Posłusznie schowałam nóż do torebki. „Zabij, zabij, zabij!” - rozkazywały mi. Kiedy tylko weszłam do kościoła, demony zaczynały we mnie szaleć.

W ostatnim czasie nauczyłam się czegoś o demonach. Nie mogły zobaczyć Neila, dopóki ja go nie zobaczyłam. Mogły widzieć tylko przez moje oczy. Wiedziały, co miał zamiar zrobić pastor, jeśli znajdował się w zasięgu mojego wzroku. Fakt, iż musiały polegać na mnie dowodzi, że były w pewien sposób ograniczone.

„Zabij, zabij, zabij!” - Tortura krzyczał we mnie.

Nie pamiętam niczego więcej. Ocknęłam się dopiero, gdy demona już nie było. Pastor opowiedział mi później, że niosłam ogromny nóż z wyraźnym zamiarem oślepienia jego. Na szczęście zorientował się stosunkowo wcześniej i podszedł mnie z innej strony. Demon okazał się zaskakująco silny. Trudno było go opanować nawet siłą dziesięciu mężczyzn. Kiedy pastor Neil wypędzał demona, silni chrześcijanie mieli nie lada zadanie do wykonania, trzymając moje wijące się ciało.

Między pastorem i demonem doszło do długiej wymiany zdań. Nie chciał mnie opuścić, opierał się wciąż i wciąż. Po długiej bitwie, trwającej około godziny, Tortura został posłany do Gehenny, a towarzyszył temu jego paskudny skowyt.

- Jezus jest Zwycięzcą! Jezus jest Zwycięzcą! - z radością zawołał Neil.

Siedem demonów było wygnanych na zawsze. Mogłam w końcu zaznać trochę spokoju. Jednak co jakiś czas ujawniały się kolejne. Podawały swoje imiona, sfery działania. Również nad nimi Jezus odnosił zwycięstwo. Ich wypędzanie już nigdy nie trwało tak długo i nie było tak ciężkim zmaganiem. Nie ukrywały one nienawiści do Neila i do Gehenny.

Wiedziały, że jeśli zostaną tam wygnane, będzie to ich kres. „Nie przed czasem!” - błagały. Ale pastor był niewzruszony i wszystkie posyłał do Gehenny, gdzie już nikogo nie mogły torturować i nad nikim pastwić się.

Wielu z nich cytowało Pismo Święte, wielu podważało prawdy biblijne, niektóre posługiwały się nawet innymi językami. W tych zmaganiach niektóre wyjawiały, że były we mnie już od 15 lat, inne nawet dłużej. „Nie mam zamiaru pozbywać się jej ciała – oznajmił jeden z nieczystych duchów. - Jestem tu od lat i tak już zostanie!”

„Nagabywanie” był jeszcze jednym nieczystym duchem. Pastor wyjaśnił mi, że ten duch wstąpił we mnie, kiedy miałam 15 lat i stałam się prostytutką na ulicach Paddingtonu. Próbował nawet swoich umiejętności wobec samego Neila.

Po długiej wymianie słów, okropnie skowycząc, ostatecznie opuścił moje ciało. Znalazł się w Gehennie razem z Ciemnym Uwodzicielem, bardzo sprytnym demonem. On także próbował ze wszystkich sił zaimponować pastorowi, zainteresować go, uwieść jego myśli. Ale i on został wygnany w imieniu Jezusa Chrystusa.

Inne nieczyste duchy jak Kusiciel, Wyuzdanie, Homoseksualizm, Korupcja – także znalazły się ostatecznie w Gehennie. Duch homoseksualizmu zachowywał się bardzo pokazowo, jak powiedział mi pastor, nie ukrywając swojego zaskoczenia. Posługiwał się bardzo subtelnym, szlachetnym głosem (zupełnie niepodobnym do mojego własnego...).

W czasie tych spotkań pastor Neil powoływał się na Marię Magdalenę, z której wygnano siedem demonów. Na dźwięk jej imienia demony wstrząsnęły mną, krzyżąc - „Nie wspominaj jej! Nie chcemy słyszeć o tej kobiecie! Zdrajczyni! Zdrajczyni!”.

Pastor mówił też o Kalwarii, gdzie szatan i wszystkie demony zostały podbite przez Chrystusa. „Zamknij się! Przestań z tą Kalwarią! Byłem tam, byłem tam. Widziałem to! To były lata, długie lata nim wreszcie znalazłem tę tutaj. O tak...byłem tam. I nie chcę więcej o tym słyszeć. Nie mów o Kalwarii!” - jęczał demon. Jego protesty na nic się zdały - trafił do Gehenny przed swoim czasem.

- Jezus jest Zwycięzcą! Jezus jest Zwycięzcą!- wciąż powtarzał pastor Neil.

Po każdym spotkaniu, na którym demon był wygnany, modliłam się i dziękowałam Jezusowi Chrystusowi za to, co uczynił. Dziękowałam mu z całego serca za uwalnianie mnie.

Pastor często cytował słowa, których nigdy nie zapomnę, gdyż były dla mnie wspaniałym zachęceniem"- Jezus jest silniejszy od szatana i od grzechu. Szatan musi się przed nim ugiąć."

Pewnego dnia, zobaczyłam na własne oczy Zbawiciela, samego Jezusa Chrystusa, stojącego tuż za pastorem Neilem. Wyglądał cudownie, otoczony jasnością skąpany w niesamowitym blasku, który wypełnił cały pokój. Z jego twarzy biło serdeczne ciepło, a oczy lśniły głęboką miłością. Wiedziałam, że jestem Jego dzieckiem. Wiedziałam, że On mnie uwolni. Nigdy tego nie zapomnę, do końca moich dni tutaj. Pomyśleć tylko, że Jezus objawił się komuś takiemu jak ja! Nie może być nic cudowniejszego!

Potrzebowałam tej chwili, potrzebowałam widoku Jezusa, wojna jeszcze się nie skończyła, a koniec nie był wcale tak bliski... Ale wiedziałam, że tak długo, jak będę chciała, aby Jezus dokończył swego dzieła - On to uczyni.

Szatan, rzecz jasna, nie poddał się i nieustannie próbował powstrzymać Arthura Neila. „Wróć do magii - namawiał mnie Lucyfer. - Daj sobie spokój z tymi bzdurami."

Nie miałam zamiaru robić takich rzeczy. Demon magii został posłany do Gehenny a wraz z nim wszystkie siły magiczne, jakie były we mnie. Nie miałam już złych mocy i byłam z tego powodu szczęśliwa.

„Nie -odpowiadałam- nigdy nie wrócę do zgromadzenia." „... chyba, że - myślałam - pójdę tam i powiem im, że skończyłam z tym na dobre, że muszą sobie znaleźć kogoś innego do prowadzenia ich interesu."

Im więcej o tym myślałam, tym bardziej zdawało mi się to właściwe. Ostatecznie - poszłam. Okazałam się głupsza niż myślałam. W odpowiedzi zostałam paskudnie

pobita. Potem wciągnęli mnie półprzytomną do samochodu i wyrzucili w jakimś opustoszałym miejscu.

Byłam zakneblowana. Mieli pewność, że nie żyję, a nawet jeśli, są to już moje ostatnie chwile. Ale ktoś mnie znalazł i zaniósł do szpitala. Zostałam w nim przez jakieś cztery dni. To cud, że uratowano mi życie i plany Szatana zostały pokrzyżowane. Dłoń Jezusa czuwała nade mną, nawet kiedy zachowałam się tak głupio. A atak Szatana po raz kolejny został odparty.

Nauczyłam się tej lekcji. Nigdy nie zbliżę się już do zgromadzenia czarownic. Minęło około pięciu miesięcy. Wiele demonów było już wygnanych ze mnie, ale wciąż jeszcze nie byłam zupełnie od nich wolna. Ogarniało mnie zniechęcenie. Strach i wewnętrzne udręki były momentami nie do zniesienia. Kiedy będę zupełnie wolna? Pięć miesięcy to długi czas. Kiedy w końcu ostatni demon pójdzie sobie na dobre? Kiedy to się wszystko skończy?

Tak, zniechęcenie ogarniało mnie coraz bardziej. Kilku innych chrześcijan także straciło swój zapał. Mówili, że ta służba nie daje efektu. Pastor Neil miał podobne odczucia, ale wbrew wszystkim przeciwnościom, nie przestał działać. Jestem mu ogromnie wdzięczna, że się nie poddał, inaczej, jestem pewna, nie byłoby mnie dzisiaj wśród żywych. I nigdy nie napisałabym tej książki.

W tym okresie mojego zniechęcenia, pomiędzy spotkaniami z pastorem, Szatan zobaczył swoją ostatnią szansę, by skończyć ze mną już na dobre. Tego szczególnego wieczoru byłam w paskudnym nastroju. Demony we mnie były silne i pobudzone, kpily ze mnie, szydziły, rzucały złośliwe uwagi w okropny sposób. Zaczęłam się rozglądać za dealerem narkotyków, ale nie powiodło mi się. Tak, wciąż ćpałam. Nikt o tym nie wiedział, nawet pastor Neil, chociaż był świadomy, że coś jednak biorę. Nie wiedział jedynie, że to wciąż byłam na twardych narkotykach, głównie na heroinie.

Zabrano mnie do szpitala psychiatrycznego. Płakałam i zawodziłam, byłam zamoczona, częściowo z powodu głodu. Przez tydzień utrzymywano mnie we śnie. Terapia snem - tak to nazywano. Starłam się wyjaśnić, że coś innego było we mnie nie w porządku, ale nikt mnie nie słuchał. Myśleli, że byłam po prostu chora. Rzeczywiście byłam, ale co powodowało tę chorobę? Z pewnością nie tylko heroina.

- Demony?! Proszę się nie wygłupiać - powiedział lekarz. - Nie ma takich rzeczy, jak demony. To wszystko dzieje się w twoim umyśle. Potrzebujesz kuracji i będzie z tobą lepiej.

Tak więc znów mnie uspiono na około dziesięć dni. Kiedy już się obudziłam, zastanawiałam się, czy to wszystko nie było snem. A potem naszły mnie takie myśli, że nie warto mówić opiekunom o Jezusie. Zostałabym pewnie zdiagnozowana jako cierpiąca na religiomanię.

Pobyt tam zaowocował jednak jedną ogromną korzyścią - byłam wolna od heroiny. Terapia snem pozwoliła przetrwać głód. Za to teraz lekarze przepisywali mi tabletki, tabletki i jeszcze raz tabletki. Myślałam, że to strasznie głupie z ich strony, ale nic nie mogłam działać. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co mówiłam.

„Widzisz - mówił Szatan - ty jesteś szalona. Nigdy stąd się nie wydostaniesz. A nawet jeśli, to będziesz jeszcze bardziej szalona.”

Zaczynałam wierzyć, że to prawda.

„Ha, ha! - śmiał się. - Teraz cię mam!”

Chorzy psychicznie zachowywali się podobnie, ja jednak do nich nie pasowałam. Wiedziałam, że nie byłam chora umysłowo i mówiłam o tym lekarzom. Nikt nie wierzył, że opętanie przez demony jest czymś rzeczywistym. Zupełnie nikt. Wciąż mi to powtarzano, że nie było takiej osoby jak diabeł, nie istniały demony.

Co teraz? Czy miałam tam zostać, zamknięta w szpitalu dla chorych umysłowo? Ogarniała mnie jakaś ciemność.

„Gdzie jest teraz twój Jezus?” - szydził szatan.

„Właśnie - zastanawiałam się - gdzie jest mój Jezus? Co ze mnie zostanie?” Kolejnym etapem była terapia elektrowstrząsowa, potocznie zwana E.C.T lub terapią wstrząsową. Wiedziałam, że to zda się na nic. Demony nie mogą zostać „wytrzęsione” ze mnie.

Rozmawiając z pielęgniarką któregoś dnia, powiedziałam: - Och siostrzo, czy siostra wie, że za nim tu się znalazłam byłam prostytutką, narkomanką i czarownicą? A kiedyś wieczorem poszłam na pewne spotkanie, usłyszałam o kimś, kogo nazywano Jezus i o tym jak On po mimo wszystko mnie kocha. Oddałam mu swoje serce tamtego wieczoru. Co siostra o tym myśli?

- Jesteś bardzo chora kochanie - odpowiedziała. - Nie ma kogoś takiego jak Jezus. To tylko jakiś nonsens.

- Dziwne... jeśli prostytutka, ćpunka i tak dalej, chce żyć innym, zmienionym życiem i staje się chrześcijanką, to mówi się, ... że to tylko jakiś nonsens... Co w takim razie jest właściwe?

Pielęgniarka nie odezwała się. Odeszła. Wróciła do mnie później i powiedziała:

- Wiesz, ty masz rację. Jesteś inna od tych tutaj.

Po jakimś czasie, pozostali także zaczęli zauważać tę moją „inność”. Obserwowano mnie bardzo dokładnie. Wszystkie pigułki, jakie kazano mi, łykać, bardzo mnie martwiły. Tak jak myślałam, powoli stawałam się od nich uzależniona. Nie mogłam spać w nocy. Przepisano mi tabletki na sen. łykałam trzy każdego wieczoru i jeśli do północy nie zasnęłam - dawano mi kolejną. Przez cztery dni łykałam dawkę, która mogłaby zabić niejednego - i wciąż nie spałam. Czułam tylko miłe ukojenie - nic więcej.

Udawało mi się spać jedynie przez trzy godziny w ciągu nocy. W krótkim czasie stałam się osobą, która zawsze pierwsza staje w kolejce po tabletki - szczególnie te nasenne. Tak, byłam kompletnie uzależniona od tabletek. Pewnego dnia zapytałam, na co to wszystko? Po co te tabletki?

- Cóż, jedna tabletki ma cię wyciszyć, a druga - pobudzić.

- To idiotyczne - powiedziałam - Niech pan sam pomyśli! Czego pan chce?

Niestety, niczego nie wskórałam,. Wiedziałam, co było ze mną nie tak. Pozostałe demony powinny być ze mnie wypędzone - to wszystko. Dokładnie! Nikt mnie nie słuchał. Moje mówienie było stratą czasu. Religiomania: już zostałam sklasyfikowana i tyle. Przez moment chciałam nawet w to uwierzyć. Byłam zmęczona.

Prześwietlono mi głowę, kiedy narzekałam na bóle. Lekarze odkryli wiele poważnych uszkodzeń w mózgu na skutek zażywania narkotyków. To był cios. Czy umrę? Szatan używał sobie na mnie i moich obawach. To wszystko spadało na mnie, jedno po drugim i tylko dlatego, że chciałam być chrześcijanką. Dlaczego?

Czy było warto? „Jezus jest zwycięzcą?! - kpił szatan - Gdzie teraz jest ten twój zwycięski Jezus?”

I wtedy, kiedy tego najbardziej potrzebowałam, to cudne solo rozległo się w moich uszach i mojej duszy: *Jezusowi zależy, Jezus się troszczy, On może zabrać grzech i ciemność, w jakich tkwisz.*

Jedna rzecz była dla mnie zupełnie jasna: tylko Jezus był odpowiedzią. Lekarze nie mogli nic dla mnie zrobić. Wspominałam ten wspaniały wieczór, kiedy zobaczyłam Jezusa. Czy to była tylko wyobraźnia? Oczywiście, że nie. Jezus był rzeczywistością. Jemu naprawdę na mnie zależało!

„Muszę ufać! Muszę ufać!” - wciąż powtarzałam.

Uchwyciłam się obietnicy, że Jezus mnie widzi i przeprowadzi mnie przez ciemności do wspaniałego światła. Musiałam się tego trzymać - inaczej faktycznie bym oszalała. Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, dostałam przepustkę na sobotę i niedzielę. Radość moja nie miała granic - mogłam wyrwać się z tej dołującej atmosfery.

Właśnie w tych dniach, pastor Neil miał wygłosić kazanie w Bristolu. Bóg stał po mojej stronie - wiedziałam o tym. Poszłam do kościoła zobaczyć się z pastorem.

- Proszę mi pomóc, panie Neil - błagałam. - Pan musi wypędzić ze mnie resztę tych demonów. Dzisiaj, koniecznie dzisiaj!

Znów zgodził się służyć mi swoją pomocą. Kilku chrześcijan zostało tego wieczoru po nabożeństwie, by wspierać pastora swoimi modlitwami. Teraz albo nigdy. Ciemność albo światło. Szatan albo Jezus. Szaleństwo albo szczęście.

Było już dobrze po północy, kiedy usłyszałam głos pastora. Ostatni demon opuścił moje ciało z głośnym, przeszywającym krzykiem. To była bardzo długa i ciężka bitwa z mocami ciemności.

Szesnaście nieczystych demonów zostało wygnanych. Ostatni demon nazywał się ... Obłąkanie. Jak działał? Niszczył umysł.

„Jezus jest zwycięzcą!” - wołał radośnie pastor.

Cóż to była za noc pełna radości! Byłam wolna. Jezus tego dokonał. Jego wszechmocna siła dokonała tego w niesamowity sposób - jeden po drugim zwyciężał demony. Twarz pastora Neila jaśniała chwałą Bożą, moja twarz... także! Kościół wypełniało wielkie, wspaniałe uwielbienie Boga. Czegoś tak pięknego jeszcze nie słyszałam. To była prawdziwie niezapomniana noc.

Było to siedem miesięcy po moim pierwszym spotkaniu z pastorem Arthurem Neilem. Warto było czekać tak długo. On o tym wiedział, wiedziałam i ja - dotarliśmy do mety. Jezus uwolnił mnie całkowicie. Opuściłam kościół, jako wolna kobieta, z modlitwą na ustach.

Później, w szpitalu, ponownie prześwietlono mi głowę. Nie znaleziono ani śladu jakichkolwiek uszkodzeń w mózgu. Wynik był idealny. Lekarze nie dawali wiary. „To jakiś cud.” I mieli rację - to był cud uzdrowienia dokonany przez mojego cudownego Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

Czy Jezus to tylko jakiś nonsens? Czy diabeł to tylko mit? Czy demony to tylko fantastyczne opowiadanie przekazywane z pokolenia na pokolenie? Nie, po tysiącokroć nie!

Opętanie przez demony jest rzeczywistością, której nie wolno lekceważyć. Nie zdajemy sobie sprawy, jak szybko w naszych czasach pomnażają swoje wpływy.

Ale Jezus, który jest silniejszy niż Szatan i grzech, który zwyciężył wszystkie demony i szatana na Górze Kalwarii, jest dzisiaj żywy i niezmiennie czyni cuda na ziemi. Wciąż wypędza demony. Wciąż uzdrawia chore ciała i umysły. Tak, Jezus jest rzeczywisty. On naprawdę troszczy się i naprawdę Mu na nas zależy. Jezus jest cudowny i jest ZWYCIĘZCĄ!

ROZDZIAŁ XVIII

POKÓJ W BETANII

Po tym błogosławionym uwolnieniu w lutym 1965 roku nie widziałam się z pastorem Neilem przez jakieś dwa lata. Rodzina Hutchings'ow przeprowadziła się do Broxham, gdzie mieszkają do dziś.

Wróciłam do szpitala na jeszcze dwa tygodnie. Personel był początkowo ogromnie zaskoczony, widząc, że przepustce jestem w tak dobrej formie. Nie miałam pojęcia, co może być przyczyną aż takiego ich zdziwienia. Nie byłam też pewna, czy powinnam im opowiedzieć o wydarzeniach niedzielnej nocy. Zdecydowałam, że na razie zachowam to dla siebie.

Wraz z upływem kolejnych dni ich zaskoczenie przechodziło w totalne zdumienie z powodu zmian, jakie we mnie zaszły. Nie mogli zakwestionować, że coś się jednak wydarzyło. Dowody na to były przecież oczywiste dla wszystkich, ale nikt nie potrafił zrozumieć, co się stało.

- Wyglądasz inaczej - mówili - młodziej, bardziej świeżo, jest w tobie więcej życia i energii.

Po takiej nocy cudownego uwolnienia miałam nadzieję, że zostanę wypuszczona ze szpitala od razu, z dnia na dzień. Czułam, że przygnębiająca atmosfera szpitala wcale mi nie pomaga. I miałam rację. Nie wiedziałam jednak, że jestem tu dobrowolnie i wcale nie muszę wracać, jeśli nie chcę.

Bóg działa w tajemniczy sposób. Jego plan wypełnia się niezależnie od naszej świadomości, czemu towarzyszy naprawdę wiele niezwykłych, niewytłumaczalnych rzeczy.

Być może Zbawiciel miał jakiś cel w moim powrocie do szpitala. Kto wie?! Nie poddawano mnie już więcej terapii wstrząsowej. Nie było takiej potrzeby. Byłam przecież najszczęśliwszą osobą na całym oddziale, daleko bardziej szczęśliwą niż te biedne, przepracowane pielęgniarki.

Jeśli czułam, że ogarnia mnie smutek lub samotność, zwracałam się ku innym, by stać się częścią mojego otoczenia. Próbowałam napętnić otuchą, tych, którzy pogrążeni byli w depresji i zagubieniu. Rozmawiałam ze starszymi i samotnymi, czesałam im włosy i robiłam dla nich drobne rzeczy, którymi sami nie byli w stanie się zająć, jednym słowem – starałam się być pożyteczna i pomocna na tym bardzo przepełnionym i bardzo hałaśliwym oddziale.

To wszystko przypomniało mi w pewien sposób dni spędzone w więzieniu. Historia chyba faktycznie lubi się czasem powtarzać... Zarówno siostry, pielęgniarki, jak i psychiatrzy byli całkowicie zdumieni moją metamorfozą.

Pozostał jeszcze jeden poważny problem do rozwiązania - lekarstwa. Bez wątplenia byłam od nich uzależniona. Gdyby psychiatrzy w pełni zdawali sobie sprawę z tego, jak ogromne znaczenie miały w moim życiu narkotyki, nigdy nie przepisywaliby mi tak wielu tabletek.

Teraz był to problem także dla nich. Trochę za późno, ale ostatecznie wzięli na siebie odpowiedzialność za popełniony błąd. Przed zwolnieniem poradzono mi, żebym stopniowo rezygnowała z części tabletek. Obiecałam to robić, bo naprawdę bardzo chciałam być wolna od wszelkich uzależnień. Ale - jak się wkrótce przekonałam - łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Po wyjściu ze szpitala wciąż potrzebowałam dużo wsparcia: fizycznego, psychicznego i duchowego. Niedługo zaczęłam się cofać - nie tak drastycznie, jak wcześniej, ale powoli zaczęłam zbaczać z właściwej drogi.

Wciąż przecież byłam na początku mojej drogi za Chrystusem. Każdy chrześcijanin doświadcza różnego rodzaju pokus od czasu do czasu. Teraz ja się z nimi zmagalam i szatan wiedział, że w moim przypadku było to o wiele intensywniejsze.

Wydawało się, że znów panuje nade mną jakaś ciemność. Zamiast zażywać mniej tabletek - brałam więcej niż na początku. Czegoś brakowało w moim życiu. Potrzebowałam prawdziwej miłości i zrozumienia. Zdawało mi się, że jestem na nieznanym skrzyżowaniu i nie wiem, w którą stronę iść. Często czułam, że chrześcijanie unikają mnie i obawiają się ze mną rozmawiać. Być może moja przeszłość była zbyt świeża, by w pełni mnie zaakceptowali.

Gdyby wiedzieli o moim niedawnym zaangażowaniu w magię, byłoby jeszcze gorzej. Nastawienie chrześcijan, pokusy oraz fakt, że byłam „niemowlęciem” w Chrystusie sprawiały, że było mi bardzo ciężko. Przecież dopiero zaczynałam chodzić i mówić. Zamiast być bezgranicznie szczęśliwą znów byłam zmieszana i pełna obaw.

Niektórzy z moich przyjaciół dostrzegli, że potrzebuję dojść do siebie, nabrać sił z dala otoczenia, w którym tkwiłam od lat, z dala od dużego miasta i jego „atrakcji”. Padały sugestie, że powinnam wyjechać gdzieś na wieś, odpocząć, wzmocnić się duchowo, a przede wszystkim odbudować swoją psychikę.

Szczerze mówiąc, nie miałam ochoty jechać gdzieś w nieznaną i zamieszkać u jakichś obcych. U ludzi, którzy nic o mnie nie wiedzieli. „O nie, serdecznie dziękuję!” Ale przecież mogłabym zranić tych, którzy tak bardzo próbowali mi pomóc. Tak więc, mimo wszystkich wątpliwości i obaw, zgodziłam się, by moi przyjaciele zawieźli mnie na wieś swoim samochodem. „Jeśli mi się nie spodoba - próbowałam jakoś przemówić sobie do rozsądku - zawsze mogę wrócić do domu.”

W końcu przybyłam do wioski Gamlingay w Bedfordshire. Przyjęto mnie naprawdę ciepło, ale ja wciąż miałam dystans do tego wyjazdu. Nie chodziło o to, że byłam niewdzięczna, bałam się jedynie nieznanego, które na mnie czekało.

Uprzejmie uścisnęłam dłoń gospodarzom - pani i panu Parker. Później dowiedziałam się, że już od pierwszej chwili pan Parker miał wrażenie, iż jestem kimś bardzo samotnym. Dostrzegł, jak bardzo byłam zaabsorbowana własnymi myślami i jaka gorycz oraz żal wypełniały moje serce. Na mojej twarzy malował się jeden wielki smutek. Oczy - jak opowiadał - pełne były bólu i ran, które wciąż przynosiły mi cierpienie. Nic nie było w stanie ukryć mojego nieszczęśliwego życia i ogromnych potrzeb.

Wiele lat minęło, odkąd pan Parker oddał swoje życie Chrystusowi. Ten czas nauczył go wrażliwości na cierpienia wielu samotnych i nieszczęśliwych ludzi na świecie. Wiedział, że ktoś sponiewierany duchowo w tak oczywisty sposób jak ja, może odpowiedzieć jedynie na miłość i zrozumienie. Tylko prawdziwa miłość mogła się przebić do mojego wnętrza i pomóc mi.

Chociaż z natury był bardzo rozmowną osobą i pastorem małego wiejskiego kościoła, nigdy nie prawił mi żadnych kazań. Wiedział, że musi być przede wszystkim dobrym słuchaczem.

Gdybym znała myśli pana Parkera, ten pierwszy wieczór w jego towarzystwie, mógłby być nieco inny. Czułam się nieswojo, myślałam, że w każdej chwili on lub jego żona zaczną prawić mi jakieś morały albo cytować teksty biblijne. Tak szybko, jak tylko to było możliwe, zapytałam, czy mogę wyjść z Paddy, psem rodziny, na krótki spacer, by zwiedzić wieś.

Znalazłszy się na dworze, od razu zapaliłam papierosa. Kiedy tak spacerowałam wokół małej wioski, moje serce popadało w coraz większe odrętwienie. Owa wieś

zdawała się być przeraźliwie nudnym miejscem. Sama siebie pytałam, dlaczego byłam taka głupia? Dlaczego pozwoliłam się przywieźć do tej bezgranicznej nudy? Nie było tu nawet jednej kawiarni ani żadnego miejsca, w którym można by ot tak, usiąść sobie, wypić filiżankę kawy czy herbaty i posiedzieć w spokoju, z dala od oczu wszystkich. Zdecydowałam, że zostanę tylko przez kilka dni, a potem znajdę jakąś wymówkę, żeby wrócić do miasta.

Kolejne dni spędzałam zabierając Paddy'ego na długie spacerunki. Staliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Zwykłam opowiadać Paddy'emu o wszystkich moich obawach, a on patrzył na mnie nieco smutno swoimi wielkimi brązowymi oczami, tak jakby rozumiał każde moje słowo. Nigdy wcześniej chodził tak często na spacerunki i pewnie zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodzi. Powróciły do mnie wspomnienia z dzieciństwa, gdy ze wszystkiego zwierzałam się Bessie, staremu, czarnemu labradorowi.

Pierwszy tydzień dobiegał końca. Zaczęłam zmieniać swoje zdanie o rodzinie Parkerów. Nikt mnie tu nie umoralniał i nie próbował przekonywać do wspaniałych planów dotyczących mojej przyszłości. Oczekiwałam tego, ale bezskutecznie. W rzeczywistości pastor i jego żona nie robili niczego poza traktowaniem mnie jak normalnej, równej im osoby. Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, wyraźnie odczułam, że akceptują mnie jako członka rodziny. Bez stawiania pytań, bez jakiegokolwiek presji. Mieli dwoje nastoletnich dzieci: córkę i syna, i nawet one traktowały mnie jak kogoś swojego.

To miłość spajała ich wszystkich, nie zasady czy religia, ponieważ oni wszyscy kochali Jezusa. Więzy między nimi były czymś naturalnym i prostym, a dla mnie – niesamowicie odnawiającym. Po raz pierwszy w życiu znalazłam się w kochającej się rodzinie, w której nie było nieszczęścia czy jakiejś ohydy. Niespodziewanie dla mnie samej zaczęłam się cieszyć moim pobytem u nich.

Mimo tego wspaniałego otoczenia, wróciła depresja. Doskonale znane obawy i wątpliwości wypełniły mój umysł. Noc w noc dręczyła mnie bezsenność. Tabletki na sen nie pomagały. Wciąż powracały straszne koszmary. Za dnia byłam półprzytomna i wszystko robiłam w zwolnionym tempie. Chociaż pan Parker widział, co się działo i był w pełni świadomy, że paliłam papierosy, nie zwrócił mi żadnej uwagi. Zamiast tego, spędzał jeszcze więcej czasu modląc się o mnie.

Czekał na Boży czas, na moment, gdy pękną bariery wokół mnie. Uważnie obserwował, jak w odpowiedzi na okazywaną mi miłość powoli, ale zdecydowanie, nieufność i dystans zaczynają słabnąć. Moje oczy i serce otwierały się na ich szczerą, pełną zaangażowania troskę.

To był wspaniały krok do przodu. Pokochałam ich całym sercem. Zdobyli całe moje zaufanie. Zapytałam, czy mogę nazywać ich mamą i tatą.

- Oczywiście, że możesz kochanie - odpowiedzieli i przytuli mnie do siebie serdecznie, nie ukrywając też wzruszenia.

Jakże byli mądrzy i cierpliwi. Bez cienia pośpiechu, zajmowali się moimi głębszymi, duchowymi potrzebami. Zupełnie jak Chrystus, trwając w nieustannej modlitwie, cierpliwie czekali na odpowiedź.

Odkąd mówiłam im mamó i tato, staliśmy się sobie bliżsi. Zaczęłam się powoli otwierać i opowiadać nieco o sobie. Nigdy nie wywierali na mnie żadnego nacisku. Wiedziałam, że mogę im ufać, że wszystko, co powiem, potraktują jak tajemnicę, jak dowód mojego zaufania.

Wraz z upływem czasu, krok po kroku, powoli, dzięki modlitwie, zaczęłam sobie radzić z tą depresyjną ciemnością i nękającymi mnie strachami. Mama i tato pomagali mi w z tym, a ja wzrastałam dzięki ich miłości i pełnemu cierpliwości zrozumieniu.

To właściwie był dopiero początek długich miesięcy i służby związanej ze mną, służby pełnej też i modlitwy. Często musieli zostawać w nocy przy moim łóżku, nie chcąc zostawiać mnie samej. Szatan szturmował moją duszę. Ale zwycięstwo należało do Pana. Jezus powoli ale, w cudowny sposób, doprowadzał mnie do prawdziwej wolności. Zaczęłam żyć w pełni chrześcijańskim życiem. Jezus znów był zwycięzcą.

Kiedy ostatecznie doszłam do siebie, zdarzyło się, że ponownie zobaczyłam Jezusa. Tak, rzeczywiście Go widziałam! Tym razem wyciągał dłonie w moim kierunku, patrzył wzrokiem pełnym miłości. Objął mnie swoim ramieniem i szepnął: „Jesteś moja.” Wiedziałam bez cienia wątpliwości, że to był On. On nigdy nie pozwoliłby mi odejść. On będzie przeprowadzał mnie przez wszystkie przeszkody i wszelką ciemność, aż do chwili, kiedy spotkam się z Nim twarzą w twarz w wieczności.

Wioska i okolica, które na początku zdawały się być tak nudne i bez życia, teraz były mi bardzo bliskie i drogie. Nazwałam to miejsce Betania. Przypominało mi to małe miasteczko tuż przed Jerozolimą, gdzie Jezus często odwiedzał Martę, Marię i ich brata Łazarza. Betania: miejsce odpoczynku, miejsce pokoju i wytchnienia. To określenie jak najbardziej pasowało do tego małego gościnnego domku na wsi.

Jak widzicie, zaczęłam także czytać moją Biblię. To, co wcześniej było niezrozumiałe, teraz stawało się jasne i oczywiste, nabierało pełnego znaczenia. Mogłam siedzieć godzinami i czytać historie o Jezusie, który uzdrawiał chorych na

ciele i umyśle, i czynił wszystko swoim doskonałym dotknięciem. Dziś On postępuje dokładnie tak samo. Czyż nie dotknął mojego życia? Czyż nie uczynił ze mnie zupełnie nowej istoty? To nie fantazja! Słowo Boga żyje!

Śpiewnik Złote Dzwony, który dawno temu dostałam w szkole niedzielnej, miałam go ze sobą nawet w więzieniu, wciąż należał do moich najcenniejszych skarbów. Mogłam bez końca siedzieć i czytać, czasem śpiewać te pieśni, jakich uczyłam się wiele lat temu, zniewolona ich pięknymi słowami. Teraz były dla mnie proste i jasne.

*Opowiedz mi o Jezusie,
Wypisz w moim sercu każde słowo.*

O tak! To miało dla mnie ogromne znaczenie! Jak bardzo kochałam te pieśni! Patrzyłam w przeszłość i docierało do mnie, że Jezus wciąż był przy mnie. Przez te wszystkie długie lata najgłębszego wstydu, spoglądał na mnie swoim serdecznym, pełnym współczucia wzrokiem. Widział mnie na ulicach, jako prostytutkę. Widział mnie w pełnych zła świątyniach szatana i w zgromadzeniach czarownic. Kochał mnie nawet wtedy, kiedy popełniałam grzechy świadczące o najgorszym upadku. Aż pewnego dnia dotarło do mnie Jego wezwanie, pozwoliłam wyrwać się z tego wszystkiego, czym i jak żyłam.

Czyż nie jest to cud?! Wspaniały cud?! Wypełniała mnie wielka skrucha i zdumienie, że On jednak mnie tak bardzo kocha. Bezgraniczna miłość Zbawcy zdumiewa mnie na nowo każdego dnia.

W Betanii Jezus stawał mi się coraz bliższy. Usuwał pokłady goryczy z mojego serca. Oczyszczał mnie z ran i bólu, jakiego doświadczałam przez lata. Wszystko to czynił przez miłość, którą dostałam w tym małym wiejskim domu. Czynił mnie naprawdę nowym stworzeniem.

Wszystko było nowe. Wszystko. To było dokładnie tak, jakbym urodziła się na nowo w ciele i na duchu. Cały świat jawił mi się pięknym. Kochałam wszystkich i wszystko na tym pięknym Bożym świecie - od parszywego kota na kupie śmieci do dmuchawca torującego sobie drogę w skalnym gruzowisku. Tak, nawet takie rzeczy miały dla mnie swój szczególny urok.

Kiedy szłam przez zielone pola i łąki do niewielkiego lasu, moje serce śpiewało. Tańczyłam z radości, że mogę to wszystko oglądać. Wszystko dzięki temu, co uczynił dla mnie Jezus, co mi pokazywał i miał pokazać w przyszłości.

Po raz pierwszy w życiu dostrzegałam maleńkie kwiatki na ziemi i żdźbła traw. Zauważałam kolory. Niebo wyglądało tak, jakby ktoś wziął mydło, wodę i

wyszorował je do czystego błękitu. Dawniej wydawało mi się, że niebo zawsze jest szare. Ten ktoś musiał też wymalować drzewa i trawę na zielono, i cały świat tak pięknie ubarwić.

Moje oczy otwierały się na to piękno, które dotychczas mijałam obojętnie, nie zdając sobie sprawy z jego istnienia. Teraz patrzyłam na świat innymi oczami.

*Niebo nade mną jest bardziej miękkie swoim błękitem
Ziemia wokół słodsza zielenią
Każda barwa zdaje się tętnić życiem
Oczy bez Chrystusa dostrzec tego nie mogą.*

Wtedy nie znałam tej pięknej pieśni, ale ona wyraża dokładnie to, czego wówczas doświadczałam. Żadne słowa nie były w stanie oddać ogromnej radości, jaka mnie przepełniała. Żadne słowa nie są w stanie wyrazić jak cenny i drogi stał mi się Jezus, jak wspaniałą była Jego obecność.

Pewnego dnia, kiedy odpoczywałam w Betanii, poczułam szczególną obecność Jezusa, wspanialszą niż kiedykolwiek dotąd. Zdawało mi się, że On jest coraz bliżej i bliżej. I wówczas usłyszałam głos Zbawiciela, szepczącego prosto do mojego ucha: „Jesteś czystą dziewicą w moich oczach. Jesteś dziś moją Marią Magdaleną.”

Tato przypadkowo przechodził w pobliżu, kiedy to się działo i widział wyraz mojej twarzy. Nie miał wątpliwości, że Jezus był bardzo, bardzo blisko. Ja natomiast nie miałam pojęcia, że tato znajdował się niedaleko. Przecież Jezus był obok mnie! Mówił do mnie! Na tych kilka chwil świat przestał istnieć. Liczyła się tylko obecność Zbawiciela i Jego słowa.

Tato opowiedział mi później, że nigdy nie widział czegoś podobnego. Moje oblicze promieniowało. Nic dziwnego, skoro Chrystus był tak blisko.

- Kim jest Maria Magdalena? - spytałam go.

Ze łzami w oczach przeczytał mi z Biblii historię, w której Jezus wygnał siedem duchów z Marii Magdaleny, dziewczyny z ulicy, prostytutki i swoją obecnością zupełnie zmienił ją i całe jej życie. Płakałam. Och, jak bardzo Maria musiała Go kochać! Przebaczył jej tak wiele.

Uwolnił ją. Teraz On przemówił do mnie i powiedział, że jestem dzisiejszą Marią Magdaleną.

To było wspaniałe, tak bardzo wspaniałe! Byłam jak ona, dziewczyną z ulicy, opętaną wieloma nieczystymi duchami i Jezus mnie uwolnił. Zbawiciel stawał się dla mnie cenniejszy z każdym dniem, a nawet z każdą godziną.

„Czysta dziewica w moich oczach." To powiedział Jezus. Wciąż ocierając łzy, tato otworzył drugi List do Koryntian rozdział 11, werset 2, w którym Paweł mówi do wiernych: „Zabiegam, bowiem o was z gorliwością Bożą, aby stawić was przed Chrystusem, jako dziewicę czystą." O kościele w Koryncie napisano, że powrócił na złą drogę i odszedł od Boga. Paweł bolał nad tym, ponieważ zależało mu na czystości Bożych dzieci, na tym, by były bez skazy.

Radość moja nie miała granic, kiedy rozmyślałam o tym, że Jezus przemówił do mnie, byłej prostytutki, czarnej wiedźmy, striptizerki i powiedział, że jestem czystą dziewicą w Jego oczach. Innymi słowy, byłam teraz czysta, obmyta krwią Jezusa. Kochałam Go jeszcze bardziej. Czy ktokolwiek mógłby zapomnieć takie słowa?

Czy ja mogłabym je zapomnieć? Słowa, które padły bezpośrednio z ust samego Zbawiciela. Jezus nieustannie mnie błogosławił. Każdego dnia na nowo. Przepęłniała mnie obecność Ducha Świętego, śpiewałam i oddawałam chwałę mojemu Bogu, służyłam mu. Był teraz Panem całego mojego życia.

Nietrudno sobie wyobrazić, z jakim zdumieniem i radością przeczytałam historię o Samarytance, której Jezus zaoferował wodę życia. Początkowo wydawało mi się niemożliwe, że takie proste, prawdziwe historie są w Biblii. Każdego dnia odkrywałam realność żyjącego Zbawiciela.

Przebywałam w Betanii przez kilka miesięcy. Jezus uczył mnie, przygotowywał do służby, jaką dla mnie zaplanował, utwierdzając wciąż na nowo, że byłam dzieckiem Króla, prawdziwego i jedyne Boga. Niewola Szatana należała do zamkniętej przeszłości.

Nie, nigdy nie zapomnę Betanii, bo to właśnie tam zwyciężyła mnie miłość, wypełnił pokój i radość.

Pewnego wieczoru zapłonął wielki ogień. Spłonęły w nim wszystkie moje czarne ubrania, papierosy, narkotyki i wiele innych drobiazgów, związanych z przeszłością. Przeżywaliśmy chwile radości, biegając wokół ogromnego ognia, dziękując Jezusowi i wielbiąc Go za wszystko, co dla mnie uczynił. Może niektórym wydawało się to nieco osobliwe, ale dla nas miało istotne znaczenie.

Jestem pewna, że szatan drżał, ale aniołowie radowali się z nami. To była otwarta manifestacja i świadectwo dla wszystkich, że Jezus Chrystus, mój Zbawiciel, działał w cudowny sposób. Uwolnił mnie od strachu i cieni, a napełnił jasnością swojej obecności i miłości. Tak, będąc w Betanii, znalazłam radość, miłość i pokój w Chrystusie.

ROZDZIAŁ IXX

SZORSTKI DIAMENT

„Trofeum łaski”, „Szorstki Diament” - tak mówili o mnie chrześcijanie. Opuściłam schronienie w Betanii i wróciłam do Bristolu. Zaczęłam nowe życie.

W Ewangelii Marka 16,15 czytamy: „Idźcie teraz na cały świat i głosście Ewangelię całemu stworzeniu.” To słowo „idźcie” odnosiło się także do mnie, wiedziałam o tym. Pan Jezus powołał mnie i chciał, żebym pracowała dla Niego. Teraz więc zaczynała się moja służba. Nie było łatwo. Nie ukończyłam przecież żadnej szkoły biblijnej, ale moje życie było wstrząsającym świadectwem Bożego działania, dowodem na to, co Bóg jest w stanie uczynić w życiu człowieka. Chciałam mówić o tym każdej napotkanej istocie. W moim sercu było też ogromne współczucie, szczególnie dla zagubionych prostytutek i narkomanów. Bardzo pragnęłam, żeby i oni zechcieli poznać Chrystusa oraz Jego zbawczą łaskę.

„Oto jestem Panie, poślij mnie! - wołałam w sercu. - Dla Ciebie pójdę wszędzie.” Chrześcijanie natomiast zdawali się być niczym błędne skały. Tak bardzo się zmieniałam, że niewielu mnie pamiętało, a i ci ledwie mnie poznawali. Inaczej ubierałam się, inaczej mówiłam i zachowywałam. Bo przecież byłam inna, byłam nowym stworzeniem w Chrystusie. Pomijam fakt, że tylko nieliczni wierzyli w prawdziwość mojego odrodzenia i szczerość mojego chrześcijaństwa.

Nie potrafiłam tego zrozumieć. Wielokrotnie cierpiałam z powodu ich nieufności. Wylałam wiele łez, nie dlatego, że coś mówili, ale z powodu wątpliwości i podejrzeń, jakie widziałam na ich twarzach. Wyglądało to trochę tak, jakby się mnie obawiali.

Apostoł Paweł miał na początku podobne doświadczenia. Jego przeszłość była zbyt świeża w pamięci pierwszych chrześcijan, by potrafili go w pełni zaakceptować. On także musiał cierpieć, gdyż chrześcijanie mu nie ufali. Myślę, że mogę zrozumieć, co czuł apostoł Paweł. Ale ostatecznie przyszedł czas, kiedy w umysłach wierzących ta przeszłość skryła się za mgłą i dostrzeżono w Pawle prawdziwego ucznia, zmienionego człowieka.

Nadeszły chwile, kiedy chrześcijanie zaczęli i mnie postrzegać jak wierzącą, osobę należącą do Zbawiciela. Zostałam zaakceptowana. Dostrzegali, że moje życie zostało zmienione i że byłam uwolniona od przeszłości. Wtedy też zaczęto o mnie mówić, jako o „trofeum łaski” albo „szorstkim diamencie”. Te wyrażenia były dla mnie całkowicie nowe. Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałam. Nie miałam

nic przeciw temu, by nazywano mnie Trofeum Łaski, no ale Szorstki Diament?! Tak dziwnie jakoś. To słówko „szorstki” brzmiało tak... trochę niemiło.

Cóż, „Szorstki Diament” był zajęty pracą misyjną. Ponownie na ulicach, ale teraz z innych przyczyn niż kiedyś. Czy było dla mnie lepsze miejsce niż wśród starych przyjaciół i znajomych, by wypełniać Boże polecenia? Ale oni myśleli, że jestem nieco szalona, że pomieszało mi się w umyśle.

- Biedna Diana, dopadła ją religiomania.

Nie zważałam na to i nie przestawałam opowiadać im o dziełach Jezusa w moim życiu.

- Dajemy ci trzy miesiące, Diana - mówili. - Potem znowu będziesz z nami szukać klientów.

- Już nie ma tamtej Diany - powtarzałam. - Nigdy jej więcej nie zobaczycie.

Wiedzieli, że naprawdę miałam na imię Doreen, jednak nie przestawali nazywać mnie Dianą. Zresztą, to nie miało znaczenia. Och, jak ja kochałam te dziewczęta! Wiele razy stałam gdzieś, w jakimś ulicznym zakamarku, otaczając je ramieniem i płacząc do Boga za ich duszami. Wiele z nich ostatecznie przyznawało, że miałam to, czego one wciąż szukały i za czym nieustannie tęskniły - radość i spokój umysłu.

- Poza tym, dobrze wyglądasz - mówiły. - Twoje oczy są czyste i wyglądasz na szczęśliwą.

Bo przecież byłam, ale serce bolało mnie z ich powodu.

- Diana, przecież dla nas jest już za późno, nie będziemy mogły się zmienić... Słyszałam to tak często...Jakże ja płakałam. Czy nie myślałam i nie mówiłam dokładnie tego samego?

- Jeśli tylko oddacie Chrystusowi swoje życie, On to dla was zrobi - powtarzałam im to bez końca.

- Zastanowimy się nad tym na starość, - rzucały na odchodnym.

Teraz naprawdę mogłam powiedzieć." Ale przez wzgląd na łaskę Boga - idę." Szłam przecież taką drogą sama przez wiele lat. Jeśli ktokolwiek wie, co naprawdę czuje prostytutka, to tym kimś jestem ja.

Nie zważając na odrzucenie (a odrzucana byłam bardzo często), nie przestawałam opowiadać im o miłości Jezusa. Każdego dnia i nocy chodziłam tam, gdzie wiedziałam, że mogę je spotkać.

- Patrzcie dziewczyny! Oto nadchodzi „kochana” Diana ze swoimi broszurkami o Jezusie - krzyczały.

Niejednokrotnie widziałam, gdy któraś z nich, widząc mnie z daleka, przemykała na drugą stronę ulicy.

„Będziesz chodzić ulicami w innych butach, moje dziecko.” - to słowa, które kiedyś sam Jezus wyszeptał mi do ucha. W tamtym czasie zastanawiałam się, co mogły znaczyć, ale musiałam jeszcze trochę poczekać na pełne zrozumienie. Dziś już wiem. Chodzę po ulicach „obuta w Ewangelię”. Moje stopy są „podkute Ewangelią pokoju” (spójrz Efez. 6,15).

Owemu „Tryumfowi Łaski” niezmiernie brakowało dzielenia tejże łaski z innymi chrześcijanami. Gorąco pragnęłam, by ktoś do mnie dołączył i razem ze mną niósł na ulice Dobrą Nowinę. Pewnego wieczoru zaproponowałam to grupie chrześcijan:

- Co wy na to, żeby razem pójść do dzielnicy świateł i porozmawiać z dziewczynami na ulicach?

Wszyscy umilkli. Na niektórych twarzach pojawiły się dziwne uśmiechy. Odnosiłam wrażenie, że było im przykro z mojego powodu. Nikt się nie odezwał.

- No cóż, - powiedziałam - pójdę sama. Jesteście ... po prostu beznadziejni.

A potem dodałam jeszcze: - Mam tylko nadzieję, że ktoś kiedyś wam uświadomi istotę przekazywania innym miłości Jezusa, przekazywania tym, którzy są zgubieni.

Wpatrywali się we mnie pustym wzrokiem, kiedy wychodziłam z sali. Niezbyt łaskawie się to dla mnie skończyło. Potrzebowałam modlić się o więcej łaski. Później przeprosiłam ich za sposób, w jaki wyraziłam swoje zdanie.

- Tylko, że to wszystko było prawdą - odpowiedziała jedna z dziewcząt. - Nie musisz za bardzo przeproszać. Ktoś faktycznie przyszedł i rozmawiał z nami na temat głoszenia Ewangelii w godzinę po tym, jak sobie poszłaś. To sprawiło, że zaczęliśmy się zastanawiać.

Pewnego wieczoru, chodziłam jak zwykle i głosiłam Ewangelią prostytutkom. Krążyłam wokół domów publicznych - zwłaszcza tych, które sama dobrze pamiętałam i spotkałam znajomego z „tamtych” czasów. Powiedziałam mu o miłości Jezusa.

Większość ludzi w tym miejscu znała mnie z przeszłości i dostrzegała, że byłam teraz inną osobą. - Diano, kochanie, to jakieś niewinne bzdury. Nie bierz tego chrześcijaństwa zbyt poważnie - uśmiechnął się. - Co powiesz na drinka i godzinę lub dwie uroczego zapomnienia?

- Ooo nie, - odpowiedziałam. - Ja nie mogę zapomnieć o Jezusie nawet na minutę!
Wszyscy zamilkli. Słyszając taką stanowczość i zdecydowanie w moim głosie, byli zażenowani otwartością, z jaką wypowiadałam się o znaczeniu Chrystusa w moim życiu. Nawet jedna szklanka, jeden kieliszek nie zabrzączał, gdy mówiłam, aż nagle... rozległa się przepiękna pieśń:

*Teraz jest inaczej, coś się we mnie wydarzyło,
Odkąd dałam swoje serce Jezusowi.
Teraz jest inaczej. Jestem zmieniona,
Odkąd dałam swoje serce Jemu.
Rzeczy, które kochałam przedtem - odeszły
Rzeczy, które kochałam bardziej niż mogę powiedzieć.
Teraz jest inaczej. Jestem zmieniona.
To musi być Jezus, któremu dałam swoje serce.*

Chcąc nie chcąc wszyscy słuchali z uwagą i wzruszeniem. Przecudowna pieśń trafiała do najgłębszych zakamarków serca, pieśń chwały dla Zbawiciela. Pieśń, która rozległa się w domu publicznym.

Wyszłam na zewnątrz i musiałam oprzeć się o ścianę. Wzruszona, ze ściśniętym gardłem i oczami pełnymi łez, próbowałam ogarnąć spojrzeniem dzielnicę światła. Całą sobą pragnęłam, by ta zgubiona ludzkość, choć na chwilę spojrzeła na Jezusa, choćby przelotnym spojrzeniem... Jakże inaczej mogłoby wyglądać ich życie!

Rejon światła i neonów był moją pierwszą parafią a dom publiczny pierwszą kazalnica. Natomiast pierwszą osobą, o której wiem, że dzięki mnie przysłała do Boga, była pewna starsza kobieta. Spotkałam ją w barze. Zawsze siadała w kącie, zawsze sama, wyglądała smutno i samotnie. zaproponowałam jej broszurkę z Ewangelią, przysiadłam się do niej i zaczęłyśmy rozmawiać. Łzy spływały po jej brązowej, pomarszczonej twarzy.

- Przychodzę do tego baru od lat - powiedziała - odkąd umarł mój mąż. Sama jedna jestem na tym świecie. Nikt ze mną nie rozmawiał przez wiele lat. Nawet tutaj - zupełnie nikt. Serce zaczęło mi szybciej bić. Jezus ją kocha i umarł dla niej. To była wspaniała możliwość, by powiedzieć o tym, że Komuś na niej naprawdę zależy. Ten Ktoś to właśnie Jezus.

- Czy mogę panią odprowadzić do domu?- spytałam.

- Zrobiłabyś to? I wypijesz ze mną filiżankę herbaty?

Poszłyśmy więc, do jej maleńkiego mieszkania. Miała na imię Vera i miała sześćdziesiąt trzy lata. Piłyśmy herbatę, a ja opowiadałam jej, jak Zbawiciel pomógł mi w moich potrzebach.

Wyciągnęłam Biblię i jasno, ze spokojem wytłumaczyłam jej drogę zbawienia. W rezultacie obie uklękłyśmy i modliłyśmy się, kiedy ta kochana staruszka powierzała swoje życie Zbawicielowi. To były naprawdę wspaniałe chwile.

Kiedy odwiedziłam Verę kilka dni później, powiedziała: - Już nigdy więcej nie pójde do baru. Nie potrzebuję już zaglądać do kieliszka. Znajduję wspaniałe ukojenie w Biblii, którą mi dałaś. Teraz jestem gotowa, by spotkać mojego Stwórcę.

Vera rzeczywiście nigdy już nie wróciła do baru, a tydzień później - spotkała Stwórcę... Sąsiedzi powiedzieli, że zmarła we śnie, w pokoju. Poszła na spotkanie z dopiero, co poznanym Zbawicielem. Pewnego dnia znów ją zobaczę w pełni chwały.

Któraś wieczoru, kiedy chodziłam ulicą Główną (zwaną popularnie Ulicą Grzechu) i rozdawałam broszury z Ewangelią jakiś samochód zatrzymał się tuż przy mnie. Prowadzący go mężczyzna - mój dawny klient - chciał ze mną rozmawiać.

- Cześć Diana, znów w branży?

- Dokładnie, ale nie w takiej, o jakiej myślisz- odpowiedziałam. - Teraz jestem w branży samego Króla. Masz, Ewangelia dla ciebie. Poczytaj sobie o moim Królu - o Jezusie.

Był tak zaskoczony i zakłopotany, że niemal uciekł do samochodu, który zostawił tuż obok. Widziałam go jeszcze kilka razy tego wieczoru, krążącego po okolicy i rozglądającego się za jakąś prostytutką. Nie odezwał się już do mnie, ale zaciekawiony patrzył przez okna samochodu. Modliłam się, żeby przeczytał broszurę, którą mu dałam i żeby znalazł Chrystusa, jako swojego Zbawiciela.

Innego wieczoru, kiedy rozdawałam Ewangelie w domach publicznych, znów spotkałam jakiegoś byłego klienta. Zaczęłam mu opowiadać, jak Jezus zmienił moje życie. Jego twarz zastygła momentalnie i poczerwieniała, ręce zaczęły mu tak drżeć, że nie mógł utrzymać kufła. Nagle wybiegł z baru, zostawiając niedopite piwo na kontuarze.

Zastanawiałam się, czy może był kimś, kto zszedł znów na złą drogę, może już wcześniej słyszał Ewangelię. Wydawało mi się, że było w nim poczucie winy. Kiedy skończyłam rozmawiać i rozdawać broszury, poszłam do innego baru. I tam znów

go spotkałam. Uciekł, jak tylko mnie spostrzegł. Mało tego, spotkałam go trzeci raz w innym barze.

- Czy ty mnie śledzisz? -zapytał - Gdziekolwiek idę, ty tam przyłazisz.

- To nie ja za tobą chodzę - odpowiedziałam. - To Jezus. On chce, byś do Niego wrócił.

Po tych słowach znów wybiegł roztrącając ludzi i stoliki. Nie było mu dane napić się piwa tego wieczoru. Modliłam się gorąco, by wrócił do Chrystusa, by zechciał przyjąć Jego pokój i wytchnienie.

Tak oto wyglądał początek mojej służby dla Jezusa: wędrując ulicami, którymi chodziłam, jako prostytutka, głosiłam Ewangelię każdemu napotkanemu stworzeniu. Opowiadałam mężczyznom i kobietom, że Jezus żyje i Jemu naprawdę na nich zależy.

Jednym z moich ulubionych słów jest „ktokolwiek”, gdyż znaczy każdy. Nieważne, kim jesteś lub co robisz. To słowo odnosi się także do ciebie. Szatan próbował mnie zniechęcić, namówić do poddania się.

„Chodź, napij się troszeczkę” - szeptał do mojego ucha. „Wychyl tylko jednego. Nikt nie będzie wiedział.”

Tu nie chodzi o „nikogo”, ale o Jezusa. Gdybym posłuchała szatana, moje świadectwo ległoby w gruzach. Biblia mówi: „Dajcie odpór diabłu, a ucieknie od was.” Tak więc w imieniu Jezusa powiedziałam:

- Odejdź precz ode mnie, szatanie.

I odszedł.

Jednej nocy kuszenie było bardzo silne.

„Nikt ci nie wierzy - mówił szatan - nawet chrześcijanie ci nie wierzą. Tracisz czas. Daj sobie z tym spokój. Nie lepiej usiąść spokojnie, napić się, zapalić, zrelaksować w knajpie?” W imieniu Jezusa odpierałam go, ale on był uparty.

Zdesperowana podeszłam do najbliższego aparatu i zadzwoniłam do Taty do Betanii. Słyszając o moich zmaganiach, w jakich się znajdowałam, bez wahania zaczął się modlić o mnie przez telefon. Nakazał szatanowi odejść w imieniu Jezusa, a potem powiedział:

- Idź teraz do domu maleńka, a kiedy będziesz mijała bary i domy publiczne, chwyć się dłoni Chrystusa. On Cię bezpiecznie zaprowadzi do domu.

Czy mówił dosłownie, czy w przenośni - nie wiem, ale kiedy mijałam te miejsce i czułam, że wysiłki szatana się wzmagają, że próbuje mnie namówić, bym weszła do środka napić się, a nie głosić Ewangelię, podnosiłam rękę w stronę nieba i mówiłam cichutko:

- Panie Jezu, trzymaj mnie za rękę, chroń mnie przed złem.

I to działało! Nigdy nie uległam pokusom szatana. Zapewne musiał to być dziwny widok dla przechodniów - ktoś idący z rękoma w górze. Dziwne lub nie, szatan został odparty ponownie. Jezus był Zwycięzcą. Jego dłoń mnie prowadziła i chroniła przed upadkiem.

Szatan próbował jeszcze innych sposobów, by powstrzymać mnie w pracy dla Boga. Czarne czarownice przysyłały do mnie listy, w których groziły mi śmiercią, jeśli nie przestanę mówić o magii. To były okropne listy.

„Zginiesz, jeśli nie przestaniesz rujnować zgromadzeń i poniżeń magii.”

Niektóre z tych listów pisane były krwią. Początkowo naprawdę bardzo się niepokoiłam, bo doskonale wiedziałam, do czego może posunąć się czarna czarownica. Szatan wykorzystywał każdą szansę, by mnie zniechęcić. Co teraz? Miałam tego posłuchać? Przestać mówić o magii? Przestać ostrzegać ludzi przed złem i niebezpieczeństwami okultyzmu tylko, dlatego, że moje życie było w zagrożone?

O nie, z całą pewnością nie. Ludzie muszą być ostrzegani. Takie listy jeszcze bardziej uwidoczniały niebezpieczeństwo i zło, jakie w tym tkwiło. Słowa apostoła Pawła zapisane w liście do Rzymian 8,38-39 były dla mnie ogromnym pocieszeniem i zachętą: „Albowiem jestem tego pewien, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani potęgi niebieskie, ani teraźniejszość, ani przyszłość, ani moce, ani wysokość, ani głębokość, ani żadne inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Bożej, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym.” „Ani czarownica, ani szatan” - dodawałam. Nic, zupełnie nic nie było w stanie oddzielić mnie od Jezusa i od prawdy.

Mój Jezus był silniejszy niż jakakolwiek czarownica i szatan. Sam, w sobie tylko wiadomy sposób, rozprawił się z czarownicami, które stały mi pogróżki. Nikt mnie nie skrzywdził. Jego dłoń nieustannie mnie chroniła.

Tak więc już od początku mojej służby dręczyły mnie różne wątpliwości. Ale Jezus zawsze uczył mnie ufać Sobie, niezależnie od tego, w jakiej sytuacji się znajdowałam, niezależnie od doświadczeń, jakie napotykałam po drodze.. Jezus nigdy mnie nie opuszczał, a co najważniejsze, On mnie zbawił i obdarzył wolnością,

bym mogła Mu służyć. Jakże więc mogłabym utrzymywać w tajemnicy złe strony magii? Ktoś musiał ostrzegać ludzi przed tym okropieństwem. Czy był ktoś bardziej właściwy ode mnie?

Dokładnie od samego początku mojej pracy i służby Jezus przygotowywał mnie do jeszcze większych zadań. Wówczas tego nie wiedziałam, ale wiem teraz. Uczył mnie niezachwianego zaufania do Siebie. Przygotowywał do kolejnych zadań.

Dzień po dniu stawałam się silniejsza, a wraz z tym nabierało mocy moje świadectwo. Także na spotkaniach chrześcijańskich zaczęłam opowiadać o tym, co Jezus uczynił w moim życiu. Małymi kroczkami uczyłam się mówienia przed publicznością.

Mój cocneyowski akcent często budził zakłopotanie. Często też brakowało mi słów. Ale bardziej od chaosu mojej wypowiedzi, liczyła się jej naturalność. To też przemawiało do ludzi. Stopniowo, powoli, otwierały się przede mną drzwi do coraz szerszej publiczności, coraz więcej ludzi słyszało, jak działał we mnie i przeze mnie Bóg. Coraz częściej zapraszano mnie do kościołów, szkół, na spotkania kobiet, do kawiarni, po to, bym dzieliła się świadectwem mocy Bożej.

Jakież to było wzruszające stać przed tyloma ludźmi i opowiadać im o Jezusie! Jeszcze większe wzruszenie ogarnia mnie jednak, gdy widzę mężczyzn i kobiety, młodych i starszych, oddających swoje serce i życie Chrystusowi.

Wraz z podążaniem za Chrystusem drogą służby i wzrastaniem w łasce, myślałam od czasu do czasu o wyrażeniu „Szorstki Diament”. Teraz widziałam je w innym świetle i rozumiałam jego głębsze znaczenie.

Nie dlatego, że wiedziałam wszystko o diamentach. Nie. Wiedziałam, tylko że można je znaleźć jedynie w najgorętszych i najciemniejszych pokładach ziemi, i że po wydobyciu są szorstkie i matowe. Dopiero po fachowej obróbce, stają się doskonałe i piękne. Chropowatości muszą być wyszlifowane, niewłaściwe kandy - ścięte, ścianki wyrównane tak, by światło mogło wydobywać z niego wyjątkową gamę kolorów. Ostatecznie diament jest polerowany. W rezultacie otrzymuje się najcenniejszy skarb, biżuterię największej wartości.

Kiedy tak rozmyślałam tym, nie miałam już nic przeciw temu określeniu. Czyż nie zostałam wydobyta przez wspaniałego Zbawiciela z najciemniejszego i najgłębszego wstydu? Czyż zależało Mu, by kształtować mnie, tak jak diament, na Swoje podobieństwo i dla Swojej chwały?

Ciągle jestem w kochających rękach najwspanialszego Szlifierza, który na tym szorstkim diamencie pozostawia wciąż ślady swojej niezwyklej pracy...

ROZDZIAŁ XX

PEŁNIEJSZA I GŁĘBSZA SŁUŻBA

Biblia mówi: „Otworzyłem przed Tobą drzwi, których żaden człowiek zamknąć nie może.” Wiele drzwi otworzyło się przede mną dla zwiastowania wspaniałej Ewangelii i świadectwa mocy Chrystusa w moim życiu. Również na wielu spotkaniach ewangelizacyjnych, prowadzonych przez dr Erica Hutchings'a, miałam radość i przywilej opowiadania mojej historii.

Pierwszy raz zaznałam tego w Leeds. Spotkanie, w formie wywiadu, prowadził piosenkarz John Grant. Doskonale pamiętam wielką treść i nerwy, ale dzięki pomocy Zbawiciela udało mi się jakoś opanować ten strach i spotkanie okazało się być błogosławieństwem dla wielu.

Dziwnie było wspominać ten czerwcowy wieczór 1964 roku, kiedy byłam gotowa utrzyć dr Erickowi Hutchings'owi nosa. Jeśli ktoś powiedziałby mi wówczas, że pewnego dnia będę stać z nim ramię w ramię i mówić o tym, co uczynił dla mnie Chrystus, śmiałabym się w głos, nie wierząc ani jednemu słowu. A teraz - siedziałam na tym samym podium obok Erica Hutchings'a i opowiadałam, jak tego szczególnego wieczoru w Bristolu, powierzyłam swoje pełne grzechu serce Jezusowi Chrystusowi.

Od tamtego czasu Jezus zaprowadził mnie już o wiele dalej - myślałam, siedząc na prowizorycznym podium na starym dworcu kolejowym. To było pierwsze z wielu takich spotkań ewangelizacyjnych, w czasie, których przemawiałam, i którego nigdy nie zapomnę. Nie przyszło zbyt wielu ludzi i byli raczej zaskoczeni, słysząc - niektórych moich grzechach z przeszłości. Wiele oczu dopiero otwierało się na tę okropną rzeczywistość, ciemność grzechu - dzikość, tzw. wieku oświecenia.

Wyobraźcie sobie, jak ogromne było moje wzruszenie, kiedy Betty Lou Mills zaśpiewała kilkakrotnie to przepiękne solo, które słyszałam w Colston Hall w Bristolu. Spotkanie i poznanie jej było dla mnie wspaniałym błogosławieństwem. Betty ma serdeczną ciepłą naturę i doskonale rozumie presję oraz odpowiedzialność, jaką niesie ze sobą publiczne wystąpienie. Jej śpiew był zawsze bodźcem i inspiracją dla mnie i dla wielu innych.

Mimo wielu zobowiązań często wychodziłam wieczorami na główne ulice, namawiając grzeszników, by zwrócili się do Chrystusa. Dla wielu problemów dzisiejszego świata jedynie On jest odpowiedzią. Robiłam to nie tylko w Bristolu, ale w wielu innych częściach kraju, szczególnie w Londynie. Wracając do tych wszystkich znajomych ulic w Soho, czułam w sercu wielki ból i żal, z powodu tak

wielu zagubionych dusz w nocnych klubach. Wracałam do nich z przesłaniem nadziei i radości, oraz z pokojem, jakiego ani świat ani jego atrakcje, nie są i nie będą w stanie im dać.

Pewnego razu odwiedzałam wschodnie przedmieścia Londynu, niedaleko miejsca, w którym przyszłam na świat. Nie miałam żadnego umówionego spotkania ani zorganizowanego wieczoru. Sam Bóg mnie tam posłał. To była bardzo szczególna wizyta.

Zaczęło się jeszcze w Bristolu. Jednego wieczoru wyraźny głos Jezusa rozległ się w moim sercu: „Idź pod numer 50 na ulicy XXX i zapytaj o Evelyn.” Znałam głos mojego mistrza Jezusa. Jego polecenie było dla mnie zupełnie oczywiste, choć nigdy nie słyszałam o ulicy XXX ani nie miałam znajomej o tym imieniu. Gdy jednak Jezus mówi ci, byś coś zrobił, wiesz, że możesz pozostawić takie szczegóły Jemu samemu.

Pojechałam więc, pociągami do Londynu, modląc się całą drogę, by Jezus zaprowadził mnie na tę ulicę i zasłał właściwe słowa. Na podziemnej stacji Altgate East rozejrzałam się wokół. Okolica była fatalnie zdewastowana.

Często się mawia: nigdy nie pytaj Londyńczyka o drogę. Rzeczywiście tylko nieliczni potrafią pomóc zgubionemu przechodniowi, mimo że większość mieszka w tym mieście od wielu, wielu lat. Stare powiedzenie sprawdziło się i w tym przypadku. Nikt nie wiedział, gdzie znajduje się ulica Trzydziesta.

Ostatecznie skontaktowałam się z miejscowym duchownym i opowiedziałam mu o mojej misji. Byli zaskoczeni, on i jeszcze jeden duchowny, jednak zaprowadzili mnie na ową ulicę. Nie wyglądała zbyt przyzwoicie. A właściwie to ... - wyglądała beznadziejnie. Paskudnie brudna, wszędzie walało się mnóstwo śmieci wszelkiego rodzaju, od starego brudnego materaca po sterty toreb, a nawet zardzewiałe części starych łóżek. Okna pozabijane deskami, a budynki jakby gotowe do rozbiórki. Nie trudno było przypuszczać, że ktoś może tu w ogóle mieszkać. Ale dokładnie na końcu ulicy jeden dom był wciąż zamieszkały - i był to numer 50. Niesamowite!

Lokatorka, bardzo gruba kobieta, opierała się o brudny parapet. Była tak gruba, że wypełniała sobą niemal całe okno. W dłoniach trzymała szklanekę wina, a z jej ust zwisał tłący się papieros. Po cichej, krótkiej modlitwie o Boże prowadzenie, odezwałam się do niej: - Dzień dobry. Mam na imię Doreen i przyjechałam z Bristolu, gdyż ponieważ mam dla pani szczególne wieści.

- Ooo! - powiedziała niezobowiązująco i tak uporczywie wpatrywała się w naszą trójkę, stojącą na chodniku, jakby z ledwością nas widziała.

- Tak - ciągnęłam dalej - to Jezus Chrystus przysłał mnie tutaj ze względu na ciebie.

- Ooo - powiedziała ponownie, zupełnie tak jakby mnie nie słyszała i była kompletnie zaabsorbowana własnymi myślami.

„Ojej - pomyślałam - nie idzie mi zbyt dobrze.”

Wtedy nagle przypomniały mi się słowa Jezusa: „Zapytaj o Evelyn.” „Dziękuję Ci Panie Jezu!” - powiedziałam niemal na głos. - Czy mieszka tu ktoś o imieniu Evelyn? - zapytałam.

Kobieta ożyła.

- Owszem, mieszka. To moja córka. Chcesz z nią gadać? Wchodź na górę.

Wnętrze było jeszcze bardziej przerażające. Ściany zaszyły obrzydliwą wilgocią a wszelkie drewno było przeżarte pleśnią.

- W tym miejscu to nawet świny nie powinny mieszkać - powiedziała kobieta.

Musiałam się z nią zgodzić. - To ruina pełna szczurów - dodała.

Widziałam jednego przemykającego w pobliżu i zadrżałam.

- Już niedaleko - wyjaśniła.

Zaprowadziła nas do małego, ledwie przeciągniętego miotłą pokoju. Żadnych chodników ani nawet linoleum na brudnej podłodze, natomiast w rogu stał tak ekskluzywny barek, jakiego jeszcze w życiu nie widziałam. Młoda dziewczyna, lat około osiemnastu, leżała ubrana w brudnej pościeli, na podwójnym materacu.

- Czy to jest Evelyn? - zapytałam uprzejmie.

- Nie, to jest Jane - odpowiedziała kobieta. - Evelyn jest wyżej, na ostatnim piętrze.

Powoli, z modlitwą w sercu, zaczęłam wyjaśniać, dlaczego tu przyjechałam. Potem opowiedziałam kilka historii z mojego życia, a zwłaszcza z nieszczęśliwego dzieciństwa, zwracając szczególną uwagę na to, jak bardzo zmienił mnie Zbawiciel, kiedy podniósł mnie z upadku, z prostytutki i wstydu, w jakim nieustannie tkwiłam.

Oczy kobiety napełniły się łzami: - Nie zrobiłam nic dobrego dla moich dzieci. Jestem alkoholiczką obie moje córki są prostytutkami, a ponadto Evelyn ćpa.

Duchowni i ja płakaliśmy, widząc, jak szatan używa sobie na tej rodzinie.

Potem opowiedzieliśmy tej biednej kobiecie o Jezusie, jego cierpieniu i śmierci na krzyżu, zmartwychwstaniu i życiu, jakie może mieć dzięki zwycięstwu Jezusa. Jezus przelał swoją krew także i za nią, za jej grzech. Zgodziła się, byśmy modlili się z nią.

Tam, gdzie stała, upadła na kolana, my w ślad za nią. Modliliśmy się razem, kiedy oddawała swoje serce Zbawicielowi. Wyznawała mu swoje grzechy i nie mieliśmy wątpliwości, że jej przyście do Chrystusa było prawdziwie szczere. Jane, jedna z córek, była pod ogromnym wrażeniem. Dokładnie wszystko obserwowała i słyszała, ale nie była jeszcze gotowa, by uczynić Chrystusa swoim osobistym Zbawicielem. Matka zawołała Evelyn i opowiedziała jej o całym wydarzeniu, jakie miało miejsce, w tym pokoju.

- Evelyn, córeczko, czy ty też chciałabyś, żeby Jezus cię uratował, żeby cię zbawił? - zapytała. Wspaniale było patrzeć na tę kobietę, kiedy z nową radością w oczach mówi o Jezusie.

Jednak Evelyn nie była na to gotowa i pobiegła na górę do swojego pokoju. Moje serce było przy niej. Powierzyliśmy w modlitwie całą rodzinę Bogu, daliśmy im Biblię i nieco literatury.

Później dowiedzieliśmy się, że Jane znalazła się w więzieniu. Jeden z duchownych odwiedzał ją tam i Jane powierzyła swoje życie Chrystusowi.

Po jakimś czasie matka napisała list. Jej mąż wrócił i był zdumiony przemianą ich rodziny. Wywarło to pozytywny wpływ także na niego. Wkrótce cała rodzina dostała nowe mieszkanie i straciliśmy z nimi kontakt, ale wiemy, że Chrystus wykonał wśród nich wspaniałą pracę i wiernie będzie trzymał nad nimi Swoje dłonie.

Nie wiem, czy Evelyn oddała swoje życie Chrystusowi, ale to Jezus posłał mnie do nich i spokojnie mogę pozostawić Mu resztę. Zawsze warto być posłusznym głosowi mojego Pana, Jezusa.

W Chrystusie wszystko jest możliwe. To cudowne, że Jezus może osiągnąć każdego i w każdym miejscu. Może przemówić do każdego swojego sługi i dać instrukcje, dokąd iść. Może podać numer domu i nazwę ulicy, a nawet imię osoby, która jest w wielkiej potrzebie. Nic nie jest zbyt trudne dla Boga, nie ma niczego, czego by nie mógł. On jest ten sam wczoraj, dziś i na wieki.

Moja służba i praca dla Boga jest intensywna i różnorodna. Wkrótce po doświadczeniach na ulicy XXX przemawiałam w wyższej szkole w Brighton, na kursie dla nauczycieli, opowiadając historię swojego życia wielu zgromadzonym tam studentom. Kiedy skończyłam mówić, zachęcałam ich, by zadawali pytania,

jeśli je mają. Tylko z Bożą pomocą byłam w stanie odpowiadać na niektóre z nich. To naprawdę cudowne wiedzieć, jak Bóg wciąż mnie uczył i mi pomagał. Oddawałam Mu chwałę i dziękowałam za Jego wsparcie. Naprawdę On sam uczył mnie reagować i zachowywać się stosownie do sytuacji, w jakiej byłam postawiona.

Młodzi studenci mają dzisiaj pragnienie wiedzy. Jestem w pełni świadoma, że wielu z nich interesuje się magią i wszelkimi formami okultyzmu. Kiedy to widzę, jestem bardzo ostrożna w tym, co mówię, gdyż brak wiedzy, może być ogromnie niebezpieczny.

Niestety, jest wielu chrześcijan, którzy nie mają pojęcia, co doradzić i jak pomóc tym, którzy ulegli magii. Robię, co mogę, staram się, jak potrafię, by ich uczyć. Uświadamiam ich po to, by byli w stanie ostrzegać innych w sposób daleko bardziej inteligentny i świadczący o znajomości tematu.

Pierwsze wystąpienie w telewizji także pozostanie dla mnie niezapomnianym doświadczeniem. Poproszono mnie, bym wystąpiła w programie informacyjnym zatytułowanym „Dzień po dniu”. Czy byłam zdenerwowana? Ooo, zdenerwowana to mało powiedziane! Mieć szansę powiedzenia tysiącom widzów o tym, co uczynił dla mnie sam Jezus Chrystus było ogromnym honorem i przywilejem. Gorąco modliłam się, by redaktor programu zadawał mi właściwe pytania, proste i bezpośrednie, by moje odpowiedzi wskazywały na miłość Bożą do człowieka. Bóg wysłuchał tej modlitwy i pomógł mi w cudowny sposób.

- Jak prostytutka, narkomanka i czarownica może być ewangelistą? - zapytał redaktor.

- Tacy ludzie nic nie mogą - odpowiedziałam - dopóki ich życie nie zostanie zmienione przez Jezusa Chrystusa. Nie jestem już żadną z tych osób, gdyż moje życie zmienił Jezus. Jestem teraz nowym stworzeniem w Chrystusie.

Na pozostałe pytania mogłam odpowiedzieć równie łatwo, jak na to pierwsze. Jezus został uwielbiony! Tysiące słyszały o tym, czego On może dokonać i każdy w studiu telewizyjnym widział i słyszał, że Jezus może zmienić ludzkie życie. Wielką radością były dla mnie także programy radiowe, w których brałam udział. Dzieliłam się tym samym przesłaniem o Zbawicielu, który żyje i niezmiennie dokonuje dziś wielu cudów.

Zostałam ponownie zaproszona do programu informacyjnego, tym razem w telewizji Harlech. W tym samym czasie brałam też udział w ewangelizacji prowadzonej przez dr Eric'a Hutchings'a i jego pomocników w Cardiff Cory Hall. To

były wspaniałe wystąpienia - po raz kolejny Ewangelia była głoszona przez media. Tak, ewangelia zbawienia jest najwspanialszą ze wszystkich informacji.

Moja wizyta w Cardiff została skrócona, gdyż już drugiego wieczoru potknęłam się i upadłam. Uszkodziłam dość poważnie kostkę. Jestem prawie pewna, że to szatan próbował powstrzymać to, co czynił Bóg w Cardiff. Zapewne był wściekły, że Ewangelia o Jezusie rozprzestrzenia się przez telewizję i radio.

Ale Bóg dopuścił, aby doszło do wypadku i obrócił go na dobre. Zaskoczyło mnie, że w rejonowym szpitalu w Cardiff wszyscy pamiętają moje telewizyjne wystąpienie z poprzedniego wieczoru, również pielęgniarki i praktykujący tam młodzi lekarze. Miałam możliwość opowiedzieć im wszystkim o Jezusie. Wszyscy, razem z pacjentami z oddziału nieszczęśliwych wypadków, usłyszeli ponownie dobrą nowinę o zbawieniu. Lekarze praktykanci, nastawiający moją stopę, byli absolutnie wstrząśnięci, słysząc o tym, czego Jezus dokonał w moim życiu.

- Nie jest znane żadne lekarstwo na uzależnienie od heroiny - powiedział jeden z nich. - Jesteś żyjącym cudem!

- Cóż, droga pani, kaznodziejko - odezwał się inny niosąc wynik z prześwietlenia mojej nogi - zdaje się, że nie będzie mogła pani przemawiać przez jakiś czas. Kostka jest złamana. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, słysząc jego słowa. Przecież już od godziny siedziałam na wózku inwalidzkim i cały czas mówiłam!

Pewien przemiły lekarz, chrześcijanin, zawiózł mnie do Bristolu swoim samochodem. To była naprawdę miła podróż. Całą drogę rozmawialiśmy o Bogu. Przed opuszczeniem Cardiff nagrałam swoją historię na taśmę magnetofonową na kolejne spotkanie w Cary Hall. Powiedziano mi później, że to zrobiło jeszcze większe wrażenie niż gdybym była tam osobiście. Tak więc głosiłam Ewangelię i to było najważniejsze, po raz kolejny Jezus został uwielbiony.

Później, kiedy kostka przestała mi dokuczać, wróciłam do Cardiff. Wszystkie rzeczy obracają się na dobre dla tych, którzy kochają Boga, dla tych, którzy są wezwani do wypełniania jego celów. Nie wiedziałam, że będę oglądać dobry owoc mojego wystąpienia telewizyjnego w czasie poprzedniej wizyty.

Opowiadałam historię mojego życia w dużym kościele w Cardiff na sobotnim spotkaniu wieczornym. W pewnym momencie, już pod koniec, ktoś krzyknął z końca sali: - Czy Jezus może zrobić dla mnie wszystko?

- Może - odpowiedziałam. - Jezus może uczynić wszystko. Dla Boga nie ma nic niemożliwego. Proszę, podejdź teraz do przodu i będę się modlić z tobą.

Podbiegł młody, ciemnoskóry mężczyzna, łzy obficie spływały po jego policzkach. Upadł na kolana i modliliśmy się razem, gdy on oddawał swoje życie Jezusowi. Był zbawiony, nie miałam, co do tego żadnych wątpliwości. Wspaniale było to oglądać. Niedługo potem opowiedział mi prawdziwą historię. Miał na imię Samuel i niedawno został wypuszczony z więzienia w Cardiff.

- Kiedy byłem w więzieniu - opowiadał Sam - zobaczyłem cię w telewizji. Słuchałem cię z uwagą. Kiedy wróciłem do celi, powiedziałem: „Boże, jeśli naprawdę jesteś, pozwól mi spotkać tę kobietę.” Wiedziałem, że masz coś, czego mi brak, chciałem mieć w sobie to, co ty. I dzisiaj zobaczyłem twoje imię na plakacie na ulicy. Dlatego przyszedłem. To, co mówiłaś było w 100% dla mnie. Moje życie było ruiną, byłem odrzuconą jednostką. Moje życie było jednym wielkim bałaganem, ale teraz wiem, że jestem uratowanym, jestem zbawiony i Jezus oczyścił swoją krwią moją przeszłość.

Cóż to była za radości oglądać, jak Bóg zmieniał życie Sama! Dzisiaj jest on wspaniałym chrześcijaninem, zawsze gotowym, by świadczyć o Bożej miłości. Odwiedził mnie kilka miesięcy temu. Jego twarz jaśniała szczęściem. Wciąż słyszę jego szczerze i żarliwe modlitwy do Jezusa. Słuchałam ich z radością. Sam jest prawdziwym Trofeum Łaski. Opowiadając o swoim życiu w wielu kościołach i głosząc ewangelię - jest ogromnym błogosławieństwem.

Wciąż wzrastając w łasce i poznaniu Chrystusa, uświadamiałam sobie, że moja służba staje się głębsza i pełniejsza niż dotąd. Tak wielu ludzi jest zgubionych, samotnych, bez cienia nadziei, światła czy miłości. Wiem doskonale, co znaczy czuć się bardzo, bardzo samotnym, dlatego mam szczególną wiadomość dla ciebie.

Jest ktoś taki, komu na tobie zależy i kto cię rozumie. To Jezus. On sam powiedział: „Chodźcie do mnie wszyscy spracowani i obciążeni, a ja wam dam ukojenie. Weźcie na siebie moje jarzmo i uczcie się ode mnie, że jestem cichy i pokornego serca, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych.”

Doświadczyłam prawdy tych słów wielokrotnie, naprawdę wielokrotnie! Jezus daje ukojenie, światło i miłość. On naprawdę jest najwierniejszym przyjacielem, jakiego można mieć. On w samotności cierpiał i umarł na Golgocie, by każda kobieta i każdy mężczyzna nigdy i nigdzie nie musieli być już więcej samotni...

Holandia, kraj kanałów, tulipanów i wiatraków. Moim przeznaczeniem był Middelburg, mała wysepka niemal w sercu Holandii. Towarzyszyłam tam państwu Hutchings, biorąc udział w wielkiej ewangelizacji. Chciałam powiedzieć mieszkającym tam ludziom o tym, jak Chrystus został moim Zbawicielem.

Middelburg pełen jest piękna, jedyne w swoim rodzaju: wąskie, brukowane uliczki, stare malownicze kościoły z uroczymi dzwonniami, i holenderskie tradycyjne ubrania, które wciąż się tam nosi. Wszystko pełne jest osobliwego, pamiętającego dawne czasy, uroku i wdzięku. Być tam to cudowna odmiana od naszych nowoczesnych, pełnych hałasu i pośpiechu miast.

Tam właśnie pośród tego piękna żyją się setki narkomanów. To wydaje się być niewiarygodne, ale to prawda. Stłoczeni w starej sali koncertowej słuchali tego, co mieliśmy im do powiedzenia o Jezusie Chrystusie. Nasze słowa musiały być przetłumaczone na holenderski dla tych, którzy nie władali angielskim.

Nie da się wyrazić słowami tego, jak Bóg poruszał serca Holendrów. Kiedy padło pytanie, kto chciałby oddać swoje serce Zbawicielowi i zaakceptować Go jako swojego Pana, młodzi ludzie, w większości uzależnieni, dosłownie biegli do przodu, a nawet wchodzili na podium. To na nowo otworzyło moje oczy na ogromne potrzeby młodych ludzi.

Spacerując po południu, spotkałam jeszcze więcej młodocianych ćpunów. Na middleburskich placach dzieliłam się z nimi czekoladą i orzeszkami, a oni dzielili się ze mną swoimi problemami. Smutno było myśleć, że wszystko, czego pragnęli, to porozmawiać z kimś, kto by ich zrozumiał i komu by na nich zależało. Ogromnie żałowałam, że nie znam holenderskiego tak, bym mogła do nich mówić w bardziej prosty sposób. Naprawdę stali się dla mnie ważni. Niektórzy z nich wiedzieli, że kiedyś sama byłam narkomanką i to było dla nich pomocą, dawało nadzieję.

W rzeczywistości język nie jest niemożliwą do pokonania barierą. Ludzie czują i wiedzą, kiedy komuś szczerze na nich zależy. Niektórzy spośród tych uzależnionych oddawali swoje życie Jezusowi w czasie trwania ewangelizacji. Modliłam się, by otoczono ich właściwą opieką, tak duchową, jak i fizyczną.

W Holandii nawiązałam kilka nowych przyjaźni, które przetrwały do dziś. Ogromną radością była dla mnie ponowna wizyta w tym kraju w 1972 roku i udział w dokumentalnym programie telewizyjnym, co okazało się także wielkim błogosławieństwem dla innych.

To co piszę nie jest w stanie całkowicie oddać głębi i pełni służby, w której tak wspaniale używał mnie łaskawy Bóg. Jego dzieło trwa także i dzisiaj, i będzie trwało tak długo, jak długo będę oddawać siebie całą mojemu Zbawicielowi.

Mogłam także przeżywać radość opowiedzenia o Bogu i zmianach w moim życiu swojemu prawdziwemu ojcu. Powiedział, że jest ze mnie bardzo dumny. Jeszcze nie zapragnął przyjąć daru zbawienia, ale cały czas się o niego modłę.

Nigdy już nie spotkałam mojej mamy, odkąd opuściła dom. Nie byłam w stanie jej odnaleźć, ale wierzę, że pewnego dnia spotkam się z nią ponownie. Jezus wie, gdzie ona jest, i kto wie, może On spotka ją wcześniej niż myślę.

Spośród moich czterech sióstr widziałam się z dwiema. Mają się dobrze. Jedna szczęśliwie wyszła za mąż i ma troje dzieci, druga mieszka w Portsmouth. One także wiedzą o ogromnej zmianie, której dokonał w moim sercu i życiu Jezus Chrystus. Wiem to na pewno: modlitwa może dokonać zmian. Moje życie jest tego dowodem.

Zawsze modlę się o moje siostry, mamę i tatę. Bóg jest wciąż ten sam i działa według swoich zamiarów. Powierzam ich wszystkim Temu, który zna początek i koniec. Jak dotąd nie wspominałam jeszcze o moim mężu, Dawidzie, ponieważ to miała być historia mojego życia, nawrócenia i służby. Dodam jednak, że jestem żoną wspaniałego chrześcijanina, który stoi przy mnie, wspiera i prowadzi w każdy możliwy sposób, by wypełniała się wola Boga.

Dawid jest mężem modlitwy. Kiedy wyjeżdżam bez niego, mogę być pewna, że spędza większość czasu, modląc się o mnie. Oboje wiemy, że gdy nasze życie jest w pełni poddane Jezusowi Chrystusowi, to nie ma granic, dla tego, co On sam chce czynić w nas i przez nas.

Wielu potrzebujących ludzi odwiedza nasz mały domek. My wiemy, że modlitwa ma moc, a Jezus może wyjść naprzeciw wszystkim potrzebom i problemom, tym dużym i małym. Mój mąż jest wspaniałym narzędziem, którego Bóg używa do pracy „na zapleczu”, w ukryciu kurtyny. Jestem niezmiernie wdzięczna Bogu za niego, za jego wsparcie i zachętę. Moim najgorętszym i szczerym pragnieniem jest, by Zbawiciel nieustannie prowadził mnie, używając do jeszcze głębszej i pełniejszej służby dla Siebie i innych.

ROZDZIAŁ XXI

DUCHOWA WOJNA

„Gdyż bój toczyliśmy nie z krwią i z ciałem, lecz z nadziemskimi władzami, ze zwierzchnościami, z władcami tego świata ciemności, ze złymi duchami w okręgach niebieskich”(List Efezjan 6,12)

„Czy to tylko jakieś nieszkodliwe szaleństwo? A może jednak coś w tym jest?” – pytał pewien redaktor jednego z brytyjskich dzienników, autor serii artykułów o magii i okultyzmie.

Magia i inne formy okultyzmu są szkodliwe! Więcej nawet, są szalenie destrukttywne i błyskawicznie rujnują życie wielu ludzi. Doprowadzają mężczyzn i kobiety do samobójstw, do szpitali psychiatrycznych, całkowitego zniewolenia strachem, do piekła za życia. Widząc tylko połowę tego, co ja widziałam w kraju i za granicami, nikt nie miałby śmiałości stwierdzić, że są to jedynie jakieś nieszkodliwe głupoty. Musimy zmierzyć się z rzeczywistością. W ostatnich ośmiu latach⁵ uprawianie magii, satanizmu, spirytyzmu i innych form złych kultów wzrosło o 300%. Okultyzm rozwija się na całym świecie niczym złośliwy nowotwór.

Nie mogę zakończyć tej książki bez ostrzeżenia przed tymi rażąco złymi praktykami, gdyż niejednokrotnie spotykałam młodych ludzi, których życie zostało kompletnie zrujnowane przez angażowanie się w mroczne i złe rzeczy. Musimy zadać sobie pytanie, dlaczego tak wiele, szczególnie młodych osób, zaczyna zajmować się magią i okultyzmem?

Zwróćmy uwagę na tempo, jakiego nabiera dzisiejszy świat: przelewanie krwi, wykroczenia, strajki i okropny pośpiech. Bez wątplenia w umysłach wielu ludzi pojawia się ogromny znak zapytania:, Dlaczego? Dokąd?

Zaspokajanie potrzeb umysłu i głód wiedzy wzrasta w człowieku z dnia na dzień. Czy jednak potrafi on zaspokoić potrzeby pustego, zranionego serca? Czy człowiek potrafi wypełnić jego ogromną pustkę? Niestety nie. Młodzi ludzie szukają odpowiedzi dla swoich wątpliwości. Szukają czegoś, co wypełniłoby w nich tę lukę. Potrafię to zrozumieć, gdyż przez lata sama szukałam lekarstwa dla mojego pustego serca.

Młodzi ludzie pójdą wszędzie i będą próbować wszystkiego, by znaleźć to Coś. W swoich desperackich poszukiwaniach odpowiedzi i prawdy, zwracają się w stronę narkotyków, praktyk okultystycznych, a w szczególności magii. Towarzysząca jej tajemniczość i emocje to czynniki o niezwykle przyciągającej sile. W rzeczywistości przyciągają do zła, a oddalają od prawdy, jedynej prawdy, którą jest Bóg.

Każdy z nas szuka choćby odrobiny tajemniczości i wrażeń, wielu rozgląda się też za zjawiskami ponadnaturalnymi. Gdzie można znaleźć to łatwiej niż w zgromadzeniu czarownic czy świątyni szatana? A szatan też to widzi i zostawia poszukującym znaki, które wabią do miejsc pełnych zła. Wiem to, ponieważ widziałam, jak potrafi objawiać się zło.

Biblia ostrzega nas przed magią, wróżbiarstwem i innymi diabolicznymi praktykami. W Piątej Księdze Mojżeszowej Bóg zabrania wszelkich takich praktyk

⁵ Pierwsze wydanie książki miało miejsce w 1973r. [przyp. tłum.]

nie dlatego, że jest okrutny i lubi stawiać zakazy, ale ponieważ jest dobry i kochający. On zna te rzeczy i ich porażającą, złą siłę. Ostrzega, ponieważ nas kocha. On chce tego, co najlepsze dla kobiet i mężczyzn, których stworzył.

Różne przejawy zła nie są jednak najbardziej niebezpieczne. Najgroźniejszy jest fakt, iż ta różnorodność skutecznie odciąga od Boga, oddala od Niego. Wielu chrześcijan drży, kiedy tylko wspomina się o praktykowaniu magii, demonach czy innych przejawach zła. Okultyzm przeraża ich.

- Nie chcemy słuchać o takich rzeczach - mówią. - Aż ciarki przechodzą.

Dlaczego wszyscy się obawiają? To nie tak powinno być. **Musimy nieustannie pamiętać, że Jezus jest daleko mocniejszy od szatana i grzechu.** Jezus pokonał zło na Golgocie.

Biblia mówi, że nie powinniśmy ignorować, lekceważyć podstępów diabła. Jak będziemy ratować zagubione dusze i pomagać tym, którzy znajdują się w sidłach zła, jeśli nie wiemy, co się dzisiaj dzieje na świecie?

Toczy się duchowa bitwa. Nie możemy mieć nadziei na jej dobry wynik, jeśli nie znamy naszego przeciwnika. Musimy wiedzieć, kto jest naszym wrogiem na tym duchowym polu walki. Słowo Boże jasno określa, że niewidzialne siły zła działają a nie- godziwość będzie nieustannie się rozszerzać, gdyż przyście Jezusa jest bliskie. Nie musimy daleko się rozglądać, by dostrzec, że ta niegodziwość jest gorsza, niż kiedykolwiek wcześniej, że coraz więcej ludzi wpada w pułapkę okultyzmu i poddaje się różnym przejawom zła, magii.

Niektórzy chrześcijanie nie mają pojęcia o tym, jak ohydne bywa zło. Tak więc mądrze jest być czujnym i świadomym świata materialnego i duchowego, który nas otacza. Nie unikniemy zetknięcia się z nim w taki lub inny sposób, czy tego chcemy, czy nie. Nawet małe dzieci grają nieświadomie w diaboliczne gry takie jak szatańskie tabliczki ouija⁶.

Poproszono mnie kiedyś, bym odwiedziła kilka szkół podstawowych i ostrzegła dzieci przed niebezpieczeństwem, jakie niesie ze sobą igranie z mocami diabelskimi. Nauczyciele i rodzice zostali zaalarmowani, że ich dzieci po amatorsku parają się okropnymi i złymi praktykami. W czasie zabaw **tabliczkami ouija** działy się prawdziwie złowieszcze rzeczy, a dzieci doświadczały w swoich umysłach przerażającego strachu i tortur. Bezradni rodzice nie wiedzieli, co robić, kiedy ich

⁶ Tabliczki Ouija - współczesna wersja to plansza, na której są cyfry od 0 do 9, alfabet oraz słowa dobry, cześć, tak i nie oraz wskazówka na środku planszy. Gra służy kontaktowaniu się ze zmarłymi i z istotami duchowymi i zadawaniu im pytań, [przyj. tłum.]

kochane maluchy zaczynały przeraźliwie bać się szkoły, nocą śnie nocą koszmary, odmawiać jedzenia. A wszystko to za sprawą demonicznej gry: ouija.

Takie amatorstwo jest szczególnie niebezpieczne, nie tylko dla dusz, ale i dla umysłów oraz ciał. Jednym z podstępów szatana jest objawianie się, jako anioł światłości i skuteczne ukrywanie niebezpieczeństwa, jakie kryje się pod pozorami niewinnej zabawy. Ja sama byłam zaszokowana i przerażona odkryciem tego, co działo się w szkołach.

Pewien nauczyciel ze szkoły chrześcijańskiej powiedział mi, że piętnaścioro spośród dwudziestu dzieci w jego klasie bawiło się diabelskimi gramami. To tylko jedna z takich szkół, w której dzieci często bawią się tabliczkami ouija.

Chrześcijanie nigdy nie powinni obawiać się sztuczek szatana. Nigdy nie bój się magicznej kukiełki, praktyk woodoo czy demonicznych ostrzeżeń. „Większy jest Ten, który jest w nas niż ten, który jest na świecie.” Chrześcijanie powinni być czujni i aktywni, mocni w wierze i pełni pogardy dla strachu.

Możemy iść prosto przez świat nieszczęścia w pełnym Bożym uzbrojeniu i opancerzeniu, a nie w strachu. Nie lekceważmy w żaden sposób zwodniczych wysiłków szatana, jego pułapek i prób odciągania kobiet i mężczyzn, chłopców i dziewczynek, od wąskiej drogi życia i światła.

Częścią mojej służby w tej duchowej bitwie było ostrzeganie ludzi przed oszukańczymi, zwodniczymi rozrywkami, niezależnie od ich formy i wskazywanie na właściwą drogę, którą jest Chrystus, wspaniały i wszechmocny Wybawca.

Jestem świadoma, że istnieje jeszcze inna zwodnicza forma, którą ja nazywam: demono albo diabło-manią. Cierpią na nią osoby, nie potrafiące myśleć i mówić o niczym innym. Demony zdają się być ich duchową dietą gdyż karmią się nimi w czasie śniadania, obiadu i kolacji. Widzą demony we wszystkim i wszystkich - demony w psach, kotach, w każdym szpalerze żywopłotu, dosłownie wszędzie.

Tym biednym ludziom zdaje się, że są zupełnie osamotnieni w swojej misji wypędzania demonów, w zmaganiu się z tym, co demonami nazywają. Muszę jednak ze smutkiem stwierdzić, że czynią oni niepowetowane straty i ogromne zamieszanie.

Poddanie się takiej demonicznej obsesji jest bardzo niebezpieczne. Ci, którzy nie potrafią mówić o niczym innym, jak tylko - demonach i o tym, co te demony czynią- sami potrzebują uwolnienia. Wielu z nich potrzebuje właściwego nauczania płynącego wprost z Biblii i - przykro to mówić - chrześcijańskiej dyscypliny.

Chociaż częścią mojej służby zawsze było demaskowanie magii i ostrzeganie przed niebezpieczeństwami okultyzmu, mogę was upewnić, że nie koncentruję się głównie na tym.

Dopiero gdy jestem poproszona o opowiedzenie historii mojego życia, mówię także o demonicznych mocach, ujawniam zło oraz jego dzieła - rzecz jasna, nie po to, by przydać temu jakiegokolwiek chluby. Najszczęśliwsza jestem jednak wtedy, kiedy mogę głosić wspaniałą historię zbawienia, Ewangelię, mówić o Jezusie i Jego miłości.

W Księdze Objawienia 12:11 czytamy: „A oni zwyciężyli go [szatana] przez krew baranka i przez słowo świadectwa swojego.” Często cytowałam te słowa przed składaniem mojego świadectwa. To wspaniale, że gdziekolwiek mówimy o swojej drodze do Boga, oddajemy Mu chwałę i pokonujemy szatana. Diabeł nienawidzi, gdy Boże dzieci uwielbiają Boga przez osobiste świadectwo. Chociaż niebezpieczne jest, wspomniane wcześniej, całkowite koncentrowanie się na demonach, to równie niebezpiecznym jest fakt, że wielu chrześcijan całkowicie odrzuca ich istnienie.

Jezus będąc tutaj na ziemi, leczył choroby i wypędzał złe duchy. Angażował się w dwie, całkowicie inne, a jednak zależne od siebie, sfery działania. On sam powiedział, co czytamy w Ew. Marka 16: „idźcie więc, na cały świat i głosście Ewangelię wszelkiemu stworzeniu. (...) A takie znaki towarzyszyć będą tym, którzy uwierzyli: w imieniu moim demony wyganiać będą, nowymi językami mówić będą, (...). Na chorych ręce kłaść będą, a ci wyzdrowieją.”

Dzisiaj znacznie więcej osób jest opętanych przez demony niż wówczas, kiedy Jezus chodził po ziemi. Jezus nie ukrywał, że nikczemność i niegodziwość będzie się rozprzestrzeniać.

Mamy więc dwie skrajności: tych, którzy nie mówią i nie myślą o niczym innym, jak tylko o demonach, oraz tych, którzy odrzucają ich istnienie. Bardzo często biedni ludzie pragnący uwolnienia od demonów, pozostają wciąż zniewoleni i odrzuceni, właśnie z powodu tej niewiary. Musimy zachować równowagę we wszystkim, w żadnej sprawie nie popadać w skrajność. Musimy brać pod uwagę całe Słowo Boże, a nie tylko część. Założyć całą zbroję, jak mówi apostoł Paweł, ponieważ to nie jest bitwa cielesna, ale duchowa, którą staczymy w mocy Boga przeciw bastionom szatana.

Tak, opętanie przez demony jest rzeczywistością. Niezaprzeczalną rzeczywistością. Ale Bogu niech będą, dzięki, że Jezus jest równie rzeczywisty. Jego Słowo nas o

tym upewnia i On sam temu dowodzi. Demony mogą być wypędzane w imieniu Jezusa. To imię napętnia je przerażeniem i przed Nim uciekają. Chore ciała mogą być i dzisiaj uzdrawiane.

Jezus powiedział: „Idźcie i głóście, mówiąc, Bliskie jest Królestwo Niebieskie, uzdrawiajcie chorych, oczyszczajcie trędowatych, wzbudzajcie umarłych i wypędzajcie demony. Darmo dostaliście, darmo dawajcie.”

Jesteśmy Jego uczniami, ja jestem Jego uczennicą. On przebaczył mi wszystko i całkowicie uwolnił od mocy zła i demonów. On napętnił mnie Duchem Świętym. Dlatego będę Jemu za darmo dawała całą siebie. Tak wiele mi przebaczył i dlatego tak bardzo Go kocham.

Całą moją przeszłość zostawił z tyłu, za Swoimi plecami, już na zawsze, nigdy mi jej nie wypominając. Obmył mnie i jestem bielsza niż śnieg - „To jest tak, jakbyś nigdy nie zgrzeszyła.”- powiedział. Usprawiedliwiona.

Czyż nie jest to wspaniałe? Zamiast togi czarownicy, zamiast brudnych szmat wstydu i grzechu, On ubrał mnie w szaty zbawienia. Okrył mnie Swoją suknią Swojej sprawiedliwości. Nowe odzienie dla nowego stworzenia. Włożył w moje usta nową pieśń i postawił moje stopy na równej skale, na Jezusie Chrystusie, moim Panu.

Nie dziwi więc, że od początku byłam pełna emocji. Miałam nowe życie, nową miłość, nowe szaty, nową pieśń. Miałam coś, tak wiele i to sprawiało, że byłam pod wrażeniem. A kiedy opowiadam Ewangelię napętnia mnie taka radość, że często nie mogę, nie umiem, powstrzymać wypływającej ze mnie pieśni radości. Często też tańczę w szczerzej radości Bożej.

Jezus powiedział: „Idźcie i głóście Ewangelię zbawienia całemu stworzeniu i w moim imieniu czyńcie wszystko.” Więcej nawet, On powiedział: „Większe rzeczy czyńcie będziecie niż ja, ponieważ ja idę do Ojca.” Niesamowite, prawda?

Pozwólcie mi przytoczyć jeden przykład, gdy Bóg użył mnie do wypędzenia demonów w Swoim imieniu. Prowadziłam ewangelizację namiotową w Liverpoolu. To był ogromny namiot, tamtego wieczora po brzegi wypełniony ludźmi. Codziennie wiele dusz było cudownie zbawianych, wiele chorych ciał uzdrawianych. Chrześcijanie oddawali swoje życia i serca na służbę Chrystusowi. To był tydzień, którego nigdy nie zapomnę. Boży Święty Duch działał ogromną mocą. Jednego wieczoru pojawiły się kamery. Po raz kolejny Jezus był uwielbiany w telewizyjnych wiadomościach. Jezus stał się w Liverpoolu tematem numer jeden, o którym mówiła nie tylko telewizja, ale także radio Merseyside.

Pod koniec tego tygodnia błogosławieństw miało miejsce kolejne cudowne wydarzenie. Pewna sympatyczna, starsza pani, chrześcijanka, podeszła do mnie, by porozmawiać.

- Chciałam cię prosić o modlitwę za Dawida, mojego wnuka, - powiedziała. - Był kiedyś wspaniałym wierzącym chłopcem, ale od jakiegoś czasu angażuje się w czarną magię.

Jej oczy były pełne łez. Opowiadała dalej: - Mieszka ze mną od dziesięciu lat i ogromnie go kocham. Nie będę mogła spocząć, dopóki on nie wróci na właściwą drogę. Jednego wieczoru, kontynuowała, czekałam na jego powrót (nigdy się nie kładę, dopóki nie zobaczę, że bezpiecznie wrócił do domu), siedziałam na moim bujanym fotelu modląc się, kiedy poczułam obecność zła w pokoju. Nagle zobaczyłam to zło, ukazała mi się postać wyglądająca jak duch. Wezwałam imię Jezusa i to zniknęło.

Kiedy wrócił Dawid, widziałam, że był zły. Opowiedziałam mu, co się stało i zaczęłam go błagać, by wrócił do Chrystusa. Był tak przerażony, że zdecydował się skończyć ze złymi praktykami. Ale nie uwolnił się. Każdej nocy słyszę go szamoczącego się w swoim pokoju. Jest w strasznym stanie. Modlę się za niego bez ustanku. Prosiłam, by przyszedł tutaj do namiotu, ale odmówił. Myśli, że już jest dla niego za późno.

Była bardzo przerażona i pełna niepokoju. Pomodliłyśmy się krótko razem i zapewniłam ją, że będę trwała w modlitwie za Dawidem. Odeszła. Zdawało mi się, że było jej nieco lżej.

Następnego wieczoru Dawid przyszedł na spotkanie. Kiedy skończyłam przemawiać, wezwałam tych wszystkich, którzy potrzebowali modlitwy, by podeszli do przodu. Wielu odpowiedziało na to wezwanie. Niektórzy potrzebowali uzdrowienia ciała, inni oddawali swoje serca i życia Jezusowi. Duch Święty znów działał w niesamowity sposób. Zbawiał dusze i uzdrawiał ciała.

Pośród tych wielu poszukujących był także Dawid. Nie miałam pojęcia, że ten chłopiec, o którego modliłam się poprzedniego wieczoru, wyszedł do przodu. Podchodziłam kolejno do każdego potrzebującego modlitwy. Dotarłam do Dawida i zapytałam: - Jak ci na imię synu?

- Dawid.

Bóg pokazał mi, że to był wnuczek tej maleńkiej staruszki, która była tu wczoraj.

- Złamałeś serce swojej biednej babci, Dawidzie - powiedziałam.

Słyszając to, niemal upadł ze zdumienia

- Igrałeś z ogniem - ciągnęłam dalej - zabawiając się magią i woodoo. Ale jeśli ukorzysz się dziś przed Chrystusem, On ma moc cię uwolnić.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał.

- Twoja babcia powiedziała mi o tobie poprzedniego wieczoru, a dziś Bóg pokazał mi, że to ty jesteś tym, o którym ona mówiła.

Tak, pośród pół tysiąca osób obecnych na spotkaniu, Bóg wskazał mi tego chłopca. Stał przedtem z tyłu, a teraz mówiłam bezpośrednio do niego, wskazując na powagę tego, czego się dopuszczał. Dawid prawdziwie się opamiętał, jednak dzieliły go jeszcze długie godziny od zupełnego uwolnienia od demonów.

Wspierana modlitwą innych chrześcijan wypędziłam w imieniu Jezusa siedem demonów do Gehenny. To była niesamowita bitwa, duchowa bitwa z samym złem. Demony były bardzo silne i waleczne, ale Jezus był mocniejszy. Ostatecznie Dawid został całkowicie uwolniony, dzięki mocy Jezusa Chrystusa, wszechmocnego Zwycięzcy. O trzeciej rano Dawid przyjął chrzest wodny. Został także ochrzczony Duchem Świętym i chwalił Boga niebiańskimi językami. Cóż to była za radość dla nas wszystkich!

Jego babcie - pełną radości i wdzięczności wobec Boga zobaczyłam, na kolejnym spotkaniu pod namiotem. Tym razem łzy, które spływały po jej policzkach, były łzami ogromnego szczęścia.

- Teraz mogę nareszcie odpocząć - powiedziała. - On modli się i chwali Boga cały dzień. Spalił wszystkie swoje książki o magii i inne rzeczy z tym związane. Chwała niech będzie Zbawicielowi!

W duchowej walce na Bożym polu bitwy, nie zawsze po jednym zwycięstwie następuje kolejne. Popętniane są także błędy. Są upadki. Były takie chwile, gdy ja upadałam jak długa na ziemię i to z wielkim hukiem. Były momenty, kiedy brakowało mi łaski, przezorności i mądrości. Wtedy szatan śmiał się i mówił: „Jesteś nikim, zawodzisz. Przeklnij to wszystko i daj sobie z tym spokój.”

Zamiast zostawać na ziemi w niepowodzeniu, pozwalałam Bogu, by mnie podniósł i wówczas korzyłam się przed starym, szorstkim krzyżem, wyznając mój upadek. Modliłam się i łkałam przed Bogiem: „Drogi Jezu, zawodzę, wszystko psuję, ale wciąż Cię kocham. Zmiłuj się nade mną i pomóż mi iść dalej.”

Wiele się nauczyłam na swoich własnych błędach i upadkach. Dzięki łasce Boga nauczyłam się przede wszystkim tego, by Jemu rzetelnie oddawać wszystkie niepowodzenia i porażki, z jakimi przychodzi mi się mierzyć.

Czy Bóg kiedykolwiek bierze wielki kij i ściga nas z powodu tychże niepowodzeń i porażek? Po tysiącokroć nie! On delikatnie podnosi nas, gdy wyznajemy nasze winy i pomaga nam stanąć na nogi i mówi, by iść dalej.

Te upadki nauczyły mnie całkowitego polegania na Jezusie, zupełnej zależności od Niego, wszechmocnego Dowódcy mojej duszy. Na nic zda się zostać na ziemi w kurzu i brudzie, kiedy popełni się błąd. Taka reakcja może tylko ułatwić szatanowi pogrążanie nas. Nie wolno nam się poddawać, kiedy zawieziemy Boga. Szatan tylko czeka na takie chwile, zawsze gotowy, by chwycić nas w swoje pazury niczym sęp. Jednym z jego ulubionych forteli jest przekonywanie nas, że nie jesteśmy wystarczająco dobrzy, że nigdy nie pokonamy naszych słabości.

W Biblii czytamy, że także najwięksi mężowie Boży czasem upadali. Król Dawid był mocnym żołnierzem i wspaniałym pieśniarzem. Ale król Dawid zgrzeszył⁷. Spodobała mu się żona innego człowieka i cudzołożył z nią. Posłał potem jej męża, Uriasza, na pewną śmierć, nakazując mu walczyć na przedniej linii frontu. A wszystko, dlatego, że owa kobieta okazała się być brzemienną i król chciał ją pojąć za żonę. Ale Dawid opamiętał się, poniósł konsekwencje swojego czynu i wyznał swój grzech. Czytamy w Biblii, że pobiegł do świątyni, chwycił rogi ołtarza, pokutował i odnalazł przebaczenie oraz pokój z Bogiem. Wtedy odszedł i stoczył jeszcze wiele zwycięskich bitew.

Jakub był człowiekiem modlitwy, który pewnej nocy stoczył bitwę z aniołem⁸. On także zawiódł, także miał upadki i niepowodzenia. Oszukał swojego starego ojca, ukradł błogosławieństwo i pierworództwo należące się jego bratu. Odrzucił swoją żonę Lee, ponieważ kochał jej siostrę Rachelę. Jakub został pochwycony przez swoje własne serce, jego niewierność i zwodniczość, a jednak był on wielkim mężem bożym.

Także Piotr zawiódł Chrystusa⁹ wtedy, gdy Ten potrzebował go najbardziej. Piotr opamiętał się i szedł dalej. Zaparł się swojego Pana, a jednak później poprowadził kościół do Pięćdziesiątnicy.

⁷ 2 Ks. Samuela 11,1-27

⁸ Historia Jakuba - 1 Ks. Mojżeszowa od 25,19

⁹ Ewangelia: Mt 26,57-75; Mk 14,53-72; Łk 22,54-62, Jn 18, 12-27

Ci mężowie i wielu innych zawodzili Boga w różnym czasie. Nikt nie jest doskonały. Nawet apostoł Paweł tak napisał w liście do Rzymian, w rozdziale 7: „Albowiem nie rozeznaję się w tym, co czynię; gdyż nie to czynię, co chcę, ale czego nienawidzę, to czynię”. I dalej tak mówi: „Nędzny ja człowiek! Któż mnie wyzwoli z tego ciała śmierci?” Odpowiedź? „Bogu niech będą dzięki przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego!” **Tylko przez Jezusa możemy pokonać samych siebie.**

Chrześcijanie, patrzcie w górę, kiedy upadacie i kiedy popełniacie błędy. Nie zamykajcie się w swoim wnętrzu! Stawiajcie czoła słabościom i płaczcie głośno do Jezusa. Polegajcie na nim. Wstańcie i idźcie dalej z Bogiem, tak jak i ja idę, wyżej i wyżej, głębiej i głębiej z Chrystusem.

Wciąż jestem na polu walki dla mojego Boga, wciąż staczam tę duchową bitwę. Nie sama, gdyż Jezus, mój wszechmocny Dowódca zbawienia, idzie przede mną i walczy obok mnie. Bez Niego niczego bym nie mogła, - jedynie upadać. Tak długo, jak długo sił mi starczy, będę Mu służyć. Tak długo, jak długo będzie mi używał oddechu, będę Go wychwalać i wielbić oraz mówić o Jego miłości, łasce, współczuciu i mocy.

Chcę, by cały szeroki świat dowiedział się, jak Go kocham. Chcę, by cały szeroki świat, także Go poznał. Chcę powiedzieć wszystkim i wszędzie, że mój Jezus żyje, że mój Jezus troszczy się, że mój Jezus jest wspanialszy niż cokolwiek innego, wspanialszy niż ktokolwiek inny i że może uczynić wszystko. Dla Niego nie ma nic niemożliwego. Nic!

Kolejna bitwa będzie zwyciężona, kiedy skończę tę książkę. Tak, to była bitwa – duża bitwa. Na początku nie chciałam niczego pisać. Poza tym nie myślałam, że w ogóle będę umiała.

Wielu ludzi pytało mnie: - Dlaczego nie napiszesz książki?

Łatwiej powiedzieć niż zrobić, myślałam. Kiedy miałabym znaleźć czas na pisanie książki? Było to możliwe jedynie dzięki modlitwom i Bożemu przewodnictwu. Pisałam ją między jednym, a drugim spotkaniem ewangelizacyjnym. Ufałam i modliłam się, by była ona błogosławieństwem dla każdego czytelnika.

Wraz z zakończeniem tej książki, zakończy się kolejna bitwa, a rozpocznie inna, ale mając Jezusa obok siebie, jestem przekonana, że pokonam każdego wroga. Z Jego wszechmocną dłońią nade mną i Jego siłą we mnie, będę staczać dobry bój o wiarę, odziana w całą zbroję Bożą: przyłbicę zbawienia, pas prawdy, pancerz sprawiedliwości. Mając też miecz Ducha, którym jest Słowo Boże -jakże można zawieść?

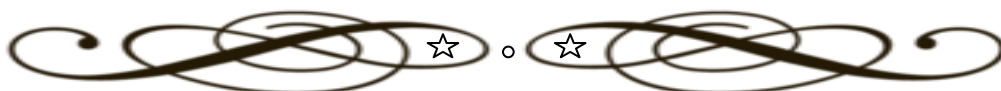
Kiedy byłam dzieckiem, tak bardzo samotnym i nieszczęśliwym, zastanawiałam się często, po co w ogóle się urodziłam. Kiedy byłam w celi w więzieniu w Holloway, zastanawiałam się często, po co w ogóle się urodziłam.

Teraz wiem, dlaczego:

- ✓ Urodziłam się w ciele, bym mogła narodzić się z Ducha Bożego;
- ✓ Urodziłam się, by głosić Ewangelię wszelkiemu stworzeniu;
- ✓ Urodziłam się, aby kochać Jezusa i służyć mu;
- ✓ Urodziłam się, aby pocieszać samotnych, kochać niekochanych;
- ✓ Urodziłam się, aby walczyć dla Niego i służyć Mu ze wspaniałą i wszechmocną armią Boga aż do dnia, kiedy zobaczę Go twarzą w twarz i opowiem historię, zbawiona przez łaskę...

*Ale koniec jeszcze nie nadszedł, chwalmy Boga.
I... przyjdź szybko, Panie Jezu! Amen.*

Doreen Irvine



Fot. Doreen Irvine

